Klimatyzacja rozgrzewa świat • Nad Bałtykiem – krótko i drogo
Sen o polskiej ropie • Żurek, bicz na PiS • RCB: co to jest?

Prof. Nałęcz podsumowuje Dudę

POLITYKA

POLITYKA.PL

TYGODNIK, nr 31 (3525), 30.07–5.08.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA ARKADIUSZ CUDNY

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Radosław Sikorski wicepremier za stępca Donalda Tuska?

Wydanie w sprzedaży do 5.08.2025
ISSN 0032-3500
31>
9 770032 350503

eprasa.pl f2ce6bb9a0

KUP TERAZ

Letnie **łamanie głowy!**

Zagadki logiczne, liczbowe, słowne
i wiedzowe – każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w punktach sprzedaży oraz na sklep.polityka.pl

eprasa.pl f2ce6bb9a0

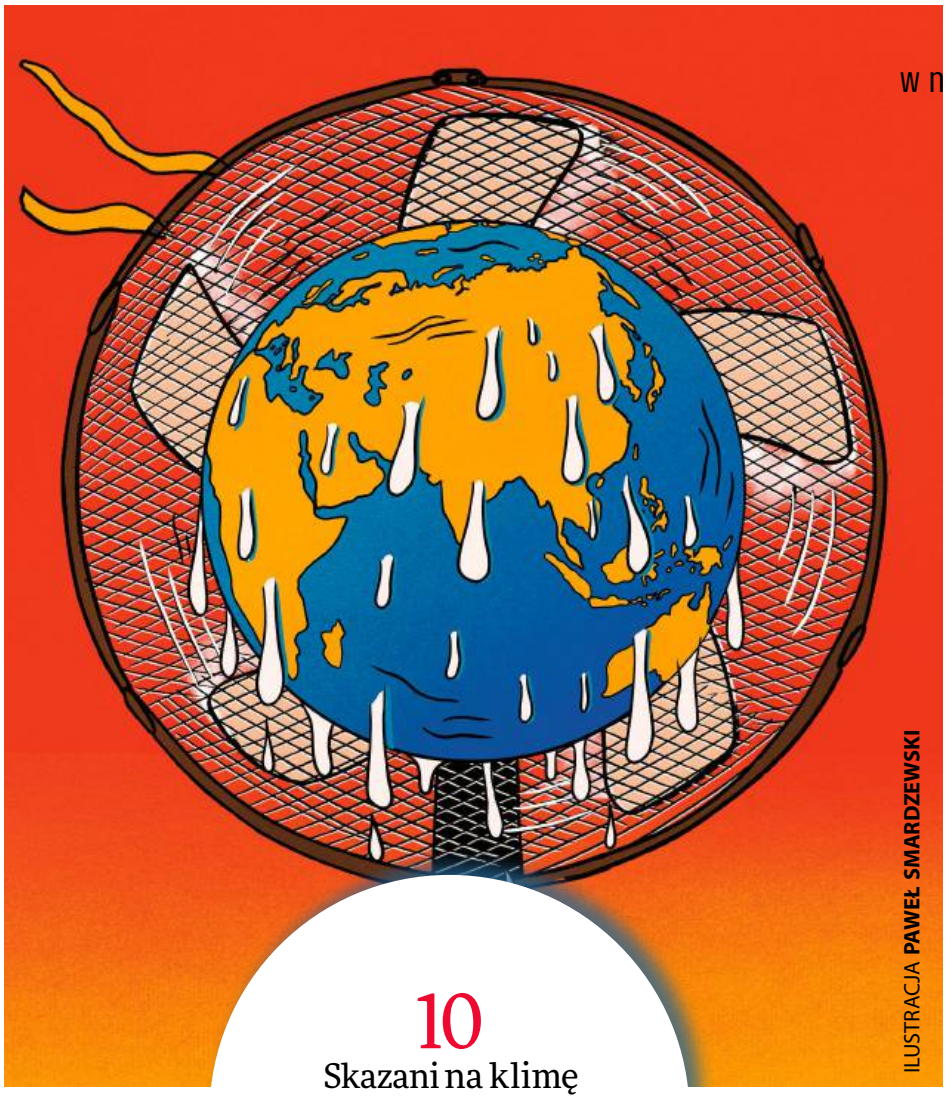

ILUSTRACJA **PAWEŁ SMARDZEWSKI**

10
Skazani na klimę

Temat na lato

10 Łukasz Wójcik **Klimatyzacja – technologia, która stała się ideologią**

Polityka

14 Rafał Kalukin **Rekonstrukcja rządu: korekta zamiast przełomu**
18 Ewa Siedlecka **Waldemar Żurek – minister od rozliczeń**
21 Tomasz Nałęcz **Andrzej Duda – prezydent, który nie dorósł do prezydentury**

Społeczeństwo

24 Joanna Solska **Letni sezon na polskim Wybrzeżu: krótko i drogo**
28 Violetta Krasnowska **Przed czym powinno ostrzegać Rządowe Centrum Bezpieczeństwa**
31 Paweł Walewski **Ścieki leków**
34 Zbigniew Borek **Jak fałszywi duchowni drenują Fundusz Kościelny**
37 Katarzyna Kaczorowska **Nie kośmy trawników!**

Rynek

40 Adam Grzeszak **Nowy sen o polskiej ropie**
43 Anna Dąbrowska, Violetta Krasnowska **Za rządów PiS fikcyjni doradcy kosztowali PZU miliony**

Świat

46 Patrycja Sasnal STREFA GAZY **Tu giną nawet słowa**
50 Paweł Reszka, Timur Olevsky ROSJA **Panika na dworze Putina**
52 Andrzej Lubowski USA **Po co Trumpowi nielegalni imigranci**
55 Filip Gańczak WYSPA UZNAM **Wanna Berlina**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Jędrzej Winiecki **Przyrodniczy eksperyment w Nowej Kachowce**
61 O wpływie AI na naukę i naukowców opowiada dr **Jan Kosiński** z Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej
64 Andrzej Hołdys **Wykrywacze trzęsień ziemi – smarfony**

Historia

66 Małgorzata Wryk **Archiwum Serwańskiego: powstańcze protokoły niemieckich zbrodni**
69 Jakub Halcewicz **70 lat temu w Warszawie zaczął się światowy festiwal młodzieży**

Kultura

76 Aneta Kyzioł, Janusz Wróblewski **12 najlepszych polskich scenarzystów**
80 Bartek Chaciński **Irlandzki Kneecap, czyli rap polityczny**
82 Pisarz **Percival Everett** o amerykańskim rasizmie, fanatyzmie i uprzedzeniach
84 Jakub Demiańczuk **Ozzy Osbourne: nieobliczalny, ekscentryczny, genialny**
88 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Sport

86 Marcin Piątek **Mistrzostwa Europy: widowiskowy futbol kobiecy**

Ludzie i style

94–97
- **Szał na laleczkę Labubu**
- **Smutek Małego Chefa**
- **TYBG, czyli o zbazowanych**
- **Zabytki z popkultury**
- **Leniwe z truskawkami**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
- **72** Afisz • **89** Passent • **90** Lis
- **91** Hartman • **92** Mizerski
- **92**, **98** Galeria POLITYKI
- **93** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

DRODZY CZYTELNICY!

Przypominamy, że POLITYKA jest już dostępna w ciągłej sprzedaży w 2100 sklepach sieci Biedronka.

Polecamy się Państwa uwadze przy codziennych zakupach i zapraszamy do lektury!

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

© ZDJĘCIA NA OKŁADCE: ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MP/WHITE HOUSE

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Rekonstrukcja i grabie

Mariusz Janicki

Rekonstrukcja rządu, przeciągana i czasami już obśmiewana, okazała się bardziej znacząca, niż przewidywano. Co prawda premier Tusk zamieszał personaliami głównie w puli przypadającej na jego formację, Koalicję Obywatelską. Widać, że koalicjanci, zwłaszcza Polska 2050, mocno się postawili i w ich częściach rządu zmiany są nieznaczne, choć w paru przypadkach by się przydały. Ale marszałek Hołownia wciąż prowadzi mało zrozumiałą grę: najpierw spotkania w domu Adama Bielana, a ostatnio stwierdzenia, że nie wyklucza opuszczenia koalicji i że był namawiany, m.in. „przez polityków", do zamachu stanu. Stan koalicji można więc określić jako ciężki, ale stabilny. Na wszelki wypadek sobotnim wiecem w Pabianicach Tusk przywrócił format z kampanii w 2023 r. – rozpięta biała koszula, pytania z sali – co może oznaczać, że przedterminowe wybory stały się prawdopodobne. Swoją drogą to spotkanie nie było dla premiera łatwe. Ale premier jeszcze raz poprosił o zaufanie, nawet jeśli nie wszyscy rozumieją jego różne działania.

Z nowego rządowego rozdania, gdzie powstały dwa duże ośrodki nadzorowane przez ministrów Domańskiego i Motykę, może wynikać, że Tusk bardziej postawi teraz na jakieś nowe projekty, tzw. wielkie inwestycje, infrastrukturę, słowem na to, co mu nieźle szło kiedyś, w czasie prosperity Platformy, czyli w latach 2007–11. Ale i tak największe zainteresowanie mediów, a także wyborców Platformy, co było widać w *socialach*, przyciągnęły dwie nominacje: funkcja wicepremiera dla Radosława Sikorskiego i stanowisko ministra sprawiedliwości dla Waldemara Żurka. Uważa się, że tym samym Sikorski już wyraźnie zajął miejsce numer dwa w obozie władzy i być może zostanie premierem jeszcze przed wyborami w 2027 r., a za pięć lat kandydatem na prezydenta. Największą niespodzianką była zaś nominacja dla Żurka, wcześniej aktywnego publicznie sędziego, uważanego przez polityków PiS za jednego z ich największych wrogów. Tusk dał do zrozumienia, że liczy teraz zwłaszcza na tę drugą funkcję, jaką ma z urzędu minister sprawiedliwości, czyli prokuratora generalnego (więcej o rekonstrukcji s. 18).

Dopóki była nadzieja, że wybory prezydenckie wygra Rafał Trzaskowski, liczyły się projekty systemowe, naprawianie sądownictwa i prokuratury – co miał zatwierdzić demokratyczny prezydent – do tamtego okresu pasował Adam Bodnar. Teraz, po tym jak Andrzeja Dudę (o jego 10-letniej prezydenturze więcej w tekście prof. Tomasza Nałęcza na s. 14) zastąpi Karol Nawrocki, wiadomo, że tak się nie stanie, więc pozostało głównie rozliczenie rządów PiS, a na ten etap lepszy ma być Waldemar Żurek. Trzeciego otwarcia rozliczeń już nie będzie, oczekiwania są więc ogromne, być może nadmierne. Niepowodzenie misji Żurka, powolne tempo śledztw, opieszałość w tworzeniu aktów oskarżenia będą potraktowane albo jako przejaw nieudolności, albo w końcu przesłanka, że może tych afer i „gigantycznego złodziejstwa" po prostu w tej skali nie było albo jest nie do udowodnienia, co podważyłoby niemal całą snutą przed październikiem 2023 r. opowieść ówczesnej opozycji.

Żurek musi sobie zdawać sprawę, przed jak trudnym zadaniem staje, dlatego od razu zapowiedział, że będzie reagował na groźby ze strony dzisiejszej opozycji wobec prokuratorów i sędziów (więcej o nowym ministrze s. 18). PiS od dawna straszy, że po dojściu do władzy ukarze tych, którzy dzisiaj występują przeciwko ludziom z tej partii. W „Deklaracji Polskiej", właśnie sformułowanej przez PiS, jest w pkt 1. zdanie: „Za przestępcze działania antypolskie Donald Tusk i jego współpracownicy zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej i cywilnej". To ogólniejszy problem całej rządzącej dzisiaj ekipy: jak przekonać, że ten obóz władzy wciąż ma przyszłość.

Oczywiście nie wystarczy sama rekonstrukcja rządu, jeśli nie będzie nowych pomysłów, świeżego wizerunku, zwłaszcza marketingowej zręczności. Z tym nadal jest wielki problem. Przykład pojawił się w tym samym czasie, kiedy pokazano nowy gabinet; oto na stronach resortu sprawiedliwości pojawiły się tzw. tablice alimentacyjne, mające być instrukcją dla sądów rodzinnych przy wyznaczaniu tych kwot, projekt podpisany przez Bodnara bodaj w ostatnim dniu jego urzędowania. W wielu przypadkach alimenty byłyby tak duże, że rodzicowi, który by je płacił, zostawałyby na życie sumy grubo poniżej poziomu egzystencji, również dlatego, że liczono by je od pensji brutto, a alimenty byłyby netto. Wkrótce rzecznik Adam Szłapka zapewnił, że rzecz „jest wycofana".

Ale tu chodzi o ogólniejsze i powtarzalne zjawisko: ta władza wciąż potrafi sama sobie zrobić krzywdę, wejść na grabie i spalić sprawę – nieprowokowana, bez żadnej potrzeby. To przejaw dokładnie tej samej politycznej ignorancji i beztroski, która stała za pomysłem zorganizowania nieszczęsnej debaty w Końskich, od której zaczęła się katastrofa wyborcza Trzaskowskiego. Takie rzeczy w polityce są okrutnie karane, bo w dzisiejszej rzeczywistości medialnej nie ma kwestii nieważnych, klęska składa się z wielu niby drobnych porażek. Myli się Donald Tusk, kiedy mówi – jak ostatnio w Pabianicach – że eksperci od komunikacji i social mediów nie wygrywają wyborów. Owszem, wygrywają – to oni stali za sukcesem Nawrockiego w wyborach prezydenckich. Ludzie rządzącego obozu zostali zaś mentalnie i technologicznie w ubiegłej dekadzie, miewają też skłonność do niedbalstwa, nonszalancji, lekceważenia szczegółów, oddają tu pole bardziej skoncentrowanej na zadaniach i sprytniejszej prawicy. Sam Tusk przyznał, że 2023 r. to był cud, ale takie cuda trzeba sobie zorganizować.

Nowy plan działania władzy, twarde rozliczenia poprzedników, ambitne zamiary modernizacyjne to jedno. Ale przede wszystkim ta ekipa musi pousuwać wszystkie grabie, na jakie może nadepnąć. Limit błędów został wyczerpany.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Śladami Monarchii Habsburgów

Romantyczna podróż przez Węgry, Słowację i Austrię czyli dawne tereny Cesarstwa Austro-Węgier szlakiem wspaniałych zabytków pozostawionych przez Habsburgów.

Przez pięć wieków Habsburgowie kształtowali losy Europy. Podczas podróży przez Węgry, Austrię i Słowację odwiedzimy Budapeszt, Wiedeń i Bratysławę, gdzie zobaczymy m.in. katedrę koronacyjną św. Marcina. Zwiedzimy klasztor Pannonhalma z sercem arcyksięcia Ottona, bazylikę w Esztergomie i urokliwe Hölokko. Całość dopełnią lokalne smaki, centralnie położone hotele i degustacja słynnego węgierskiego wina.

2 posiłki dziennie

8 dni
Wyloty z Warszawy
30/05, 12/09 2026

5.998,-

NOWOŚĆ

Japonia – Gejsze, szoguni i samuraje

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Tokio – stolicy Japonii. Świątynia Shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalny obiad. **Dz. 3** Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, dzielnica sklepów Ginza, Tokyo International Forum i Pałac Cesarski. **Dz. 4** Czas do własnej dyspozycji lub zwiedzanie Tokio z polskim pilotem. **Dz. 5** Przejazd pociągiem Shinkansen do Sendai. Zabytkowa fabryka whisky Nikka. **Dz. 6** Sendai. Wizyta w miastach Minami Sanriku i Ishinomaki, nawiedzonych przez tsunami i historia ich odbudowy. **Dz. 7** Sendai. Zatoka Matsushima. **Dz. 8** Sendai. Przejazd pociągiem Shinkansen do Kioto przez Tokio. Świątynia Shinto Fushimi Inari-taisha, targ Nishiki i Gion – urokliwa dzielnica gejsz. **Dz. 9** Kioto. Złoty Pawilon, zamek Nijo, wizyta w ogrodzie zen i spacer po bambusowym lesie w Arashiyama. Kolacja z wołowiną wagyu w menu. **Dz. 10** Kioto. Wazuka – herbaciana wioska oraz słynne Muzeum Miho z cennymi eksponatami sztuki. **Dz. 11** Kioto. Przejazd pociągiem Shinkansen do Hiroszimy. Wycieczka po Hiroszimie oraz na wyspę – świątynię Miyajima ze słynną pomarańczowo-czerwoną bramą torii. **Dz. 12** Przejazd autokarem z Hiroszimy do Shimane, przepiękne górskie krajobrazy, świątynie Shinto, zamek Matsue, kolacja kaiseki i kąpiel w gorących źródłach onsen. **Dz. 13** Shimane. Muzeum Sztuki Adachi ze wspaniałymi ogrodami oraz nadmorskie miasteczko Sakaiminato – rodzinne miasto Mizuki Shigeru, twórcy popularnej mangi. **Dz. 14** Przejazd autokarem do Osaki i wizyta w sklepie z nożami. Pożegnalna kolacja. **Dz. 15** Osaka, wylot do Warszawy. **Dz. 16** Przylot do Warszawy.

16 dni | Wylot z Warszawy 28/09 2025 | 24.998,-

Przedłużenie pobytu na plaży - 4 dni

Zachwycający Wietnam

Poznaj największe atrakcje Wietnamu czyli najważniejsze miasta: Hanoi, Hoi An, Hué i Ho Chi Minh, Deltę rzeki Mekong oraz weź udział w rejsie po Zatoce Ha Long.

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Hanoi. **Dz. 2** Wycieczka rikszami po zabytkowej części Hanoi. Jezioro Hoan Kiem. **Dz. 3** Zwiedzanie Hanoi: mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Świątynia Literatury oraz Wodny Teatr Lalek. **Dz. 4** Hanoi – Zatoka Ha Long, wpisana na listę UNESCO. Rejs i nocleg na statku w zatoce. **Dz. 5** Przelot do Da Nang i przejazd do Hoi An. **Dz. 6** Wycieczka rowerowa po Hoi An. Wyspa Kim Bong, wizyta w pracowni lokalnych rzemieślników. Spacer po zabytkowej części miasta. **Dz. 7** Dzień wolny w Hoi An. **Dz. 8** Hoi An – Hué. Przełęcz Hai Van, rejs Rzeką Perfumową, pagoda Thien Mu oraz mauzoleum Tu Duc. **Dz. 9** Wycieczka rikszami do zabytkowej części Hué, cytadela. Przelot do Ho Chi Minh (dawny Sajgon). **Dz. 10** Rejs Deltą rzeki Mekong. **Dz. 11** Tunele Cu Chi, zwiedzanie Ho Chi Minh i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Spacer po parku, wizyta na bazarze i wylot z Ho Chi Minh. **Dz. 13** Przylot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy 27/10 2025 16/01, 11/02 2026

od 11.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL29**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Co dalej z PFN?

W zrekonstruowanym rządzie jest dwóch nowych ministrów, którzy mogą wpłynąć na skomplikowaną sytuację Polskiej Fundacji Narodowej. Marta Cienkowska, szefowa resortu kultury, który sprawuje nadzór nad PFN, chce, aby Fundacja istniała. Pytanie, czy wraz z pojawieniem się nowego szefa resortu aktywów państwowych Wojciecha Balczuna spółki Skarbu Państwa znów, jak za rządów PiS, będą wpłacać na PFN? W Fundacji trwają audyty, poszły zawiadomienia na działania poprzedniego zarządu i prokuratura właśnie wszczęła śledztwa. Od roku nowy zarząd próbuje odzyskać od beneficjentów ok. 16 mln zł. Symbolem patologii PFN była akcja z 2017 r. „Sprawiedliwe sądy", szkalująca niezależnych sędziów. Miliony poszły na dofinansowanie TV Republika i inne polityczne cele PiS.

Za PiS 17 spółek (m.in. Totalizator Sportowy, PGE, PKO) płaciły karnie, ale dziś nie zamierzają. Składkę za ten rok wpłacił tylko KGHM (3,5 mln zł), a zaległości od innych urosły do ponad 45 mln zł, do tego dochodzi 17 mln zł za 2024 r. Co więcej, PFN właśnie otrzymała pozew od PKO BP z żądaniem zwrotu wpłaconych w poprzednich latach 38 mln zł. Enea i Tauron domagają się tego samego. Jako argument podają, że w 2017 r. zostały zmienione cele Fundacji. Początkowo były to promocja i ochrona wizerunku Polski oraz polskiej gospodarki, co dla państwowych spółek mogło być atrakcyjne. W czerwcu 2017 r. PiS je zmienił – m.in. na „podtrzymywanie i rozpowszechnianie tradycji narodowej (…), upowszechniania martyrologii i bohaterskich czynów Narodu Polskiego". Sytuacja jest absurdalna, bo najpierw fundatorzy – poprzez swoich przedstawicieli w Radzie Fundacji – doprowadzili w 2017 r. do zmiany celów statutowych Fundacji, a teraz tę właśnie okoliczność wykorzystują, domagając się z tego powodu zwrotu świadczeń. Warto dodać, że rok temu na wniosek nowego zarządu Rada Fundacji przywróciła pierwotne cele.

Prezes PNF Maciej Szudek zapewnia, że chce prowadzić rozliczenie poprzedniej ekipy: – Mam też nadzieję, że dojdziemy z fundatorami do porozumienia, bo w ramach PFN można budować soft power Polski. Na tyle, na ile pozwalają pieniądze, już się to dzieje. Np. w połowie sierpnia w oddziale Muzeum Narodowego w Pałacu w Otwocku Wielkim rusza Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Break In Classic" (150 tys. euro z PFN). Ok. 200 tys. zł Fundacja wyda na publikację ostatniego tomu listów Fryderyka Chopina. W porozumieniu z Ambasadą RP w Lizbonie zamierza dofinansować upamiętnienie Marii Skłodowskiej-Curie pomnikiem w stolicy Portugalii (ok. 50 tys. euro). Są nowe, wartościowe pomysły, ale musi być decyzja, co robić z tą Fundacją. (DĄB.)

Mistrzowie matmy

Jest źle i z roku na rok coraz gorzej – tak oceniane są matematyczne umiejętności polskich licealistów. I nie jest to recenzja przesadnie krytyczna, jeśli spojrzeć na wyniki kolejnych matur. W tym roku egzamin z tego przedmiotu zdało 85 proc. abiturientów (ich średni wynik to 61 pkt), w 2024 r. – 91,1 proc. (63 pkt).

Tymczasem nasza uczennica i uczniowie zajęli IV miejsce (*ex aequo* z Japonią) podczas 66. Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej (IMO 2025), która odbyła się w połowie lipca w Australii. W klasyfikacji indywidualnej Polacy zdobyli trzy medale srebrne (Mateusz Wawrzyniak – Akademickie LO Politechniki Wrocławskiej, Michał Wolny – XIV LO w Warszawie i Antoni Mazur – V LO w Krakowie) i trzy złote (Magdalena Pudełko – V LO w Krakowie oraz Stanisław Lada i Jakub Świcarz z XIV LO w Warszawie). Jest to najlepszy wynik **naszej reprezentacji** od ponad pół wieku. Na podium do tej pory żadnej nie udało się stanąć, a ostatni raz tuż za nim znalazła w 1973 r. Tyle że wówczas w olimpiadzie startowały drużyny z zaledwie 16 krajów, dziś – ze 114.

„W przypadku ucznia to jest gigantyczna praca. Żeby móc konkurować z uczestnikami z całego świata, trzeba bardzo dużo pracować samodzielnie, ale też ze swoimi kolegami i koleżankami oraz z nauczycielami" – tak w „Głosie Nauczycielskim" opisał rzeczywistość olimpijczyków dr Jacek Dymel, którego wychowanką jest

Magdalena Pudełko (także pierwsza zwyciężczyni Ogólnopolskiej Olimpiady Matematycznej, która odbywa się od 76 lat). Stwierdził też, że podstawa programowa jego przedmiotu jest fatalna, a dalsze obniżanie rangi matematyki byłoby skandalem.

W IMO 2025 wygrały Chiny, drugie miejsce zajęły USA. W sieci krążą połączone zdjęcia drużyn obu krajów. Członkowie amerykańskiej mają korzenie azjatyckie, zatem niektórzy internauci nieco żartobliwie stwierdzili, że za smykałkę do matematyki odpowiadają geny. Jeśli tak, to też je mamy – młodzi Polacy okazali się najlepszymi matematykami w Europie. (KCZARN)

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, FB/MIĘDZYNARODOWA OLIMPIADA MATEMATYCZNA, PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Błędy kosztują

Zygmunt Solorz został odwołany z funkcji szefa rady nadzorczej Cyfrowego Polsatu, Polkomtelu oraz innych kontrolowanych przez niego spółek medialnych i telekomunikacyjnych. Oznacza to, że traci również nad nimi władzę, ponieważ jako szef rady mógł decydować o tym, kto będzie tymi firmami zarządzał. Stało się tak, ponieważ popełnił dwa błędy. Pierwszy: za bardzo chciał tę władzę utrzymać, mimo wieku (68 lat), ale przede wszystkim pogarszającego się stanu zdrowia – i nie umiał jej przekazać w kompetentne ręce następców, niekoniecznie własnych dzieci. Błąd drugi: nie docenił faktu, że wnosząc swoje dwa biznesowe imperia – drugim są elektrownie Pątnów-Adamów-Konin – do fundacji TiVi i Solkomtel, zarejestrowanych w Liechtensteinie, bardzo zyskuje na podatkach, ale właśnie... ryzykuje utratę nad nimi władzy.

I to się właśnie dzieje. Solorza z rady nadzorczej jego największych firm odwołała... TiVi Foundation, którą założył. O losach biznesu Solorza w Polsce nie decyduje już jego twórca, ale sąd w Liechtensteinie. Wnosząc swój biznes do TiVi Foundation i Solkomtelu, Solorz świadomie zgodził się na podporządkowanie obu fundacji prawu tego kraju. Zgodnie z nim TiVi mogła go odwołać. Przy okazji poleciał też powołany przez Solorza prezes Polsatu. To ostrzeżenie dla innych wielkich polskiego biznesu, którzy też wnieśli swój majątek do zagranicznych fundacji.

A zaczęło się od awantury w rodzinie po ślubie Solorza z **Justyną Kulką**. Jego córka Aleksandra Żak oraz dwaj synowie, Tobias Solorz oraz Piotr Żak, poczuli się zagrożeni. Nie tylko tym, że pojawiła się kolejna pretendentka do majątku ojca, ale też do zarządzania jego biznesem, w którym ci zajmowali prominentne stanowiska w zarządach spółek. Niepokój dzieci wydawał się uzasadniony. Zanim bowiem pojawiła się młoda – czwarta już – żona, Solorz wydawał się racjonalnie podchodzić do swojego wieku i choroby, rozpoczął działania, których celem była sukcesja, podzielenie się władzą z dziećmi. Pamiętajmy: po wniesieniu biznesu do zagranicznych fundacji kontrolę nad polskimi firmami dawała tylko władza nad jego zagranicznymi fundacjami, Solorz zagwarantował ją sobie w statucie. W 2022 r. jednak przekazał kontrolę nad TiVi dzieciom. Nie byłoby sporu, gdyby się później nie wycofał (co sąd w Liechtensteinie anulował). Dla jego dzieci oznaczało to, że wszystkie postanowienia dotyczące sukcesji, nawet jeszcze za życia ojca, są ważne. Solorz wniósł apelację. Spór trwa. Sąd wyznaczył kuratora. Kłótnie spadku nie zmniejszą, nie ma jednak pewności, kto ostatecznie obejmie władzę nad biznesem Solorza. Na razie to dzieci wygrywają z ojcem i macochą. (JSOL)

TYDZIEŃ W POLITYCE

Z dość oczywistych powodów

Przemysław Sadura
Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej.

Może i demokratyczny elektorat nie obudził się na czas i 1 czerwca doszło do katastrofy, ale to do rządu należy rekord. Właśnie mijają dwa miesiące od politycznego wstrząsu, a nasi ministrowie z premierem na czele ciągle są w grupowym letargu. Najwyraźniej wciąż nie zrozumieli, co się stało. Jak inaczej wyjaśnić to, że proponują interpretacje i rozwiązania, które cieszyć mogą tylko prawicę oraz satyryków i felietonistów?

Pierwszą myślą premiera Donalda Tuska było to, że polityka rządu była w zasadzie najlepsza, ale nie nadążyła za nią komunikacja. Rzecznik rządu nie informował właściwie o osiągnięciach tej ekipy, a w związku z tym media nie potrafiły sprawić, aby wiedza o tym, jak dobrze jest nam wszystkim, trafiła pod strzechy. Tu premier musiał zadać sobie pytanie: dlaczego rzecznik nie wykonał swojego zadania? No i trafnie sobie odpowiedział: to pewnie dlatego, że przez półtora roku nie powołaliśmy rzecznika. Możemy tylko spekulować, jak do tego doszło. Może nie udało się ustalić, czy ma to być ktoś z KO, Lewicy, Polski 2050, PSL, czy może „krytyczny przyjaciel" z Razem lub jakiś bezkrytyczny celebryta. A może uznano, że osiągnięcia bronią się same, a premier nie potrzebuje pomocy w chwaleniu się, bo ma Twittera? Mniejsza o to, ważne, że premier rzecznika powołał. Niestety, choć ten od razu wziął się do chwalenia osiągnięć rządu, mediów i komentatorów to nie zadowoliło. Zdesperowany premier zapowiedział rekonstrukcję rządu.

No i znowu nie było powszechnego zachwytu wśród dziennikarzy, publicystów i ekspertów. Niektórzy robili dobrą minę do złej gry, ale większość narzekała. Ktoś wspomniał o starym winie w nowych butelkach, ktoś dodał, że nie takie to znów nowe te butelki… Zaczęły się mnożyć żarty (mój ulubiony od „Orientuj się": co takiego jest w żurku, czego nie miał Bodnar?).

W tej atmosferze Rafał Trzaskowski postanowił się obyć bez rzecznika i samodzielnie wyjaśnić decyzję o odwołaniu tegorocznego Campusu Polska. Frazę „z dość oczywistych powodów", do której się ograniczył prezydent Warszawy, złośliwcy zinterpretowali tak: cztery lata indoktrynacji młodych nic nie dały. Przemyślimy formułę i grupę wiekową, a na dobry początek zmienimy lokalizację. Wina Olsztyna?

No dobrze. Rzeczywiście „nie potraficie w komunikację". Skąd jednak pewność, że potraficie w politykę? Panie premierze, proszę rozważyć taką oto myśl: przegraliście „z dość oczywistych powodów". Nic nie komunikowaliście, bo przez półtora roku nie było czego komunikować. Macie teraz dwa lata. Na początek spróbujcie zacząć działać.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Ukraina znów na Majdanie

Takich protestów nie było w Ukrainie od początku rosyjskiej inwazji w 2022 r. Tysiące ludzi w największych miastach manifestowało przeciw zamachowi władzy na niezależność Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU). Zaczęło się od tego, że służby specjalne wzięły na celownik agentów NABU i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP). W biurach i mieszkaniach funkcjonariuszy rozpoczęły się rewizje. Opinię publiczną poinformowano, że instytucje powołane do zwalczania korupcji same są nią przesiąknięte, a niektórzy pracownicy mogą nawet szpiegować na rzecz Rosji. Mało kto chciał w to wierzyć. Wiadomo było za to, że agencje prowadzą kilka śledztw, w których przewijają się nazwiska najbliższych współpracowników prezydenta Wołodymyra Zełenskiego (m.in. biznesmena Timura Mindycza).

Na rewizjach się nie skończyło. W parlamencie pojawił się projekt ustawy 12 414. Podporządkowywał NABU i SAP prokuratorowi generalnemu (człowiekowi prezydenta). W ekspresowym tempie Rada Najwyższa uchwaliła prawo, a Zełenski podpisał. W odpowiedzi Ukraińcy wyszli na ulice Kijowa, Lwowa, Dnipro, Odessy i kilkunastu innych miast. Większość to młodzi ludzie – nasto- i 20-latkowie. Ich wystąpienia nazwano „kartonową rewolucją", bo trzymali hasła wypisane na kawałkach pudełek z tektury: „Sługa narodu (partia Zełenskiego – przyp. red.) to sługa korupcji", „12141 = 1984", „Ozzy Osbourne zobaczył, jaką ch***nię uchwaliła Rada Najwyższa, i umarł od cringe'u!".

Korupcja, zwłaszcza w czasie wojny, irytuje Ukraińców. Dlatego choć NABU i SAP nie imponowały szaloną skutecznością, ludzie postanowili bronić tych instytucji. Protest był też niezgodą na to, że prawo przyjęto na chybcika, a obóz prezydenta po raz kolejny z pogardą potraktował mechanizmy demokratyczne. Wcześniej wątpliwości budziło nałożenie sankcji na lidera opozycji czy używanie organów ścigania do walki z działaczami społecznymi i dziennikarzami. Zełenski, który słynie z dobrego słuchu społecznego, tym razem nie wyczuł nastrojów. Gdy jednak dostrzegł skalę sprzeciwu, obiecał, że wycofa się z uchwalonego prawa. Deputowani, którzy głosowali za, zaczęli przepraszać wyborców. Mimo to przez weekend ludzie nadal wychodzili na ulice. Manifestacje przebiegały pokojowo. Organy porządkowe przymykały oko na to, że przeciągały się do nocy, kiedy obowiązuje godzina policyjna.

Symboliczne było, że w Kijowie młodzież tańczyła do piosenki „Razom nas bohato", hymnu pomarańczowej rewolucji. Przy tych samych dźwiękach ich rodzice w 2004 r. demonstrowali przeciwko fałszerstwom wyborczym. Tamte protesty doprowadziły do zmiany władzy i dały początek silnemu społeczeństwu obywatelskiemu nad Dnieprem.

PAWEŁ RESZKA

Największy deal w historii

Jest porozumienie handlowe między Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską! Ogłoszono je w niedzielę przy okazji wizyty prezydenta **Donalda Trumpa** w jego szkockich włościach (m.in. dwa pola golfowe), dokąd zawitała również szefowa Komisji Europejskiej **Ursula von der Leyen**. 15 zamiast obecnych 10 proc. – tyle ma wynosić podstawowa stawka celna na unijne produkty sprowadzane do USA. Pozostałych szczegółów jest jak na lekarstwo (unijne leki mogą być objęte nawet 200-procentową stawką) i będą się wykuwać (cła na unijną stal i aluminium pozostaną na poziomie 50 proc., choć Europejczycy zapowiadają walkę o wolny od cła kontyngent) w najbliższych miesiącach. W sumie więc Trump sprzedał publice deal, który dopiero zaczyna negocjować.

Weekendową mobilizację spowodowała groźba, że jeśli nie dojdzie do porozumienia do 1 sierpnia, Ameryka wprowadzi 30-procentową stawkę podstawową na unijne

produkty (w erze przedtrumpowskiej wynosiła średnio 4,8 proc.). Bruksela szykowała się na najgorsze, przygotowując pakiet retorsji. Gdy jednak w ostatnich tygodniach Amerykanie zawarli (bardzo) wstępne porozumienia z Wielką Brytanią, Japonią i Wietnamem, w Europie powiało optymizmem.

Tak jak w przypadku wcześniejszych umów wiele pozostało do doprecyzowania, ale na wstępie ważne są trzy punkty. Po pierwsze, 15-procentowa stawka obejmie również europejskie auta, z czego zadowolone są przede wszystkim Niemcy, bo tu groziło utrzymanie obecnych 25 proc. Po drugie, wiele unijnych towarów nie zostanie objętych „piętnastką", m.in. samoloty, sprzęt do produkcji czipów, niektóre chemikalia i alkohole (poza winami). I po trzecie, Trump oświadczył, że Unia obiecała kupować od Ameryki energię w różnej postaci o wartości 750 mld dol. rocznie (z czego się cieszą unijni zwolennicy energetycznego zerwania z Rosją) i zainwestować w USA 600 mld dol.

O zawarciu szkockiego porozumienia mogła przesądzić taktyka von der Leyen, która znanym skądinąd językiem przekonywała Trumpa, że będzie to „największa umowa w historii". I wiele w tym racji. W 2024 r. USA zaimportowały europejskie towary o wartości prawie 606 mld dol., wysyłając w przeciwną stronę dobra za ok. 370 mld dol. Wynikający z tego deficyt w handlu (236 mld) jest dla Trumpa koronnym dowodem niesprawiedliwości międzynarodowego systemu. Prezydent nie wspomina jednak, że jego kraj ma znaczną nadwyżkę w handlu usługami (m.in. finanse, turystyka, edukacja) z Europą. Gdy więc zsumuje się towary i usługi, to przy łącznej wartości handlu transatlantyckiego opiewającej na 1,8 bln dol. deficyt handlowy USA nie przekracza 100 mld dol., co zdaniem wielu ekonomistów wobec takiej skali handlu jest niewielką kwotą.

ŁUKASZ WÓJCIK

© BASHAKOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES, ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK, ISSEI KATO/REUTERS/FORUM

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Grecja wprowadza „wyspowe”

21 lipca, w szczycie sezonu, Grecja wprowadziła nową opłatę turystyczną. Podatek obejmuje pasażerów promów i statków wycieczkowych. W zależności od portu wynosi latem od 5 do 20 euro od osoby, włączając dzieci. Najwyższa stawka na początek dotyczy dwóch superdestynacji na Cykladach: wysp Mykonos i Santorini. Według Greckiego Stowarzyszenia Portów (HPA) w 2024 r. na tę pierwszą zawitało 768 statków wycieczkowych z 1,29 mln turystów (Mykonos ma 15 tys. stałych mieszkańców). Podobne proporcje występują na Santorini, gdzie przekleństwem stały się „najpiękniejsze na świecie zachody słońca”, zwabiające do 20 statków dziennie. Do tej grupy dołączy pewnie wkrótce sąsiednie Paros (14,5 tys. mieszkańców), dawniej słynne z ziemniaków, obecnie z inwestycji. Od 2018 r. wydano tu 1390 pozwoleń na budowę obiektów turystycznych, często gigantycznych. Środki z „wyspowego” mają pójść na rozwój lokalnej infrastruktury – zapowiedział premier Kiriakos Mitsotakis. Bo kłopoty z wodą, ściekami, śmieciami, prądem to na tych wyspach codzienność.

Szef rządu ważył słowa, żeby nie poskarżyć się na nadmiar gości (w 2024 r. było ich ponad 36 mln, 9 proc. więcej niż rok wcześniej i 23 proc. więcej niż dwa lata wstecz). Pozostawili 22 mld euro; według szacunków szeroko pojęta turystyka wraz z zapleczem wytwarza 30 proc. PKB i zapewnia 40 proc. miejsc pracy. I to właśnie przemysł turystyczny oraz branża nieruchomości najsilniej napędzają dziś gospodarkę, która ciągle dochodzi do siebie po wielkim kryzysie w 2008 r., ale radzi sobie coraz lepiej. Grecja odnotowała w 2024 r. 2,9 proc. wzrostu, bezrobocie spadło poniżej 10 proc., topnieje dług publiczny, banki wróciły w prywatne ręce. Jednak średnia płaca (1,2 tys. euro) jest ciągle o 20 proc. mniejsza niż przed kryzysem; Grecy, po Bułgarach, mają najniższą siłę nabywczą w Unii Europejskiej. Rekord przyjazdów, który niechybnie padnie też w tym roku, nie powinien więc martwić. Byle turyści równomierniej rozpełzli się po wyspach.

Japoński Trump

Jest nazywany japońskim Donaldem Trumpem. Jego partia ma być miejscowym odpowiednikiem niemieckiej AfD. 42-letni **Sohei Kamiya** studiował geografię i ma doktorat z prawa, był nauczycielem licealnym i kierownikiem sklepu. Stoi na czele partii, która szybko zyskuje poparcie – właśnie zdobyła kilkanaście miejsc w izbie wyższej parlamentu. Światowa prasa pisze, że japońska polityka, w której od 70 lat dominuje Partia Liberalno-Demokratyczna, przestaje być nudna. Także dlatego, że i do niej, wzorem Europy i Stanów Zjednoczonych, przebił się przekaz hołdujący najniższym instynktom.

Nazwę Sanseito można przełożyć na Partię Uczestnictwa Obywatelskiego. Kamiya założył ją w pandemii, odciął tak kupony od popularności programu internetowego, w którym serwował teorie spiskowe. Głosi znajome hasło: „Najpierw Japończycy”. Obroni ich przed obcymi i spiskiem „żydowskich” kapitałów. Nie podobają mu się sankcje nałożone na Rosję. Chce rewizji pacyfistycznej konstytucji, zbrojeń i bomby atomowej. Małżonkowie nie mogą mieć innych nazwisk. Nie chce małżeństw osób tej samej płci. Niepełnosprawność rozwojowa to wymysły. Kobiety powinny rezygnować z kariery na rzecz macierzyństwa. To na początek.

Wzorem prawicowców z Zachodu Sanseito sprzeciwia się imigracji, choć nie bardzo ma przeciw czemu się opowiadać. Bo niby do Japonii ściąga rekordowa liczba obcokrajowców, ale w sumie jest ich niecałe 4 mln na 123 mln mieszkańców. A skoro imigrantów jest niewielu, to w ramach straszenia obcymi Sanseito zabrało się za turystów. Jen jest osłabiony, wakacje w Kraju Kwitnącej Wiśni stały się tańsze, turystów też przyjeżdża rekordowo dużo, zwłaszcza z Chin i Korei Południowej. Budzą poruszenie miejscowych, bo z punktu widzenia surowych japońskich norm uprzejmości są rozbrykani, a do tego śmiecą i łamią zasady ruchu drogowego. W 2024 r. podobne skargi sprawiły, że w jednym z miasteczek koło Tokio lokalne władze postawiły ekran, by zasłonić przed fotografującymi obcokrajowcami widok na górę Fudżi. Przyczyny zmiany japońskich nastrojów i sympatii partyjnych są dość podobne do europejskich i amerykańskich, a młodzi i tu nie widzą dla siebie perspektyw w skostniałym społeczeństwie. Dlatego też coraz więcej Japończyków jest skłonnych przyznać, że Kamiya i Sanseito mówią w ich imieniu.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

TEMAT NA LATO

Aż gorąco od zimna

Najpierw odmieniała nasz styl życia, potem architekturę. Dziś klimatyzacja jest już nową światową ideologią, a wkrótce może się stać motorem populizmu.

ŁUKASZ WÓJCIK

Tak nam się tylko wydaje, że możemy nie kupić klimatyzatora. Dziś może jeszcze nie musimy, jutro pewnie też. Ale to tylko kwestia czasu. Nasz wybór w tej sprawie już wkrótce nie będzie wcale nasz. I to nie tylko z powodu zmian klimatycznych. Nie tylko z powodu rosnącej presji kulturowej, ale także globalnego modelu biznesowego. Rozłóżmy go na czynniki pierwsze.

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) klimatyzator nadający się do ochłodzenia średniej wielkości pokoju zużywa tyle energii elektrycznej, ile cztery średniej wielkości lodówki. W przypadku urządzeń do chłodzenia całych mieszkań może to być odpowiednik 15 i więcej lodówek. W rezultacie w północnoamerykańskich i wschodnioazjatyckich metropoliach już dziś klimatyzatory odpowiadają za ponad połowę zużytej energii w okresach letnich. A to dopiero początek, biorąc pod uwagę zmiany klimatyczne.

W Indiach, Brazylii czy Indonezji miasta zamieszkane od wieków stają się dziś niezdatne do życia, bo temperatury latem dobijają tam do 50 st. C. Na całym świecie fale upałów są coraz gorętsze, zdarzają się częściej i trwają dłużej. Obecnie 2,2 mld ludzi (30 proc. światowej populacji) doświadcza upałów zagrażających życiu przez co najmniej 20 dni w roku. A według prognoz do końca stulecia będzie to dotyczyć 66 proc. ludzkości. Globalny rynek klimatyzatorów rozwija się więc w tempie dwucyfrowym. A będzie jeszcze szybciej, bo 11 z 30 największych miast świata leży w tropikach.

Według ONZ 2 mld klimatyzatorów na całym świecie odpowiadają już za 7 proc. globalnej emisji gazów cieplarnianych – liczba ta ma się podwoić do 2030 r. i potroić do 2050 r., kiedy to w użyciu będzie ponad 5 mld takich urządzeń. To napędza spiralę klimatyczną: zwiększająca się emisja dwutlenku węgla jeszcze bardziej podniesie globalne temperatury, co doprowadzi do jeszcze częstszego korzystania z klimatyzacji i jeszcze wyższych temperatur itd. Wszystko to zasila model biznesowy, który zaczął się od wykorzystania technologii schładzania i obniżania wilgotności powietrza w przemyśle, potem

eprasa.pl f2ce6bb9a0

© REX FEATURES/EAST NEWS

skolonizował architekturę, odmienił nasz styl życia, a dziś jego skutki społeczne i polityczne są już tak szerokie, że można go nazwać „ideologią klimatyzacji".

Odkąd nasi przodkowie opanowali ogień, potrafimy się ogrzać, ale chłodzenie od początku stanowiło problem. Rzymski cesarz Heliogabal (218–222) wysyłał niewolników, aby zwozili śnieg z gór i gromadzili go w jego ogrodzie, skąd chłodniejsze powietrze trafiało do środka budynków. Trudno jednak było to rozwiązanie upowszechnić – przynajmniej do XIX w., kiedy bostoński przedsiębiorca Frederic Tudor zbił fortunę na wycinaniu bloków lodu z zamarzniętych jezior Nowej Anglii, które potem izolował trocinami i latem wysyłał do wielkich miast wschodniego wybrzeża USA (tak, widzieliście to w „Krainie lodu").

Przez pierwsze pół wieku technologia stojąca za przyszłą klimatyzacją nie była wykorzystywana do kontroli temperatury. W 1902 r. inżynier Willis Carrier wykorzystał ją, aby zmniejszyć i ustabilizować wilgotność w jednej z drukarni na nowojorskim Brooklynie. Drukarze narzekali, że zmienna wilgotność kurczy lub rozszerza arkusz papieru, co sprawia, że nie da się precyzyjnie nanieść kolejnych kolorów. Carrier trafnie założył, że obniżenie temperatury obniży też wilgotność. Zastosował więc rozwijaną właśnie technologię chłodniczą, której podstawowe reguły nie zmieniły się w sumie do dziś. Potrzebne jest urządzenie, które zasysa ciepłe i wilgotne powietrze, przepuszcza je wzdłuż zimnej powierzchni, a następnie wypuszcza chłodne i suche.

Pomysł błyskawicznie podchwyciły inne branże wrażliwe na temperaturę i wilgotność: fabryki amunicji, tekstyliów, leków. Prawdziwym hitem klimatyzacja stała się dla przemysłu rozrywkowego. Amerykańskie kina i teatry miały ogromny problem z latem. Ich widownie znajdowały się w zamkniętych pomieszczeniach, najczęściej bez okien, gdzie na małej przestrzeni tłoczyły się setki ludzi. Madison Square Garden przez lata importowała tony lodu z północy kraju i ustawiała za nimi olbrzymie wentylatory.

Do prywatnych domów w USA pierwsze klimatyzatory zaczęły trafiać dopiero w latach 40. Wcześniej długo się wydawało, że ten pomysł poniósł porażkę. Media traktowały klimatyzację jako luksusowy zbytek, magazyn „Forbes" pisał o niej – „największe rozczarowanie lat 30.". Do wojny zaledwie jeden na 400 amerykańskich domów miał klimatyzację. Dziś ma ją dziewięć na dziesięć.

Za przełom w karierze klimatyzatorów nie odpowiada wcale nagły wzrost popytu konsumenckiego. Według Erica Deana Wilsona, autora książki „After Cooling", to nie ludzie rzucili się kupować klimatyzatory. Kołem zamachowym był sojusz ich producentów, spółek energetycznych i biznesu budowlanego, który miał swoje złote lata w powojennej Ameryce. Dla amerykańskich deweloperów klimatyzacja okazała się zbawieniem. Mogli budować, jak chcieli, gdzie popadnie, nie zważając na lokalny klimat. Takie same domki powstawały więc w zimnym, deszczowym Vermoncie i spalonym słońcem Teksasie. Wszędzie z tych samych najtańszych materiałów. Te uchybienia sztuki budowlanej – pozwalające deweloperom zarabiać krocie dzięki efektowi skali – miała niwelować klimatyzacja instalowana w standardzie. ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Równie zainteresowane klimatyzacją były firmy energetyczne – raz zainstalowane klimatyzatory oznaczały większy pobór energii. Już w latach 50. dostawcy prądu za własne pieniądze promowali klimatyzację, m.in. wykupując reklamy w mediach. W 1957 r. największy z nich, Commonwealth Edison, informował, że pierwszy raz w historii szczyt zapotrzebowania na prąd nastąpił nie zimą, lecz latem – właśnie za sprawą klimatyzatorów.

Mniej więcej wówczas rozpoczęła się w USA era szklanych drapaczy chmur, budynków ze swojej natury łamiących wszystkie tradycyjne zasady „chłodnego" budowania. Płaski, o szklanej powierzchni pochłaniającej ciepło, niewentylowany – taki budynek musi być szczelny, bo między dolnymi a górnymi kondygnacjami różnice ciśnienia mogą być ogromne. Takie konstrukcje stałyby się piekarnikami, gdyby nie klimatyzacja.

Tak zaadaptowana nowa technologia zrewolucjonizowała amerykańską demografię, a co za tym idzie również politykę – zauważa Wilson. Jeszcze w 1940 r. najludniejszymi stanami były Nowy Jork, Pensylwania i Illinois. Potem zaczęła się stopniowa migracja na południe, gwałtownie przyspieszona dzięki upowszechnieniu klimatyzacji w miejscach, które bez niej dziś byłyby nie do życia. W rezultacie już w 2015 r. najludniejszymi stanami USA były Floryda, Teksas i Kalifornia. W dwóch pierwszych wahadło polityczne wyraźnie wychyliło się w prawo – głównie za sprawą napływu bogatych, konserwatywnych migrantów z północy, często emerytów. W latach 1940–80 południowe stany zyskały łącznie 29 głosów elektorskich, podczas gdy te na północnym wschodzie i w Pasie Rdzy straciły 31. Klimatyzacja (między innymi) sprawiła więc, że o ile od 1900 do 1948 r. tylko dwóch prezydentów lub wiceprezydentów pochodziło ze stanów południowych, o tyle od 1952 do 2004 r. w każdym zwycięskim duecie był ktoś z Południa.

Początkowo klimatyzacja była fenomenem wybitnie amerykańskim, w zasadzie niezauważalnym w innych częściach świata. W latach 80. i 90. wyjątkami były Australia, Japonia i Singapur. Potem fala ruszyła. W nowych metropoliach przełomu wieków nie tylko budowano wieżowce zaskakująco podobne do tych amerykańskich – często były one projektowane przez tych samych architektów, a nawet składały się z tych samych materiałów. W pakiecie była też klimatyzacja.

Odbywało się to z pogwałceniem wielowiekowych zasad budownictwa w danym klimacie. Rezygnowano z ciągów powietrznych, podcieni, odpowiednich fasad i izolacji. Wszystko to było próbą negocjacji z naturą, z miejscowym klimatem. Od kilkudziesięciu lat nikt już nie negocjuje. Budynki mają powstawać jak najszybciej, na podstawie gotowych planów, a późniejsze „niedociągnięcia" związane z lokalną specyfiką klajstruje się przy użyciu klimatyzacji.

Laureat ekonomicznego Nobla William Nordhaus nazywa to postplanowaniem. Dziś już mało kto przejmuje się z wyprzedzeniem zagospodarowaniem terenu, jego funkcjami, użytecznością. Rynek wymusza błyskawiczne decyzje: jest działka, jest projekt, jest budowa. Czy w takim budynku będzie można przetrwać, to już sprawa dla speców od instalacji klimatyzacyjnych, nie architektów.

Ci sami fachowcy przy okazji zaprojektowali nam „optymalną temperaturę", która na całym świecie utrzymuje się między 21 i 23 st. C. Oczywiście nie ma czegoś takiego jak optymalna temperatura dla gatunku ludzkiego bez względu na strefę klimatyczną. Inna będzie w Chartumie, inna w Oslo. Mało tego, nie ma optymalnej temperatury jednocześnie dla mężczyzn i kobiet, które zazwyczaj marzną w biurze, gdy ich koledzy z pracy kręcą klimatyzacją.

Seul, klimatyzowany przystanek autobusowy

Jądrem tej optymalizacji są duże lotniska, bez względu na to, gdzie się znajdują. Na wszystkich obowiązuje uproszczony angielski i wszystkie dzięki klimatyzacji mają ten sam klimat – właśnie gdzieś między 21 i 23 st. C. Ale to tylko punkt wyjścia. W Europie jeszcze tego tak nie widać, ale np. w Miami i w zasadzie każdym większym mieście amerykańskiego Południa możesz przejść z klimatyzowanego domu do klimatyzowanego garażu, a następnie klimatyzowanym samochodem wjechać na klimatyzowany parking klimatyzowanego centrum handlowego, w którym jest też oczywiście kino, restauracja i twoje biuro – wszystko klimatyzowane. A nawet jeśli ważne dla ciebie budynki są od siebie oddzielone, to coraz częściej łączą je klimatyzowane korytarze (z ruchomymi chodnikami oczywiście), jak w okolicy Miami Tower.

Społeczne skutki zmian wprowadzonych przez życie w klimatyzowanej bańce są piorunujące. Zanika w zasadzie sfera publiczna jako przestrzeń niekontrolowanych interakcji międzyludzkich. Każdą niestandardową aktywność ruguje się poza kontrolowaną przestrzeń jako zjawisko niekorzystne z komercyjnego punktu widzenia. Taki klimat rodzi kulturę, która przy wykorzystaniu zaawansowanej inżynierii dąży do likwidacji lokalnej konkurencji, aby stworzyć ujednolicone i sprzyjające produktywności środowisko. Dlatego Nordhaus nazywa klimatyzację „technologią, która w epoce globalizacji stała się ideologią". Wyrosła jako czynnik napędzający wzrost gospodarczy, później stała się dla niego niezbędna, aby stać się siłą homogenizującą świat.

© HEO RAN/REUTERS/FORUM, IBRAHEEM ABU MUSTAFA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Doha, klimatyzowany park

W takiej rzeczywistości przewodnią rolę zaczyna odgrywać „klasa aklimatyczna" – ludzie uniezależnieni od klimatu i kultury, którzy przemierzają świat, prawie nie wystawiając nosa poza klimatyzację. W tej przestrzeni wszystko jest podobne do siebie, potrzebne rzeczy i usługi są zawsze w tym samym miejscu, jak kontakt przy łóżku hotelowym czy suszarka w łazience, a temperatura jest zawsze optymalna. I taki powtarzający się układ – bez kontaktu z tzw. resztą świata – sprawia, że większość ludzkich procesów się automatyzuje, co podnosi wydajność pracy klasy aklimatycznej. A to z kolei przynosi jej jeszcze więcej korzyści i pozwala jeszcze szczelniej odciąć się od reszty świata.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby zdać sobie sprawę, jak wybuchowe społecznie może być takie zjawisko. Tu przykład francuski. Nie od dziś mieszkańcy tego kraju mają awersję do wszystkiego, co amerykańskie, w tym do klimatyzacji. W porównaniu z amerykańskimi standardami „tylko" 25 proc. francuskich mieszkań jest klimatyzowanych (w Polsce ok. 5 proc.). Ma to również związek z silnymi ruchami ekologicznymi i tworzy establishmentowy konsens: klimatyzacja tak, w najważniejszych budynkach publicznych i przeważnie w transporcie publicznym; reszta ma korzystać z naturalnego chłodzenia, plus geotermia, renowacja budynków i zazielenianie miast.

I tu wchodzi Marine Le Pen. Trzy miesiące temu zaproponowała „wielki plan klimatyzacji", który ma objąć wszystkie budynki publiczne, zwłaszcza szkoły, szpitale i domy spokojnej starości. Liderka skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego ma twarde argumenty. Klimatyzacja ratuje życie – według pisma „The Lancet" tylko w 2019 r. zapobiegła 195 tys. zgonów związanych z upałami wśród osób w wieku 65+ na całym świecie. Le Pen argumentuje też, że Francja – ze swoją tanią energią atomową – jest wręcz skazana na klimatyzację. I na koniec używa zabójczego politycznie argumentu: francuskie elity w chłodzie klimatyzowanych gabinetów oczekują od „topiących się" Francuzów poświęcenia na rzecz ratowania świata przed zagładą klimatyczną. Ich niedoczekanie.

Trudno tu nie wyczuć tematu, który już wkrótce może się stać żyłą złota dla populistów wszelkiej maści. Pozwoli podzielić społeczeństwa wokół problemu, który już dotyka albo wkrótce dotknie nas tak bezpośrednio, jak to tylko możliwe. W ten sposób klimatyzacja stała się społeczną i polityczną pułapką, choć jeszcze niedawno była postrzegana jako warunek szeroko pojętego rozwoju. Lee Kuan Yew, singapurski premier przez ponad 30 lat, twórca potęgi tego skrawka Azji, w jednym z wywiadów powiedział, że oprócz charakterystycznego dla Singapuru multikulturalizmu to właśnie klimatyzacja była najważniejszym czynnikiem jego gospodarczego i cywilizacyjnego sukcesu – umożliwiła „postęp w tropikach".

Jednak właśnie z tej perspektywy można wysnuć zupełnie inny wniosek – klimat jest społecznie niesprawiedliwy. Bo jeśli przyjmiemy, że warunkuje postęp albo że jego kontrola za pomocą klimatyzacji umożliwia rozwój, to państwa, które nie miały szczęścia do klimatu albo nie stać ich na jego kontrolowanie, są klimatycznie dyskryminowane. Biorą udział w nierównych zawodach.

A można pójść jeszcze dalej. Kraje z dobrym klimatem, jak choćby europejskie, z tego właśnie powodu są dziś silniejsze gospodarczo. I jako takie są większymi emitentami dwutlenku węgla. W większym stopniu odpowiadają więc za zamiany klimatu, które najpierw uderzają w kraje, które już wcześniej miały pecha, co jeszcze bardziej zaburza wyścig do postępu. I ta spirala się nakręca. Zmiany klimatu wywołane przez zachodni przemysł sprawiają, że Zachód – gdzie też klimat się zmienia, ale wolniej – zbroi się jeszcze bardziej w klimatyzację, która... przyspiesza zmiany klimatu w „pechowych" częściach świata. Wkrótce już nikt nie będzie mógł jej wyłączyć.

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Donald Tusk i jego nowa ekipa

Akrobacje koalicji

Z wyeksponowanym Radkiem Sikorskim i być może ostatnią już próbą odnowienia wielkiej polaryzacji z PiS. Rekonstrukcja rządu obfitowała w personalne zmiany, ale to wciąż jedynie korekta, podczas gdy potrzebny jest przełom. Tylko czy Donalda Tuska jeszcze stać na realne nowe otwarcie?

RAFAŁ KALUKIN

Po wyborach prezydenckich Tusk znalazł się w najgłębszym dołku w całej karierze politycznej, przynajmniej od czasu własnej porażki w wyborach prezydenckich w 2005 r. Potem przez lata cieszył się w swoim obozie niekwestionowanym autorytetem pogromcy PiS, jednoosobowej zapory przed prawicowym populizmem. Wszystkie wielkie zwycięstwa od blisko dwóch dekad były w końcu jego osobistymi sukcesami. Klęski spadały pod jego nieobecność, dodatkowo wzmacniając mit Tuska, który na tle słabych zmienników wydawał się jeszcze potężniejszym herosem. A kiedy na białym koniu powrócił z brukselskiego uchodźstwa, można było odnieść wrażenie, że legenda znalazła swój epilog.

Jej wyznawcy tym boleśniej przeżywają teraz ostatnie wybory. Nie tak to przecież miało wyglądać, z Tuskiem na mostku kapitańskim nic złego nie miało prawa się wydarzyć, a jednak. Bo nawet przy uzasadnionym krytycyzmie wobec kampanii Rafała Trzaskowskiego trudno mówić o indywidualnym potknięciu kandydata, który czołowo zderzył się z ogólnym rozczarowaniem rządami koalicji 15 października. A nieskuteczna interwencja samego Tuska w końcówce kampanii dodatkowo pokazała, że stary mistrz stracił dawną formę. W partii zostało to natychmiast zauważone, o czym świadczyły całkiem liczne głosy anonimowych platformersów w mediach, że być może Tusk powinien już pomyśleć o emeryturze. Takich sugestii w obchodzącej wkrótce ćwierćwiecze formacji jeszcze nie było.

Nic dziwnego, że w pierwszych tygodniach po klęsce premier się pogubił. Szczególnie przy okazji zamieszania związanego z ujawnionymi nieprawidłowościami w liczeniu głosów, kiedy w pierwszej chwili odciął się od rodzącej się w żelaznym elektoracie teorii o ukradzionym zwycięstwie Trzaskowskiego, następnie ją uwiarygodnił, po czym znów się wycofał. Ten brak konsekwencji sprawił, że dzisiaj to Tusk jest głównym adresatem pretensji swoich najtwardszych zwolenników, którzy zwątpili w jego hart ducha. Bo miał przecież zrobić wszystko, żeby zablokować zaprzysiężenie Karola Nawrockiego i doprowadzić do ponownego przeliczenia głosów.

Świetnie to było widać na sobotnim spotkaniu w Pabianicach, kiedy premier dramatycznie pytał zgromadzonych słuchaczy, czy naprawdę chcą żyć w takiej Polsce, gdzie o rozstrzygnięciach wyborczych decydują policjant z prokuratorem. Ale reakcja ogólnie sprzyjającej mu sali była w najlepszym razie ambiwalentna. Ten najtwardszy elektorat zmaga się dzisiaj z traumą i wymaga szczególnej opieki, której po wyborach jednak nie otrzymał. A nie był przygotowany na klęskę również z tego powodu, że zanadto zaufał legendzie Tuska zwycięzcy. Wybór, przed którym stanął premier, był zatem paradoksalny. Ulegając presji na ponowne

© ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

przeliczenie głosów, mógł ocalić choćby resztki owej legendy. Tylko że skutkiem byłby potężny kryzys legitymizacyjny, czego dla dobra państwa należało uniknąć.

Chociaż nie jest też do końca jasne, co tak naprawdę nim kierowało. Wiadomo, że rozważał rozmaite scenariusze. Konsultował to z pozostałymi liderami partii koalicyjnych, którzy nie byli jednak skłonni brnąć w awanturę. Szczególnie oporny był Szymon Hołownia i raczej nie było szans, żeby go skłonić do przesunięcia zaprzysiężenia. Ostatnie opowieści szefa Polski 2050 o naciskach na przeprowadzenie „zamachu stanu" w jakimś stopniu mogą być nawet prawdziwe, chociaż niewątpliwie doszło tutaj do nadinterpretacji. I to dokonanej z ewidentnie złej woli.

Bo gdyby Tusk chciał wywrzeć na Hołowni realną presję, to przecież nie spełniłby wszystkich jego żądań przy okazji negocjowanej w tym samym czasie rekonstrukcji rządu. Tymczasem Polska 2050 dostała niemal wszystko, czego tylko chciała: ocaliła nieporadną Paulinę Hennig-Kloskę w Ministerstwie Klimatu, dostała dodatkowo resort kultury, a do tego jeszcze obietnicę awansowania w listopadzie Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz na stanowisko wicepremierki. Publiczne wynurzenia coraz mniej stabilnego marszałka Sejmu świadczą więc głównie o jego ogólnie marnej kondycji. Chociaż Tuskowi taki partner w sumie może być nawet na rękę jako piorunochron, w który ciskają gromy coraz bardziej pogubieni w tym chaosie wyborcy rządzącej koalicji.

Czas był jednak najwyższy, żeby zacząć to wszystko porządkować. I po to była rekonstrukcja. Zapowiadana od miesięcy, wedle pierwotnych zamierzeń miała być wstępem do wielkiej ofensywy po zwycięstwie Trzaskowskiego. Ale rzeczywistość okazała się brutalna i trzeba było przejść do defensywy. Opowiadający teraz w Pabianicach o „ściąganiu cugli" premier starał się to oczywiście ukrywać; skądinąd intrygujące, że użył pamiętnego sformułowania Jana Rokity sprzed 20 lat, wówczas trudnego partnera w Platformie, a dziś swojego konsekwentnego krytyka.

Dokonując zmian w gabinecie, Tusk musiał kalkulować trzy zasadnicze cele. Po pierwsze, ponownie skonsolidować najwierniejszy elektorat, odbudować z nim osobistą więź, stłumić narastające przekonanie o nieuchronnej klęsce za dwa lata. Po drugie, uspokoić rozwichrzone relacje wewnątrz koalicji i przywrócić dyscyplinę. I po trzecie, sprecyzować strategię rządzenia na najbliższe dwa lata, modyfikując pod tym kątem rządową konstrukcję. Problem w tym, że pod wieloma względami były to cele wewnętrznie sprzeczne, co musiało się skończyć niedosytem.

Dla samego Tuska najbardziej istotny był chyba jednak aspekt motywacyjny. W pierwszej kolejności komunikował się w końcu z żelaznym elektoratem, tak jakby zabiegał o rehabilitację w jego oczach i prosił o kolejną szansę, być może już ostatnią. Stąd taki nacisk na kontynuację rozliczeń rządów PiS, co dla innych potencjalnie sprzyjających koalicji grup już od dawna nie jest przecież atrakcyjne, a nawet może zostać odebrane jako ucieczka od właściwego rządzenia. Premier postąpił mimo wszystko racjonalnie, inwestując w twardy elektorat, bo z rozmiękczonym ostatnim bastionem nie da się niczego wygrać w spolaryzowanej polityce. O ile wcześniej można mu było zarzucać, że zbyt często schlebia swoim „twardzielom" kosztem oferty dla szerokich grup wyborców, o tyle zmagając się z kryzysem zaufania w wyborczym mateczniku, po prostu nie ma innego wyjścia.

I po to właśnie była szeroko komentowana nominacja Waldemara Żurka na nowego ministra sprawiedliwości po krytykowanym za legalistyczny sentymentalizm Adamie Bodnarze. Represjonowanemu przez PiS sędziemu z pewnością nie zabraknie osobistej determinacji do prowadzenia rozliczeń, chociaż nie wiadomo, jak będzie z realnymi możliwościami. Przy Nawrockim nie ma mowy o systemowej odbudowie praworządności, chociaż istnieje trudna ścieżka pozbywania się neosędziów metodą postępowań dyscyplinarnych. Nieprzypadkowo jednak Tusk akcentował rolę Żurka przede wszystkim jako prokuratora generalnego, który ma przyspieszyć postępowania wobec odpowiedzialnych za ustrojową destrukcję polityków PiS.

Problem w tym, że debiutującemu w polityce sędziemu może być ciężko wpłynąć na indolentną z natury strukturę. Prokuratorzy doskonale wiedzą, skąd teraz wieją polityczne wiatry i wielu nie będzie skłonnych nadstawiać karku w obliczu prawdopodobnej zmiany rządów. Jeszcze w dniu nominacji zaczęły krążyć w politycznych kuluarach niby to krzepiące żarciki (np. „wchodzi Tusk do wypełnionej posłami PiS sejmowej restauracji i dysponuje: Żurek dla każdego"), sporo też pojawiło się tego rodzaju propagandy w mediach społecznościowych. Nadmierny triumfalizm po zderzeniu się z oporem materii może jednak wyjść koalicji bokiem. Swoją drogą zarządzanie oczekiwaniami od lat pozostaje piętą achillesową strony demokratycznej.

Drugim uwiarygadniającym rozliczeniowy kurs ministrem jest Marcin Kierwiński, który po licznych perypetiach powrócił do MSWiA i ma teraz zadbać o policyjne wsparcie w postępowaniach.

Mniej czytelny, chociaż politycznie istotniejszy, jest awans Radosława Sikorskiego na wicepremiera. Nawet jeśli w przypadku szefa MSZ to połączenie osobliwe, bo nie istnieje ponadresortowa struktura w jego obszarze kompetencyjnym, którą Sikorski mógłby zarządzać. Bardziej więc chodzi w tym przypadku o order niż dodatkową gwiazdkę na pagonie.

Podnosząc starego druha do rangi swojego zastępcy, Tusk zapewne chciał upiec kilka pieczeni na jednym ogniu. To bez wątpienia z jego strony zagrywka wizerunkowa, zresztą nie pierwsza tego rodzaju. W podobnych okolicznościach na początku 2013 r. awansował na wicepremiera swojego ministra finansów Jacka Rostowskiego, co miało ilustrować przekaz o gospodarskiej trosce szefa rządu o stan finansów publicznych po globalnym kryzysie. A kiedy Rostowski niespełna rok później postanowił odejść, wakat wicepremiera objęła szefowa Ministerstwa Rozwoju Elżbieta Bieńkowska. Wtedy z kolei Polacy usłyszeli, że odtąd głównym priorytetem rządu ma być pozyskiwanie pieniędzy z unijnych funduszy. I tak samo teraz z Sikorskim: najważniejsza jest polityka zagraniczna i bezpieczeństwo.

Ale przy okazji Tusk równoważy rządową hierarchię, żeby po zapowiedzianym już wicepremierostwie dla Pełczyńskiej-Nałęcz nie zostać otoczonym przez niesubordynowanych często koalicjantów. Szczególnie istotne wydaje się formalne zrównanie Sikorskiego z szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Polityka zagraniczna i bezpieczeństwo to bowiem główne obszary kolizyjne z prezydentem Nawrockim, wokół których ukształtuje się główna oś polaryzacji. Koncyliacyjny ludowiec z pewnością będzie jednak szukał kompromisów, co oczywiście byłoby zgodne z logiką państwową, ale pod warunkiem że Nawrocki również okazałby się państwowcem. Na co trudno liczyć.

Z kolei przy prezydenturze konfrontacyjnej ugodowość Kosiniaka-Kamysza stanie się w rękach Nawrockiego narzędziem ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Nowe twarze rządu

Wojciech Balczun – minister aktywów państwowych. Jeden z najoryginalniejszych polskich menedżerów (i muzyk). Rocznik 1970, dał się poznać m.in. jako sprawny prezes spółki PKP Cargo, którą w latach 2008–13 postawił na nogi i wprowadził na giełdę (ostatnio PKP Cargo znów potrzebuje ratownika). Po kolejowym sukcesie został prezesem Kolei Ukraińskich. Poprawiając wyniki ukraińskiego przewoźnika, naruszył wiele lokalnych układów i musiał wracać do Polski. Na początku tego roku został prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu, a teraz zastąpił Jakuba Jaworowskiego jako szef MAP. Balczun ma też drugie wcielenie – rockmana. Jest czynnym muzykiem – gitarzystą i liderem zespołu Chemia. W 2023 r. ich album „Something to Believe In" zajął piąte miejsce w plebiscycie magazynu „Teraz Rock".

Marta Cienkowska – ministra kultury. W MKiDN już od 2023 r. jako podsekretarz stanu blisko współpracowała z Hanną Wróblewską. Jej wybór można uznać za kontynuację dotychczasowej linii, tyle że z uwzględnieniem politycznej korekty (Cienkowska wywodzi się ze struktur Polski 2050) oraz wrażliwości na kwestie lokalnej dostępności kultury. Jako menedżerka z przygotowaniem akademickim oraz doświadczeniami 37-letnia szefowa resortu wydaje się na miejscu, choć start może mieć trudny: nie zdążyła sobie zbudować w branży takiej pozycji, jaką ma Wróblewska, a w ministerstwie odpowiedzialna była dotąd za start programu KPO, źródło kontrowersji i środowiskowej krytyki.

Stefan Krajewski – dotychczasowy wiceminister rolnictwa z ramienia PSL, ma poprawić notowania tej partii na wsi. Musi lawirować między sprzecznymi

postulatami: rozwoju rolnictwa oraz ochrony status quo, czyli przywilejów dla małych gospodarstw. Ma też chronić rynek przed importem z Ukrainy i torpedować umowę o wolnym handlu z krajami Ameryki Południowej, wynegocjowanej przez UE. Niestety nie mamy w Unii sojuszników, wspiera nas tylko Francja. Włochy się rozmyśliły.

Miłosz Motyka – minister energii. Powrót do stworzonej przez PiS (a potem porzuconej) koncepcji superresortu energii i obsadzenie na stanowisku ministra młodego ludowca Miłosza Motyki jest najbardziej hazardowym posunięciem Donalda Tuska. Motyka – rocznik 1992 – to dziecko partii. Absolwent inżynierii środowiska na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie i Szkoły Liderów Politycznych, bez żadnego

---

▶ wywierania wpływu na Tuska, a może nawet szantażu. Bo jeżeli można się z szefem MON dogadać np. w sprawie nominacji generalskich, to dlaczego Sikorski nie chce współpracować przy ambasadorskich? Ludzie Nawrockiego już zresztą zapowiedzieli, że nowy prezydent zamierza przejąć kontrolę nawet nad polityką europejską, co do tej pory było domeną rządów. Tyle że dysponuje stosowną podkładką w postaci uchwalonej u schyłku rządów PiS ustawy, co zwiastuje powrót „wojny o krzesło" na unijnych szczytach, jak w czasach Lecha Kaczyńskiego. I również pod tym kątem warto było podnieść szarżę Sikorskiego.

Tyle że Sikorski jest dziś kimś więcej niż tylko dobrze ocenianym szefem MSZ. Po klęsce Trzaskowskiego i skruszeniu się mitu Tuska wyrósł na najpopularniejszą figurę swego obozu. Dla żelaznego elektoratu stał się substytutem dawnego Tuska, to na jego łąkach skubie dziś trawkę biały koń. Niesie go niesprawdzalna opowieść z gatunku historii alternatywnej, czyli co by było, gdyby to on kandydował na prezydenta. Jego wejście w kampanię zrobiło zresztą o niebo lepsze wrażenie niż szarpanina Tuska. A teraz zręcznie rozgrywa rodzący się wokół jego osoby nimb, po raz pierwszy próbując zbudować własne środowisko w partii i poza nią. Jego syn zapowiedział imprezę dla młodych liderów, trochę na wzór tymczasem porzuconego Campusu Trzaskowskiego.

Jaki jest stosunek Tuska do eksplozji popularności Radosława Sikorskiego? Czy myśli o tym, jak ją sensownie wykorzystać, czy też zaczął się jej obawiać? Jedno nie wyklucza drugiego, niemniej w tej sprawie krążą wyłącznie domysły. Można odczytywać awans antypisowskiego wojownika w tej samej logice, co nominacje Żurka i Kierwińskiego. Czyli jako gest pod adresem twardej bazy. W jakimś sensie Sikorski podaje więc osłabionemu premierowi kroplówkę niezbędnego w takich czasach radykalizmu. Tylko czy bezinteresownie? Zawsze był wobec swego szefa w partii i rządzie lojalny. To Tusk przed laty wprowadzał Sikorskiego do PO, w którym był ciałem trochę obcym, funkcjonującym na osobnych zasadach, dzięki osobistej rękojmi patrona.

Być może więc Tusk nie powinien mieć powodów do obaw. Ale tak samo było kiedyś z Grzegorzem Schetyną, którego eliminował latami, z niezwykłą niekiedy zaciętością. Chociaż jego najbliższy wcześniej towarzysz zgrzeszył jedynie tym, że politycznie urósł. Przy okazji Tusk odsłonił wtedy swoją skrajnie nieufną naturę, którą na co dzień potrafi świetnie ukrywać za fasadą prezentowanej otwartości. A przecież w tamtej epoce nikomu jeszcze nie przychodziło do głowy wysyłać go na emeryturę jak teraz. Toteż nie brakuje w KO opinii, że wynosząc Sikorskiego, Tusk postanowił go jeszcze bardziej do siebie przytulić i tym samym ograniczyć pole samodzielnej politycznej gry.

Co nie wyklucza, że będzie go traktował jak asa w rękawie i osobistą polisę na wypadek, gdyby sprawy przybrały już całkiem fatalny obrót. Bo może być tak, że społeczny resentyment wobec Tuska będzie się już tylko pogłębiał, ciągnąc koalicję na dno. Próbuje to dziś powstrzymać, grając na zaostrzenie polaryzacji. Problem w tym, że po ostatnich wyborach scena stała się wielobiegunowa, doszli nowi rywale. A to może wymagać subtelniejszej niż dotąd polityki. Zwłaszcza wobec Konfederacji, która nie stanowi monolitu, a jej relacje z PiS są dosyć skomplikowane. W Platformie nie brakuje entuzjastów podjęcia gry na Sławomira Mentzena i jego środowisko, żeby go odciągnąć od narodowców Krzysztofa Bosaka, oferując alternatywny wobec prawicowego układ koalicyjny. Nieprzypadkowo w Pabianicach Tusk zdobył się na komplement pod adresem lidera Konfederacji.

Nie jest to oczywiście opcja pierwszego wyboru, prędzej ostatnia deska ratunku. Ale zwornikiem takiego układu z pewnością nie byłby już Tusk. Co innego Sikorski z jego bardziej konserwatywnym profilem. Toteż można sobie wyobrazić scenariusz, w którym na kilka miesięcy przed wyborami w 2027 r. Tusk oddaje mu rządowy ster, samemu usuwając się w cień. Bo chyba raczej

© FACEBOOK (2), PAP (2), REPORTER (3)

eprasa.pl f2ce6bb9a0

doświadczenia w gospodarce i ze skromnym dorobkiem w administracji. Dotychczas dał się poznać jako szef młodzieżówki ludowców oraz wygadany rzecznik PSL. Do rządu trafił jako podsekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, gdzie zajmował się sprawami elektromobilności i energetyki odnawialnej, ale bez szczególnych sukcesów. Teraz jako szefa ministerstwa łączącego kompetencje wcześniej należące do resortów przemysłu oraz klimatu (ale energetyka odnawialna pozostanie w MKiŚ) czekają go karkołomne wyzwania związane m.in. z transformacją energetyczną i przekonaniem górników do dekarbonizacji. A Polacy będą od niego oczekiwali taniej energii.

Jakub Rutnicki – nowym ministrem sportu został praktyk tej dziedziny życia. W przeszłości był bramkarzem w Sokole Pniewy, trenował karate i siatkówkę, ma też uprawnienia ratownika wodnego. Na razie zapowiada kontynuację programów finansowania lokalnych klubów, budowy infrastruktury oraz przyspieszenie prac nad strategią rozwoju sportu. Jego poprzednik w resorcie Sławomir Nitras wprost mówił, że jednym z największych problemów polskiego sportu zawodowego są działacze, więc środowisko po nim nie płacze. Rutnicki przychodzi z czystą kartą, już zapowiedział serię spotkań z prezesami, aby „poznać ich spojrzenie". Być może przy okazji dowie się, czy działacze mają pomysł, jak pozbyć się skompromitowanego szefa Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosława Piesiewicza. W poprzedniej sejmowej kadencji Jakub Rutnicki, jako opozycyjny poseł, chciał skontrolować umowy firmy Piesiewicza z Polskim Związkiem Koszykówki, ale odbił się od drzwi, słysząc, że związek jest autonomiczny i politykom nic do niego. Teraz prezesi muszą z nim rozmawiać grzeczniej, bo Ministerstwo Sportu jest dla nich bankomatem.

Jolanta Sobierańska-Grenda zastąpiła na stanowisku minister zdrowia Izabelę Leszczynę. Prawniczka, z dyplomem MBA dla kadry medycznej, z sukcesem zarządzała czterema szpitalami marszałkowskimi na Pomorzu. Nie jest członkiem żadnej partii, odpolitycznione ma być całe kierownictwo resortu. Główne zadanie: poprawa sytuacji pacjentów, bo lekarze o siebie już zadbali, ich zarobki od 2022 r. wzrosły średnio o 44 proc. Realizację tego zadania miała umożliwić ustawa o konsolidacji szpitali powiatowych, jaką zostawiła Leszczyna. Nowe prawo daje na to szansę, ale ma wielu przeciwników, m.in. lekarzy oraz samorządy lokalne.

Waldemar Żurek – więcej o nowym ministrze sprawiedliwości-prokuratorze generalnym na s. 18.

nie teraz, przy okazji kolejnej listopadowej rekonstrukcji, jak tu i ówdzie ostatnio spekulowano. Zaangażowanie premiera w ostatnim tygodniu jasno pokazuje, że jeszcze nie wytracił woli walki.

Relacje z koalicjantami wydają się uporządkowane. Wyłączając rzecz jasna Hołownię, który chyba już na dobre stracił zaufanie pozostałych liderów, również niedawnego sojusznika z Trzeciej Drogi Kosiniaka-Kamysza. Wzajemne kontakty stały się bardziej oględne, niektórych spraw już się w obecności marszałka Sejmu nie porusza, gdyż nikt nie ma pewności, czy nazajutrz Hołownia kolejny raz nie powie publicznie parę zdań za dużo. Odbierany jest już jednak bardziej z politowaniem niż ze złością. Trochę jak dziecko wymagające specjalnej troski, żeby sobie nie zrobiło krzywdy.

Ale kłopotem koalicji bywają też wewnętrzne relacje w Polsce 2050 oraz marna jakość jej kadr. Pierwotnie wytypowana do Ministerstwa Kultury Aleksandra Leo miała sprowokować wewnętrzny bunt w klubie sejmowym, gdyż wysunęła ją na to stanowisko nielubiana w partii Pełczyńska-Nałęcz. W ostatniej chwili została więc podmieniona na Martę Cienkowską, która do tej pory była w resorcie wiceministrą. Tyle że fatalnie na ministerialnym korytarzu ocenianą z powodu marnych kwalifikacji i problemów interpersonalnych. Wyszarpane od Tuska dodatkowe ministerstwo dla Polski 2050 może więc okazać się źródłem problemów, a z racji nadzoru nad mediami publicznymi jest to obszar politycznie wrażliwy. Premier miał zresztą od razu założyć blokadę na instytucjonalne zmiany w mediach, ale Hołownia, jak mówi, zamierza tworzyć projekt ustawy medialnej i przekonać do niej zarówno koalicjantów, jak i prezydenta Nawrockiego. Szykuje się zatem pole ostrego konfliktu.

Ogólnie jednak koalicjanci wyszli z rekonstrukcji usatysfakcjonowani, gdyż przy zauważalnym odchudzeniu struktury z grubsza utrzymali stan posiadania. Nowa Lewica obroniła swoje trzy resorty oraz buławę marszałkowską dla Włodzimierza Czarzastego. A PSL nawet dostał powód, żeby się pochwalić Miłoszem Motyką na czele Ministerstwa Energii, którego przedstawia jako superministra. Na wyrost, gdyż w skleconej naprędce nowej strukturze nie ma aż tak wielu kompetencji, szczególnie nadzoru nad spółkami energetycznymi, o co ludowcy zabiegali. Ale powołując się na ograniczenia unijne, Tusk nie uchylił im wrót do kadrowego eldorado. W istocie takim superministrem został jedynie zausznik premiera Andrzej Domański, który będzie teraz odpowiadał za finanse i gospodarkę.

Rzekome „odchudzenie rządu" to operacja głównie wizerunkowa. I stanie się to jeszcze wyraźniejsze, gdy na dniach ogłoszone zostaną redukcje na stanowiskach wiceministrów. Kosmetyczne, gdyż cała rekonstrukcja w pierwszej kolejności miała służyć przywróceniu politycznej sterowności w koalicji. A tak się składa, że wszystkie cztery partie szykują się jesienią do wyborczych kongresów. Przy marnym nastroju liderzy będą więc rozliczani przez delegatów ze skuteczności w obsługiwaniu stref wpływów, zwłaszcza jeśli chodzi o stanowiska. Tym samym ostatni z zasadniczych celów premiera nie mógł zostać zrealizowany. Z kadrowej karuzeli nie wyłoniła się odnowiona strategia rządzenia, rządowi niezmiennie brakuje wspólnej agendy. Utrzymany został niewydolny układ, w którym małe partie traktują podległe resorty jako okna wystawowe i grają głównie na siebie, nie przejawiając większej odpowiedzialności za koalicję.

Tak czy inaczej, koalicja 15 października staje się coraz bardziej pustym sloganem, co nie wróży jej niestety powodzenia. Chociaż może nie warto wyciągać zbyt daleko idących wniosków z tej kryzysowej rekonstrukcji, z pewnością nie ostatniej, dając premierowi jeszcze trochę czasu na przemyślenie nowej sytuacji. Byle nie za wiele, bo każdy kolejny miesiąc inercji będzie odtąd krokiem milowym do katastrofy za dwa lata.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Okręty spalone

To są decyzje, które będą owocowały twardymi decyzjami w praktyce – zaanonsował wybór Waldemara Żurka na urząd ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego premier Donald Tusk.

© JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA

EWA SIEDLECKA

Czyli: „Żurku, musisz”? Tak przynajmniej brzmi większość wypowiedzi polityków, a także kolegów sędziów. I najwyraźniej tego spodziewa się opinia publiczna. „Tego”, czyli czego konkretnie? Czy mowa o działaniach „na granicy prawa” lub wręcz bezprawnych? Jeśli tak, to jak na taką presję zareaguje minister Żurek? „Nie chcę przypominać scen z życia tych trudnych lat, gdy heroizmem wykazał się nowy minister sprawiedliwości pan Waldemar Żurek. Nie chcę też przypominać działań, które podjął w pierwszych dniach swojego urzędowania po wyborach minister Kierwiński. Ci, którzy wiedzą, że robili złe rzeczy i do tej pory nie spotkała ich odpowiedzialność, niech wiedzą, że nie będzie świętych krów ani jakichś nieformalnych immunitetów, ani bezprawnych działań” – mówił premier. Czyli ma być tandem Kierwiński-Żurek. A zatem więcej zatrzymań? Np. siłowe doprowadzenie Zbigniewa Ziobry przed oblicze pegasusowej sejmowej komisji śledczej? Więcej zarzutów i aktów oskarżenia?

Waldemar Żurek rzeczywiście jest odważny, uparty i niezłomny. Tak jak bez reszty zaangażował się w obronę niezależności sądów w czasach PiS, płacąc za to wielką cenę, tak teraz możemy się spodziewać, że podejmie nowe ministerialne wyzwania. Już porzucił dla nich spokojną finansową przyszłość sędziego i sędziego w stanie spoczynku w zamian za mocno niepewny status ministra. A łaska polityczna premiera Tuska na pstrym koniu jeździ, co widać po nagłym pozbyciu się ministra Adama Bodnara, któremu nawet zapomniał podziękować (zrobił to następnego dnia, po fali krytyki).

A prof. Bodnar też sporo poświęcił. Przede wszystkim swój autorytet prawnika i obrońcy praw człowieka, gdy godził się na wprowadzenie prawa funkcjonariuszy na granicy (i nie tylko) do nadużycia środków przymusu bezpośredniego, na zawieszenie prawa do azylu, i gdy publicznie zadeklarował w imieniu rządu, że Polska nie wykona

eprasa.pl f2ce6bb9a0

listu gończego Międzynarodowego Trybunału Karnego za premierem Netanjahu, gdyby przyjechał do Polski na obchody rocznicy Auschwitz. Gdy bronił decyzji prokuratury o akcie oskarżenia za pomoc humanitarną na granicy z Białorusią i gdy skierował ostatnio „bez żadnego trybu" list do marszałka Sejmu Szymona Hołowni wyglądający jak próba przekonania go do niezwoływania Zgromadzenia Narodowego w celu zaprzysiężenia Karola Nawrockiego.

Żurek niezłomny

Te wszystkie sprawy wynikały z linii politycznej rządu. Premier Tusk ich nie docenił, podobnie jak ogromnej pracy, którą Adam Bodnar jako minister i prokurator generalny wykonał tak w ramach rozliczeń, jak w prokuraturze, gdzie wprowadził w życie zasadę niezależności prokuratorskiej i w pomysłowy, zgodny z prawem sposób pozbył się politycznego nominata Ziobry ze stanowiska prokuratora krajowego.

Tak więc cokolwiek zrobi Waldemar Żurek, i tak może się spodziewać podobnego potraktowania. Jeśli nie przez premiera Tuska, to – po ewentualnej zmianie władzy – przez szefa rządu z PiS. A nadzieja na ponowną nominację sędziowską z rąk Karola Nawrockiego nie jest duża.

„Pan Żurek, jak Cortez, spalił swoje okręty i nie ma już powrotu" – skonstatował były premier Leszek Miller, nawiązując do wystąpienia premiera Tuska podczas prezentacji zmian w rządzie. Żurek, który był sędzią przez niemal 30 lat, ma mocno wdrukowaną w osobowość sędziowską niezawisłość, a więc odporność na zewnętrzne naciski. Jak to zarezonuje w zderzeniu z realiami polityki?

Mówi o sobie: „Jestem antykomunistą z krwi i kości". Ale zapędy PiS do „dekomunizacji sądów" uważa za obsesyjną głupotę. Jako uczeń technikum leśnego w Brynku w PRL założył z kolegami komórkę KPN, podrzucali nauczycielom ulotki i malowali na murach sprejem antykomunistyczne hasła. Sądzić zaczął jako asesor w 1997 r. Niedługo potem zapisał się do stowarzyszenia Iustitia i uchwalał pierwszy w Polsce Kodeks etyki sędziego. Z Iustitii odszedł, gdy przejęli ją sędziowie sądów rejonowych i dyskusje o wynagrodzeniach wyparły rozmowy o etyce zawodu. Z innymi wychodźcami z Iustitii założyli Stowarzyszenie Themis. Był już wtedy znany jako rzecznik Sądu Okręgowego w Krakowie, zawsze dostępny i chętny do wyjaśnień, co wtedy było rzadkością.

Został wybrany przez sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa, gdzie znowu podjął się funkcji rzecznika. Był w KRS przez dwie kadencje – niepełne, bo w 2018 r. PiS rozwiązał ją na kilka miesięcy przed końcem kadencji sędziów, by wybrać neoKRS według nowych reguł: nie przez sędziów, a przez Sejm. Zanim to się stało, przez dwa lata pierwszych rządów PiS zasłynął jako harcownik w walce z upolitycznianiem sądownictwa, popychając niezbyt waleczną KRS do uchwalania pryncypialnych stanowisk wobec zamachów nowej władzy na kolejne organy sądownicze.

Wtedy zaczęło się prześladowanie sędziego Żurka. Był rekordzistą, jeśli chodzi o politycznie motywowane postępowania dyscyplinarne. Ale znacznie gorsze były mobbing i represje godzące w jego życie prywatne, zastraszanie i szukanie haków. Było przecięcie opony w samochodzie, kontrole trzeźwości na drodze do pracy w dzień po imprezie towarzyskiej, obrzucenie domu rodziców jajkami, telefony i esemesy z groźbami. Na podstawie anonimu zarządzono lustrację jego spraw w krakowskim sądzie. CBA sprawdzało nieoficjalnie jego oświadczenia majątkowe przez blisko rok, zanim formalnie wszczęło postępowanie. – *Takie grillowanie to niemiła rzecz. Dostajesz szare koperty z pieczątką CBA, a w nich wezwania. Na adres domowy. Poprosiłem, żeby tego nie robili, bo mam żonę w ciąży, która otwiera moje koperty, jak jestem w Warszawie, i się denerwuje – to zaczęli kontrolować żonę! Miała skoki ciśnienia... Córka urodziła się z ciężką wadą serca i jak teraz patrzę na tę sytuację, to się zastanawiam, czy to nie miało wpływu* – opowiadał.

Jedno z wezwań wręczyli sędziemu, wkraczając z hukiem na zamknięte posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa. Urobek z tej kontroli był niewielki: niezapłacony podatek od sprzedaży starego traktora. „Wiadomości" TVP nagłośniły sprawę rzekomego niepłacenia alimentów na córki z pierwszego małżeństwa. Prokurator generalny Ziobro wniósł skargę nadzwyczajną do Izby Kontroli Nadzwyczajnej od wyroku przyznającego mu rację w sporze o alimenty, a IKN odwróciła wyrok na jego niekorzyść.

W pracy szykanowała go jego dobrozmianowa prezeska Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmara Pawełczyk-Woicka. Przeniosła go bez jego zgody z wydziału odwoławczego do pierwszoinstancyjnego, odebrano mu dotychczasowy pokój i asystenta, zawalono sprawami i robiono dyscyplinarki, że za wolno pracuje. Gdy w pracy najechała na niego maszyna sprzątająca, uszkadzając kolano tak, że musiał przejść operację, Pawełczyk-Woicka blokowała sprawę odszkodowania za wypadek w pracy, a prokuratura wszczęła postępowanie o podejrzenie wyłudzenia odszkodowania. Był jedną z ofiar akcji hejterskiej, w której prokuratura chce postawić zarzuty m.in. ówczesnemu wiceministrowi sprawiedliwości Łukaszowi Piebiakowi.

Sprawa przeniesienia trafiła do TSUE i w 2021 r. Trybunał, odpowiadając na pytanie prejudycjalne sędziów Izby Cywilnej SN, uznał, że naruszono prawo odwołania się od przeniesienia do sądu, bo osądzenie sprawy przez neosędziego nie było osądzeniem przez niezależny i bezstronny sąd w rozumieniu przepisów UE. Sprawa wróciła do rozpoznania przez SN, ale do dziś nie jest osądzona, bo I prezeska Małgorzata Manowska „aresztowała" akta. Drugą sprawę: o skrócenie jego i pozostałych sędziów kadencji w KRS, Żurek wygrał w 2022 r. przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka.

Ponieważ rozliczenia neosędziów, którzy szkodzili wymiarowi sprawiedliwości, hamują chroniące ich immunitety, Waldemar Żurek walczy dalej, składając doniesienia do prokuratury i pozywając o odszkodowania. Pozwał sędziów – uczestników afery hejterskiej, ale pozwał też Skarb Państwa – w osobie ministra sprawiedliwości – o milion złotych za represje wobec niego w trakcie rządów PiS. Mówi, że chce, aby państwo wzięło moralną i prawną odpowiedzialność za te represje. Teraz to on jest ministrem sprawiedliwości, więc popadł w konflikt interesów.

Siły na zamiary

„Zrobię wszystko, żeby przywrócić praworządne państwo, żeby przywrócić zasady trójpodziału władzy i jednocześnie przestrzegać konstytucji i wszystkich traktatów międzynarodowych, które Polskę wiążą" – zadeklarował podczas zaprzysiężenia w Pałacu ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Prezydenckim. Na razie nie informuje o swoich planach i nie udziela wywiadów.

Oczekiwanym pierwszym ruchem ministra Żurka jest zrobienie porządku z neoKRS. Co jednak miałoby to oznaczać? Zamknięcie drzwi i niewpuszczanie członków? To zbiorą się gdzie indziej. Sejm już odciął ich od finansowania diet. Można jeszcze zablokować dostęp do dokumentów i systemu elektronicznego. Tylko co można na tym zyskać? Zwłaszcza że w przyszłym roku na wiosnę kończy się kadencja sędziów w neoKRS, a nowych wybierze obecny Sejm. Jak pisaliśmy (POLITYKA 26), można to zrobić w zgodzie z konstytucją nawet według pisowskiej procedury. Wystarczy, by sejmowa Komisja Sprawiedliwości wskazała, a Sejm wybrał 15 sędziów, którzy dostarczą najwięcej popierających ich sędziowskich podpisów.

Zresztą neoKRS szkodzi już niewiele, bo minister Adam Bodnar nie ogłaszał nowych konkursów na sędziów, więc nie ma nowych wadliwych powołań. Oprócz sędziów Sądu Najwyższego, bo tu konkursy ogłasza prezydent. Ale z SN – jak pisaliśmy we wspomnianym numerze – można sobie poradzić, odbierając wszystkim neosędziom sędziowski status na podstawie odpowiednich orzeczeń TSUE i ETPCz, bo wszystkie wyroki tych trybunałów dotyczące neosędziów dotyczyły właśnie neosędziów SN. Tak więc minister sprawiedliwości mógłby się zwrócić do nowo wybranej KRS z wnioskami dotyczącymi wygaszenia statusu sędziego neosędziom SN.

Radykalny, ale na ile?

Sędziowie, którzy walczyli o niezależność sądów, oczekują, że minister Żurek szybko pośle do Sejmu radykalną wersję projektu zaproponowanego ministrowi Bodnarowi przez Komisję Kodyfikacyjną Ustroju Sądów i Prokuratury. Przewiduje ona cofnięcie na poprzednie stanowiska neosędziów i nowe konkursy na zwolnione przez nich miejsca, co ma załatwić problem raz na zawsze w ciągu kilku lat. Minister Bodnar czekał na opinię Komisji Weneckiej. Minister Żurek może nie zaczekać. A projekt – nawet jeśli zostałby skrytykowany przez Komisję Wenecką – może być uchwalony bez obaw, że nie spodoba się Komisji Europejskiej, bo i tak zawetuje go lub pośle do Trybunału nieKonstytucyjnego prezydent Karol Nawrocki.

Jak bez ustawy minister Żurek miałby doprowadzić do usunięcia neosędziów na poprzednio zajmowane stanowiska? Może decyzjami nowej Krajowej Rady Sądownictwa, jak radził we wspomnianej POLITYCE sędzia Jacek Czaja? Tylko że to potrwa latami, bo każda sprawa musiałaby być rozpoznana oddzielnie, a neosędzia ma prawo odwołania do sądu.

Minister Żurek może co najwyżej doprowadzić do usunięcia neosędziów ze stanowisk funkcyjnych, bo – mimo licznych decyzji ministra Bodnara – pozostali jeszcze w niektórych sądach. Chociaż jeśli wybrały ich zgromadzenia sędziów danego sądu, wyglądałoby to na ingerencję władzy wykonawczej w sądowniczą...

Rzeczników dyscyplinarnych ministra Ziobry: Piotra Schaba i Przemysława Radzika, minister Bodnar późno, bo późno, ale odwołał. Planował siłowe wejście do ich gabinetów w budynku Krajowej Rady Sądownictwa, bo nie chcą wydać służbowych dokumentów. Teraz zapewne zrobi to minister Żurek. Pozostaje mu też odwołać trzeciego rzecznika, Michała Lasotę. Jednak pociągnięcie ich do odpowiedzialności – czy to dyscyplinarnej, czy karnej – wymaga zgody Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN. A ta jak na razie przewleka takie sprawy. W kwietniu rzecznik dyscyplinarny *ad hoc* powołany przez ministra Bodnara przedstawił zarzuty dyscyplinarne 18 sędziom Krajowej Rady Sądownictwa poprzedniej i obecnej kadencji. Zarzuty te dotyczą uchybienia przez nich „godności urzędu oraz oczywistej i rażącej obrazy przepisów prawa". Ale bez uchylenia immunitetu nie zostaną dyscyplinarnie osądzeni.

Co może zrobić minister Żurek? Choćby zrealizować opisany plan usunięcia z SN neosędziów i powierzyć wszystkim pozostałym w SN sędziom rozpatrywanie spraw dyscyplinarnych.

Najważniejszym jednak oczekiwaniem towarzyszącym zamianie Bodnara na Żurka jest przyspieszenie prokuratorskich rozliczeń za rządy PiS. Nowy minister-prokurator generalny na początku będzie spijał efekty w postaci aktów oskarżenia w trwających od roku–półtora śledztw (pisaliśmy o nich w POLITYCE 28). Choć będą takie, w których tych aktów oskarżenia nie będzie, bo nie wszystkim i nie za wszystko, co godne moralnego napiętnowania, da się wytoczyć proces. A wobec prawa wola polityczna jest, a przynajmniej powinna być, bezradna.

Adam Bodnar powołał do najważniejszych spraw zespoły śledcze w Prokuraturze Krajowej, a więc toczą się one pod okiem kierownictwa prokuratury. Co więcej mógłby zrobić prokurator generalny Waldemar Żurek, żeby prokuratorskie rozliczenia przyspieszyć? Korzystać z uprawnień, jakie zapisał sobie w ustawie o prokuraturze Zbigniew Ziobro i wymuszać na prokuratorach działania, z którymi się nie zgadzają? Albo zmieniać decyzje śledczych czy podejmować je za nich?

We własnej sprawie

Waldemar Żurek ma przy ściganiu funkcjonariuszy PiS oczywisty konflikt interesów: jest ofiarą prześladowań władzy, do której należeli. W tym osobistych działań prokuratora Ziobry. A w śledztwie o aferę hejterską jest jednym z pokrzywdzonych. Do prokuratury złożył zawiadomienia o podejrzeniu przestępstwa przeciwko swojej byłej przełożonej Dagmarze Pawełczyk-Woickiej za łamanie jego praw pracowniczych i szykany. Na rzeczników dyscyplinarnych ministra Ziobry – za wytaczanie mu bezpodstawnych dyscyplinarek. Na CBA – za szykany przy okazji sprawdzania jego oświadczeń majątkowych. Na Małgorzatę Manowską – za blokowanie rozpatrzenia przez SN jego sprawy, a na neosędziego Aleksandra Stępkowskiego – za bezprawne osądzenie jego skargi. A to prawdopodobnie nie wszystkie jego doniesienia. Jak teraz jako prokurator generalny ma przyspieszać te sprawy, nie dostarczając potencjalnym oskarżonym argumentu za naruszeniem ich prawa do obrony i bezstronnego rozpatrzenia sprawy?

Ale jest coś, co minister Żurek może. Chodzi o zreformowanie działania sądów tak, by przyspieszyć postępowania – cywilne, karne i administracyjne. We współpracy ze środowiskiem sędziowskim i w porozumieniu z prezydentem Nawrockim można przygotować odpowiednie ustawy. Prezydentowi byłoby trudno torpedować prace nad rozwiązaniami ewidentnie korzystnymi dla obywateli. A Waldemar Żurek jako sędzia z blisko 30-letnim stażem ma szanse mieć lepszy kontakt ze środowiskiem sędziowskim, niż miał prof. Bodnar.

Tylko że premierowi chyba nie o takie „twarde decyzje" chodziło.

EWA SIEDLECKA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Bilans Andrzeja Dudy nie pozostawia wątpliwości, że eksperyment polegający na uczynieniu głową państwa polityka małego kalibru okazał się niewypałem. Andrzej Duda nie sprawdził się jako prezydent. Jedynie jako mem.

Królik na tronie

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

TOMASZ NAŁĘCZ

W 2015 r. wydawało się, że z walczącym o prezydencką reelekcję Bronisławem Komorowskim ponownie zmierzy się Jarosław Kaczyński. Sondaże nie dawały mu jednak żadnej szansy na wygraną, więc by oszczędzić sobie klęski, jak cyrkowy magik wyciągnął z kapelusza królika w postaci drugoplanowego działacza Andrzeja Dudy. Na tyle nieznanego, że mylonego z Piotrem Dudą, liderem Solidarności.

Ku ogólnemu zaskoczeniu nominat Kaczyńskiego przeprowadził sprawną kampanię i pokonał rywala, o którym wszyscy mówili, że wygraną ma w kieszeni. Dało to początek ciekawemu eksperymentowi, bo po raz pierwszy najwyższy urząd objął człowiek dopiero uczący się polityki, niemający cech lidera ani własnego zaplecza, za to bardzo uzależniony od apodyktycznego patrona.

Gdyby Duda był osobowością o mocnym charakterze, to wybiłby się na prezydencką suwerenność. Historia zna przecież wiele przypadków, kiedy ludzie nieoczekiwanie wyniesieni do roli przywódczej dorastali do wysokości zadania. On też mógł wykorzystać uśmiech losu. Miał mocną legitymizację w postaci wyborczego poparcia większości społeczeństwa i sprawował urząd o dużych kompetencjach, z którego był praktycznie nieusuwalny. Co więcej, nie musiał sprawdzać się w trudnych warunkach koabitacji, czyli konfrontować z rządem politycznych przeciwników. Także dzięki jego sukcesowi Prawo i Sprawiedliwość zdobyło wkrótce bezwzględną większość w parlamencie i przejęło władzę, jak się okazało, aż na osiem lat.

Dudzie zabrakło jednak kluczowego atutu. Nie miał tej „boskiej cząstki", która z polityka czyni postać prezydenckiego formatu. Nie potrafił przeobrazić się z działacza partyjnego w męża stanu myślącego kategoriami całego państwa.

Tej niełatwej sztuki dokonali wszyscy jego poprzednicy. Najłatwiej Wałęsa, który już w zrywie Solidarności wyrósł na narodowego przywódcę. Udało się to też Kwaśniewskiemu i zaowocowało „szorstką przyjaźnią" z lewicowym premierem Millerem. Nawet Lech Kaczyński, mocno spojony z bratem więzią bliźniaczą, potrafił się z nim różnić jako liderem PiS. Inny był ich stosunek do integracji europejskiej, lustracji, rozdziału państwa i Kościoła, w tym politycznego awanturnictwa ks. Rydzyka. Także Komorowski potrafił zachować odmienne zdanie niż Tusk i PO.

Duda nie poszedł tym śladem, choć podkreślał, że wzorem jest dla niego Lech Kaczyński. Była to jednak deklaracja bez pokrycia, jak wiele jego górnolotnych oświadczeń, które tak lubił pompatycznie wygłaszać. Przez długie 10 lat pozostał bezwolnym narzędziem w rękach lidera PiS.

To, że królik nawet osadzony na tronie dochowa posłuszeństwa, Kaczyński sprawdził metodą mafii, dokonując egzekucji na Marcinie Mastalerku, zasłużonym sztabowcu Dudy. Za lekceważący żart, o którym szybko prezesowi doniesiono, ten nie tylko nie dopuścił Mastalerka do Kancelarii Prezydenta, ale i pozbawił posłowania, wykreślając z list wyborczych. Widząc zepchnięcie druha w otchłań upadku, Duda nie kiwnął palcem – i o to właśnie Kaczyńskiemu chodziło.

Wcześniej prezydenci RP stawali na baczność tylko przed narodową flagą. Duda zachowywał się jak wasal. Świadczył o tym hołd lenny, jaki na oczach całej Polski złożył Kaczyńskiemu niczym średniowiecznemu seniorowi w listopadzie 2015 r. przy okazji nominacji Beaty Szydło na premiera. „Z całą pewnością jest pan wielkim politykiem – kadził prezesowi PiS – z całą pewnością jest pan wielkim strategiem, ale ja muszę dodać jeszcze jedno, jest pan wielkim człowiekiem". ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Za tę czołobitność Kaczyński odpłacał lekceważeniem. Nie fatygował się jak inni politycy do prezydenta, tylko wzywał go do siebie, do domu albo do siedziby partii. Publicznie nie podawał mu ręki, a kiedy Duda wymuszał taki gest, nie patrzył w jego stronę. Konsekwentnie tresował swojego królika, ale nie tylko o to chodziło. Dobrze znał format Dudy i podobno za świętokradztwo uważał pełnienie przez niego urzędu ukochanego brata.

Wystarczyło dwa lata takich praktyk, by aż dwie trzecie ankietowanych postrzegało prezydenturę jako niesamodzielną. Dobrze odzwierciedlała to przekonanie kabaretowa satyra. Rekordy popularności biło „Ucho prezesa", w którym Duda był fajtłapą i popychadłem. Ciągle czekał w przedpokoju lidera PiS, bez szansy na dostanie się do środka. Pomiatała nim sekretarka, myląc jego imię i nazywając Adrianem. Zaczęto go tak określać nawet w debacie publicznej, a nadgorliwi policjanci rekwirowali transparenty szydzące z Adriana jako obrażające głowę państwa.

Można by nad tym spuścić kurtynę miłosierdzia, gdyby nie fakt, że był to tylko jeden z objawów bezprecedensowego skarlenia najwyższego urzędu. Zwłaszcza że kolejne dotyczyły już nie prestiżu, ale sedna prezydenckiej misji, czyli wypełniania konstytucyjnych uprawnień i obowiązków głowy państwa.

Najważniejszą powinnością prezydenta jest stanie na straży konstytucji. Pilnuje, by nie naruszały jej ustawy uchwalane przez parlament. Służy mu do tego specjalne narzędzie, bo mogą one wejść w życie dopiero po uzyskaniu jego podpisu. Jeżeli uważa, że kolidują z konstytucją, odmawia akceptacji i kieruje przepisy do Trybunału Konstytucyjnego.

Nasza konstytucja kopiuje tu rozwiązanie, które od 1945 r. stosuje cała demokratyczna Europa, boleśnie doświadczona w latach 30. XX w., kiedy autorytarne dyktatury zawłaszczały kolejne państwa za pomocą ustaw łamiących konstytucję. Właśnie tej starej sztuczki autokratów sprzed kilkudziesięciu lat chciał po 2015 r. użyć Kaczyński w celu zaprowadzenia własnych rządów. Miał bowiem w Sejmie i Senacie większość wystarczającą do uchwalania ustaw, ale o wiele za małą do przeprowadzenia konstytucyjnej zmiany ustroju.

Warunkiem wdrożenia tego planu było sparaliżowanie prawidłowo działającego Trybunału Konstytucyjnego. Można to było zrobić, tylko mając prezydenta za wspólnika. Duda odegrał tę kompromitującą rolę z ochotą, łamiąc konstytucję i odmawiając zaprzysiężenia trzech sędziów trybunału, poprawnie wybranych przez stary Sejm. Co więcej, w środku nocy odebrał przysięgę od trzech tzw. sędziów-dublerów, nielegalnie wybranych przez pisowską większość na obsadzone już stanowiska.

O ile prezydent upajał się własnymi przemówieniami, o tyle pierwsza dama konsekwentnie milczała. Pointą 10-letniej kadencji państwa Dudów było wyprawienie ślubu córki w Pałacu Prezydenckim.

Po tym nadwerężeniu kręgosłupa trybunałowi w kolejnych latach PiS zadawał mu następne ciosy, czyniące z tego ważnego organu ustrojową wydmuszkę. Prezydent firmował to bezprawie, lekceważąc nie tylko ekspertyzy wybitnych konstytucjonalistów, ale i wiążące Polskę orzeczenia europejskich trybunałów.

Do opamiętania nie skłoniła go nawet negatywna ocena jego uniwersyteckiego mistrza Jana Zimmermanna, którego wcześniej przywoływał jako wielki naukowy i życiowy autorytet. „Z roku na rok moja krytyka wobec prezydenta narastała – mówił profesor w 2024 r. – bo ciągle widziałem, że łamie konstytucję, i ciągle widziałem jego kroki, które nie przystawały do doktora prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego".

Nie chodziło tylko o zdemolowanie trybunału. Konstytucję naruszał cały łańcuch ustaw, którego pierwszymi ogniwami były nowe przepisy o prokuraturze, inwigilacji, służbie cywilnej, mediach publicznych i obrocie ziemią. Prezydent wszystko momentalnie podpisywał. Jak kpił popularny żart, tak nawykł do akceptacji tego, co podsunie Kaczyński, że autograf złożył nawet na kocie prezesa podanym do pogłaskania.

Szczególnie szkodliwe były nowe ustawy dotyczące sądownictwa. Podważały fundament demokracji, godząc w trójpodział władzy, niezależność sądów i niezawisłość sędziów, czyli bezpieczniki gwarantujące obywatelom uczciwy i bezstronny wymiar sprawiedliwości. Duda wprawdzie zawetował te zmiany, ale tylko po to, aby przekonać Kaczyńskiego, że winien uzależnić wymiar sprawiedliwości od niego, a nie od ministra Zbigniewa Ziobry.

Kaczyński, który Ziobrze nie ufał, przystał na to i aż do 2025 r. Duda pilnował niszczenia sądownictwa z gorliwością godną lepszej sprawy. Szczególną niechęcią darzył sędziów broniących konstytucyjnych reguł, przez osiem lat łamanych przez niego i PiS. Nawet żegnając się z urzędem, napadł na nich z niebywałą furią i nienawiścią. Zagroził, że jeśli to grono „nie opamięta się i nie zrobi samo resetu, to skończy się na tym, że trzeba będzie wszystkich tych ludzi wyrzucić ze stanu sędziowskiego bez prawa do stanu spoczynku". Jakby tego było mało, palnął: „w Polsce jest tyle zdrady i warcholstwa bezczelnego, ponieważ dawno nikogo za zdradę nie powieszono".

Tym wybrykiem obnażającym brak poczucia przyzwoitości raz jeszcze pokazał, że w roli wykonawcy poleceń Kaczyńskiego nie potrafił zachować nawet pozorów powagi należnej głowie państwa. Choćby takiej, o jaką dawniej dbał Ignacy Mościcki, też sprowadzony przez Piłsudskiego do wymiaru prezydenckiej marionetki.

O przypadkach, kiedy Duda sprzeniewierzył się roli strażnika konstytucji,

© JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl f2ce6bb9a0

można by napisać grubą księgę. Każdy z tych ekscesów był naganny, ale koniecznie trzeba przypomnieć ten dotyczący wolności wyborów, czyli największej zbrodni na demokracji. Do takiego właśnie mordu PiS szykował się w 2020 r. W roku wyborów prezydenckich, nie ogłaszając – mimo paraliżującej kraj pandemii – stanu nadzwyczajnego, bo ten skutkowałby przełożeniem głosowania. Pisowskie władze ubezwłasnowolniły Państwową Komisję Wyborczą i parły do przeprowadzenia wyborów korespondencyjnie przez Pocztę Polską, firmę całkowicie podlegającą politykowi PiS. Rzecz jasna rażąco łamało to konstytucyjne gwarancje wolności i uczciwości wyborów.

Duda, zamiast zablokować bezprawie – co było jego świętym obowiązkiem – sprzyjał mu, na użytek opinii publicznej obłudnie czyniąc gesty Piłata. Wiedział, że im później odbędzie się elekcja, tym gorzej dla niego, bo skutki pandemii pogorszą nastroje. Na szczęście kopertowy przekręt udało się zablokować opozycji wspartej przez Jarosława Gowina i część jego posłów.

Równie beznadziejnie jak misję strażnika konstytucji Duda realizował drugą ważną powinność – arbitra stojącego ponad politycznymi podziałami, który zgodnie z interesem państwa tonuje partyjne spory. Nawet nie ukrywał swojej stronniczości, oświadczając, i to w najmniej fortunnym momencie, bo w jednoczącą rodaków rocznicę Konstytucji 3 maja: „Nie da się być prezydentem wszystkich Polaków, bo nigdy nie będzie tak, że wszyscy Polacy na pana zagłosują". Tym wyznaniem, mylącym misję prezydenta z rolą partyjnego kacyka, sprzeniewierzył się całej tradycji, także Lecha Kaczyńskiego, nakazującej głowie państwa reprezentować wszystkich obywateli, a nie tylko własnych wyborców.

Jego poprzednicy, jak każdy obywatel, posiadali swoje poglądy i sympatie, ale z szacunku dla pełnionego urzędu starannie unikali opowiadania się po jednej stronie politycznych sporów, w tym obozu, z którego się wywodzili. Nie ujawniali np., jak głosują w wyborach parlamentarnych czy samorządowych, i apelowali jedynie o udział w głosowaniu.

Duda zachowywał się skrajnie inaczej. Przez 10 lat urzędowania w dzielących kraj sporach niezmiennie stał po stronie PiS. Co więcej, w wielu starciach walczył w pierwszej linii, ostrością wypowiedzi przebijając niejednego partyjnego radykała. Jak bardzo był stronniczy, najlepiej widać w stosowaniu prawa łaski. Zainaugurował urzędowanie ułaskawieniem wiceprezesa PiS Mariusza Kamińskiego, skazanego przez sąd I instancji za łamanie prawa w tzw. aferze gruntowej. Zszokował tym prawników, bo było to pierwsze w historii ułaskawienie osoby, wobec której nie zapadł prawomocny wyrok, a więc w świetle prawa niewinnej. Fatalnie zaczął, ale jeszcze gorzej skończył, kiedy ułaskawił Roberta Bąkiewicza, politycznego awanturnika w służbie PiS, skazanego za uliczną przemoc wobec aktywistki demonstrującej w czasie strajku kobiet w 2020 r.

Opozycję, z którą o poprawne relacje dbali jego poprzednicy, Duda traktował brutalnie. Kiedy całą Polskę przerażała pandemia, on, mówiąc o PO i PSL, wypalił: „byli gorszym wirusem niż koronawirus". Szkodził rywalom PiS, jak tylko potrafił, zupełnie tego nie maskując. Kiedy partie demokratycznej koalicji wygrały 15 października 2023 r. wybory i tylko one mogły utworzyć rząd, udawał, że tego nie rozumie. Choć PiS był w Sejmie w mniejszości, jego nominatowi powierzył formowanie gabinetu, pozwalając kolegom jeszcze przez dwa miesiące pasożytować na władzy kosztem miliardów złotych.

Jak bardzo sprzeniewierzał się prezydenckiej misji mandatariusza wszystkich obywateli, świadczył też fakt, że część rodaków wręcz odzierał z godności. Chcąc przypodobać się radykalnej prawicy, o osobach innej orientacji seksualnej mówił: „LGBT to nie ludzie, lecz ideologia bardziej niszcząca człowieka niż komunistyczna". Cynicznie deptał art. 30 konstytucji gwarantujący, że „przyrodzona i niezbywalna godność człowieka jest nienaruszalna".

Za gorliwość w służbie Kaczyńskiego i PiS zwolennicy tej partii odpłacali mu uznaniem i wyborczym poparciem, któremu zawdzięczał drugą kadencję. Za to pozostała połowa Polaków, przywiązana do niszczonej demokracji i praworządności oraz oburzona zawłaszczaniem kraju przez pazernych notabli, Dudą pogardzała, pamiętając, jak rażąco inni byli jego poprzednicy z prezydenckiego panteonu.

W czarnym wizerunku, który Duda sam sobie przez 10 lat nakreślił, abdykując de facto na rzecz lidera PiS z prezydenckiej misji, dwa aspekty urzędowania miały jaśniejsze barwy. Chodzi o politykę zagraniczną, za którą był konstytucyjnie współodpowiedzialny, i o rolę zwierzchnika Sił Zbrojnych.

W ramach tych obowiązków na początku kadencji próbował zablokować powołanie Antoniego Macierewicza na ministra obrony, trafnie uważając, że to fatalna decyzja. Kaczyński pozostał jednak nieugięty, więc Duda, jak zwykle, położył uszy po sobie. Chwalił się potem zdymisjonowaniem Macierewicza, choć senior z Nowogrodzkiej podjął tę decyzję pod presją Waszyngtonu.

Bardziej dbał o relacje z nim nowy szef MON Mariusz Błaszczak, który też nie dopuszczał go do wojska, ale zaspokajał jego próżność, pozwalając na chełpienie się udziałem w sztabowych naradach i paradowanie w polowej kurtce na poligonach.

W polityce zagranicznej Duda sprawdził się, mocno wspierając Ukrainę broniącą się przed rosyjską agresją. Mniejsza z tym, że nie da się rozdzielić, ile w tym było jego zasługi, a ile polityki prowadzonej przez rząd. Liczy się fakt, że dzięki ogromnej polskiej pomocy, zwłaszcza w pierwszej fazie wojny, Ukraina wytrwała i doczekała wsparcia Zachodu. W tym kontekście na plan dalszy schodzą wybryki, których i w polityce zagranicznej nie brakowało, takie jak dezawuowanie Unii Europejskiej jako „jakiejś wyimaginowanej wspólnoty, z której dla nas niewiele wynika".

Prezydencki bilans Dudy nie pozostawia wątpliwości, że eksperyment polegający na uczynieniu głową państwa polityka małego kalibru okazał się niewypałem. Duda nie rozwinął prezydenckich skrzydeł. Nie przeistoczył się w męża stanu o formacie godnym tego stanowiska. Mówiąc językiem jednego z bohaterów popularnego „Rancza", nie dorósł, tylko się zestarzał. Tak jak w chwili zgłoszenia do prezydenckiego wyścigu, przez 10 lat prezydentury pozostał marionetką w rękach Kaczyńskiego.

Dobrze, że ten nieudany i bardzo szkodzący państwu eksperyment dobiegł końca. Obyśmy tylko w nowej prezydenckiej odsłonie nie wpadli z deszczu pod rynnę!

TOMASZ NAŁĘCZ

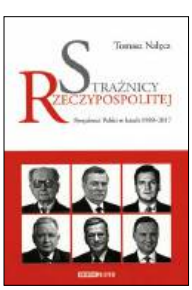

Autor jest historykiem i publicystą, przez wiele lat był politykiem. Napisał m.in. wydaną przez POLITYKĘ książkę „Strażnicy Rzeczypospolitej. Prezydenci Polski w latach 1989–2017".

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Nad morzem jak za zboże

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Polacy masowo ruszyli nad morze dopiero po 20 lipca, kiedy poprawiła się pogoda. Po 20 sierpnia wybrzeże znów opustoszeje. Branża turystyczna chce w tym czasie zarobić na cały rok, więc pojawiają się paragony grozy.

JOANNA SOLSKA

Polski turysta kombinuje: jak uniknąć pogodowego ryzyka – ogląda prognozy, anuluje rezerwacje – czeka na oferty last minute. Branża turystyczna na polskim wybrzeżu odpowiada na to ofertami first minute, gdy noclegi wykupuje się wcześniej po cenie o 10–15 proc. niższej od tej, jaka będzie obowiązywać w pełni sezonu. Wtedy trzeba zapłacić z góry, zyskując jednak możliwość odzyskania części wpłaconej sumy w przypadku rezygnacji z przyjazdu. Zwykle nie później niż tydzień przed. W lipcu randka w ciemno okazała się fatalna dla urlopowiczów, ale opłacalna dla branży noclegowej. Nad Bałtykiem lało, a hotele za złą pogodę nie zwracają.

Duna Beach Resort w Mielnie ma inną strategię. Przy rezerwacji z dużym wyprzedzeniem czasowym zapłacić trzeba 10 proc. ceny, ale na miesiąc przed planowanym przyjazdem zadatek rośnie już do 50 proc. Na tydzień przed zapłacić trzeba wszystko. Co robić, jak ciągle leje? – *Jeśli klient zadzwoni tydzień wcześniej, będziemy negocjować, prawdopodobnie zaproponujemy mu inny termin wypoczynku* – zapewnia Adam Ziętek zarządzający hotelem. Późniejsza rezygnacja oznacza stratę pieniędzy. Dwuosobowy pokój ze śniadaniem w pełni sezonu w Duna Beach kosztuje 600–700 zł za dobę.

Największe bonusy można dostać, gdy turysta rezerwuje noclegi bezpośrednio. Dla zarządzającego oznacza to oszczędność od 15 do nawet 25 proc. ceny, bo taką prowizję pobierają portale typu booking.com. Więc klient, dzięki któremu Duna Beach zaoszczędza prowizję, otrzyma więcej, niż wykupując pobyt u pośrednika: może np. wziąć udział w wyścigach Formuły 1 na symulatorze albo nauczyć się gry w golfa i jeszcze dostać darmowy parking (oszczędność 50 zł dziennie). Powracający, którzy wypoczywają w Duna Beach kolejny raz, dostaną nawet apartament z widokiem na morze, bo obiekt położony jest w pierwszej linii brzegowej. Ziętek zapewnia, że mimo kiepskiej pogody lipcowej i mało zachęcających prognoz na sierpień, ma 90 proc. obłożenia. Programy lojalnościowe się sprawdzają.

Hotele nie chcą ryzykować

340 apartamentów w Duna Beach Resort – jak większość nad polskim morzem – należy do prywatnych właścicieli. Wykupili je jako mieszkania inwestycyjne, na których mieli zarabiać. Od razu podpisali zgodę na współpracę z operatorem, który zajmuje się ich wynajmem i zarządzaniem. Nad Bałtykiem prawdziwych hoteli z powodu sezonowych kaprysów prawie już się nie buduje. Budowa hotelu oznacza dla inwestora konieczność zaciągnięcia kredytu, a po jej zakończeniu wzięcia na siebie ryzyka spłaty. Budowę aparthotelu finansują przyszli właściciele mieszkań inwestycyjnych, oni też ponoszą ryzyko, więc zarobek zarządzającego obiektem jest pewny. W przeciwieństwie do zysku właścicieli.

Ceny w aparthotelach zwykle są niższe niż w hotelach. W Juracie na Helu do tej pory najdroższy był hotel Bryza, żądający wysokiego zadatku nawet przy dużo wcześniejszej rezerwacji. O jego zwrocie nie było mowy nawet wtedy, gdy rezygnację też zgłaszało się wcześniej. W tym sezonie pojawiła się konkurencja. Na miejscu zabytkowego przedwojennego hotelu Lido powstał aparthotel o tej samej nazwie. Apartamenty z widokiem na Międzymorze, czyli juracki deptak, 35 m kw. (salonik i sypialnia) kosztują obecnie 700 zł za noc. Do rachunku doliczają 300 zł tzw. opłaty manipulacyjnej, nie bardzo wiadomo za co. Dość drogo dla dwóch osób, ale jeśli para przyjeżdża z dwojgiem dzieci albo mieszkanie dzielą trzy osoby, cena robi się bardziej przystępna. Śniadania nie obejmuje, jest w niej natomiast parking. Przy rezerwacji należy zapłacić 30 proc. ceny, w razie rezygnacji z przyjazdu zadatek przepada.

Z wysoko zawieszonej w Juracie poprzeczki cenowej korzystają mieszkańcy tzw. wojskowego osiedla. W szczycie sezonu wielu z nich przeprowadza się na działki w pobliżu domów, wynajmując swoje mieszkania turystom. Doba w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią kosztuje 500 zł. Zadatek, zwykle równowartość opłaty za trzydniowy pobyt, płatny jest już przy rezerwacji. O tę jednak trzeba zadbać dużo wcześniej, jeszcze zimą. Ryzyko ponosi gość, o zwrocie wpłaconej sumy nie ma mowy. W sąsiedniej Jastarni nawet w sierpniu dużo kwater świeci pustkami, mimo bliskości Biedronki i wyposażenia pokoi w mikrofalówki.

Toaleta na pocztówkę

Pogoda nie zniechęca do wcześniejszych rezerwacji nad morzem, jeśli wybieramy się do większego miasta, które oferuje także inne atrakcje. Z raportu „Wakacje Polaków 2025", przygotowanego przez Związek Banków Polskich wynika, że chociaż inflacja w ostatnim roku nie przekraczała 4 proc., to ceny mieszkań wynajmowanych przez turystów w Gdańsku w ramach tzw. wynajmu krótkoterminowego znacznie poszły w górę. – *Za mieszkanie ok. 40 m kw. na tygodniowy pobyt dla czterech osób zapłacić obecnie trzeba aż tysiąc zł więcej niż w zeszłym roku* – mówi Przemysław Barbrich z ZBP. Mimo to chętnych na urlop spędzony w Gdańsku nie brakuje.

Wyjeżdżając, warto przestudiować cenniki za parkowanie, w każdym mieście są inne. W ubiegłym sezonie ▶

© ARTUR KUBASIK/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Plaża w Jarosławcu. Ryba prosto z kutra odchodzi w przeszłość. Ze świeżych ryb pod koniec lipca nadmorskie smażalnie mają w ofercie: dorsza z Norwegii, złowionego w Morzu Północnym, gładzicę holenderską, miętusa z Atlantyku i turbota świeżo odmrożonego; polskie są tylko szprotki.

▶ w mniejszych miejscowościach turystycznych parkowaliśmy jeszcze za darmo, w tym samorządy lokalne też chcą na turystach zarobić. Rekordzistą jest Sopot, za 5 zł nie zdążymy nawet pobiec na molo i z powrotem, możemy parkować tylko 43 minuty. Za 10 zł – godzinę i 23 minuty. W strefie płatnego parkowania pierwsza godzina kosztuje 6,90 zł, druga 8,20, trzecia – 9,80 zł. Potem jest taniej. Ratusz poleca duży bezpłatny parking przed wjazdem do miasta, przy hali Argo Arena. Gorzej z toaletami. Przed dziesięcioma laty miasto zapowiadało budowę publicznych „toalet na pocztówkę", miały się stać turystyczną atrakcją Sopotu. Nic z tego nie wyszło, można znaleźć prywatną, w sezonie kosztuje 10 zł.

Gdańsk radni podzielili na strefy: niebieską, zieloną, czerwoną i żółtą. Najdroższa jest czerwona, za pierwszą godzinę zapłacić trzeba 7,50 zł. Parkomaty pojawiły się w Juracie i Ustce. Opłaty obowiązują tylko w sezonie.

Kasy gmin zasila opłata klimatyczna. Pobierana jest za każdy dzień tygodnia. Widełki odgórnie określa Ministerstwo Finansów. Nie więcej niż 3,31 zł za dobę pobytu od osoby mogą pobierać miejscowości turystyczne. W Juracie i Jastarni zadowalają się taksą 2 zł. Dwa razy więcej winszują sobie miejscowości mające status uzdrowiska. Sopot i Krynica-Zdrój każą sobie płacić maksymalną stawkę 6,38 zł. Kołobrzeg 6,35, Świnoujście 6,20 zł, Ustka 6 zł.

Gdy flądra nabiera ciała

W poprzednich latach przy plażach Ustki kwitły małe biznesy gastronomiczne, w tym roku ich nie widać. W czasie deszczu potencjalni klienci raczej na plażę nie chodzą. Monika Pankratowicz z mężem też miała bar Domowelove w food trucku, ale nie przetrwał. Uważa, że sezonowa gastronomia nie zarobi na rok utrzymania właściciela, dlatego małe biznesy się zwijają. Te, które mają nadzieję i wynajmują pomieszczenie, gdzie oferują na przykład zapiekanki, próbują się ścieśniać, robiąc jeszcze miejsce dla kebaba. – *Przetrwają tylko te, które mają własny lokal i klienta poza sezonem* – uważa.

Do takich należy smażalnia Ale Ryba! w kołobrzeskim porcie. Grzegorz Bojanowski nie narzekał na pogodę, bo jak nie ma słońca, to turysta idzie do portu. Mimo że w porcie są dwie smażalnie, frekwencja w obu dopisuje, chociaż goście sanatoryjni, kiedyś stali bywalcy, teraz przychodzą rzadziej. Ale Ryba! nastawia się na takich, którzy nie tylko patrzą na cenę, ale docenią, co dostali na talerzu. – *10 dkg flądry kosztuje tutaj 16 zł. Ale ryba podawana jest nie tylko bez głowy, jej wagi nie nabija też ogon ani płetwy. Samo mięso, prawie filet. Jeśli ktoś przychodzi na rybę i zamawia taką, żeby nie ważyła więcej jak 20 dkg, to nie opłaci się odpalać prawdziwej patelni gastronomicznej.*

Paragon grozy dostaje się za dorsza. – *W hurcie kilogram kosztował 44 zł, teraz 64* – wyjaśnia restaurator. W Bałtyku łowić go już nie można, jest pod ochroną. Ale Rosjanie nic sobie z tego nie robią, łowią nadal i sprzedają... Chińczykom. Nasi odkupują od nich, więc zdrożał. Reklamy przed wejściem zachęcają „dorsz prosto z burty".

Klient, który przyjechał nad morze, żeby delektować się świeżą polską flądrą prosto z Bałtyku, nie zdaje sobie sprawy, że flądra w Bałtyku jest malutka i chuda, najwyżej 120 gramów, a takich się nie smaży. Nabierze ciała dopiero jesienią, po sezonie. Smażalnie podają gładzicę, flądrę holenderską. O to, co naprawdę jemy w smażalniach, najlepiej pytać byłych rybaków. Po tym, jak wzięli od Unii pieniądze za złomowanie kutrów, przebranżowili się i założyli lokalną organizację rybacką zajmującą się zaopatrywaniem nadmorskich smażalni

© ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS, WOJCIECH KRYŃSKI/FORUM, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Nad Bałtykiem prawdziwych hoteli z powodu krótkiego sezonu prawie już się nie buduje. Zastępują je apartamentowce. Mieszkania w takich obiektach należą do prywatnych właścicieli, którzy wykupili je na wynajem. Na fot. **Dune Beach Resort w Mielnie.**

w świeże ryby, których nie ma albo nie wolno już łowić w Bałtyku, a oni kupują je za granicą.

Ze świeżych ryb pod koniec lipca nadmorskie smażalnie mają w ofercie: dorsza z Norwegii, złowionego w Morzu Północnym, gładzicę holenderską, miętusa z Atlantyku i turbota świeżo odmrożonego, polskie są tylko szprotki. Dużo kosztują, zdarzają się więc oszałamiające paragony, takie jaki otrzymał w Pobierowie Pod Dorszem popularny youtuber Tomasz Strzelczyk, który za porcję golonki i dorsza zapłacił 175 zł. Mimo to dorsz wydał mu się podejrzany i kiedy zdarł z niego panierkę, zobaczył czarniaka, o połowę tańszego. Dorsza często udaje też morszczuk.

Youtuber stał się w tym sezonie postrachem nadmorskiej gastronomii. Boją się go zwłaszcza restauracje oferujące tanie dania typu zestaw z rybą za 60 zł. Pod panierką nierzadko kryje się panga lub tilapia, tanie ryby, niepolecane przez dietetyków, sprowadzane z Azji. Jeśli turysta chce się wykazać patriotyzmem gospodarczym, zwróci uwagę na szprotki, podawane w restauracjach jako przystawki.

Jak wydłużyć sezon

Na krótki sezon narzekają nawet Międzyzdroje i Świnoujście, przez lata nastawione na turystów niemieckich. Apartamentowce, w których wykupywali noclegi, zawsze o tej porze były pełne. Teraz to, co się dzieje na granicach, a jeszcze bardziej szum medialny, odstraszają Niemców od przyjazdu do Polski. – *Ale nie w weekendy* – zapewnia Bożena Stanek-Kolińska, która mieszka w Świnoujściu, ale pracuje w Ahlbeck, po drugiej stronie granicy. W weekendy Niemcy przyjeżdżają na obiad do nas, bo tu ciągle jest dla nich taniej. Taki sam stek z dwoma dodatkami, za który u siebie musieliby zapłacić równowartość 145 zł, w naszej Promenadzie zjedzą wprawdzie niewiele taniej, bo za 129 zł, ale za burgera zapłacą dwa raz mniej. Świnoujska Promenada i pobliskie restauracje w soboty i niedziele ciągle są pełne, o wiele gorzej jest tygodniu. Niemieccy goście zawsze zostawiają napiwki.

– *Szansą na wydłużenie sezonu może być nowy trend wypoczywania, który dociera także do nas* – twierdzi prof. Piotr Zmyślony z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, specjalizujący się w zarządzaniu turystyką. Zaczynają zarabiać miejsca, w których pozornie nie ma żadnych atrakcji turystycznych. – *Nowinki mają dostarczyć gościom przeżyć, o których będą opowiadać znajomym po powrocie. Takim przeżyciem może być... zdrowy, głęboki sen przy otwartym oknie. To luksus, którego przepracowanym mieszczuchom brakuje coraz bardziej. Modne stają się na Zachodzie miejsca, w których gość wybiera sobie materac, poduszkę, aromaty, a nawet dyskretną muzykę, która pozwoli mu usnąć.*

Sławomir Grzyb, szef Izby Gospodarczej Polskiej Gastronomii, o sposobach wydłużenia letniego sezonu chce rozmawiać z gminami oraz z Polską Organizacją Turystyczną, rządową agendą powołaną do pomocy branży. Właściciele bazy noclegowej i sezonowych restauracji nie uporają się z tym sami, potrzebują pomocy. Kto zechce przyjść do pracy w gastronomii we wrześniu we wszystkie weekendy? Ukraińcy wolą stałą pracę. Wrzesień nad polskim morzem często jest ładny, przyjeżdża sporo turystów, ale prawie wszystkie sezonowe restauracje już są zamknięte. Nie opłaci się otwierać tylko na weekendy. Może być więc tak, że we wrześniu, gdy polska flądra nabierze ciała, turyści nad polskim morzem nie będą jej mieli gdzie zjeść.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Uwaga, nadchodzi!

Tego lata, już co parę dni, otrzymujemy esemesowe alerty Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Zwykle to ostrzeżenia pogodowe, ale coraz więcej służb państwowych chce mieć dostęp do RCB. Trzeba wyważyć, o czym alarmować.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Burza nad Przemyślem

© DARIUSZ DELMANOWICZ/PAP

Serce RCB, czyli Centrum Operacyjno-Analityczne z siedzibą w Alejach Ujazdowskich, mieści się za drzwiami z kartką „Nie wchodzić".

Całość pomieszczenia zajmują proste czarne biurka z komputerami, do których wpływają dane i informacje. Całą jedną ścianę zajmuje sześć wielkich ekranów. Jeden, jak tłumaczy dyrektor RCB Zbigniew Muszyński, z aktualną sytuacją meteorologiczną, drugi ukazuje przestrzeń powietrzną nad Ukrainą, by monitorować ewentualne zagrożenia z powietrza, kolejne są z serwisami światowych i polskich stacji telewizyjnych. Ostatni ekran pokazuje aktualny stan cyberbezpieczeństwa systemu samego RCB, czy nie ma prób jego zhakowania.

Na środku sali, jakby wciśnięty między biurka, stoi czarny ergonomiczny fotel wypoczynkowy. Jest niezbędny; dyżur trwa tu pełne 24 godziny, by w razie jakiegoś zdarzenia od początku do końca zajmowali się nim ci sami ludzie. Przy przekazywaniu zmiany mogłoby coś umknąć.

To tu przychodzą informacje o potencjalnym zagrożeniu: z IMiGW, Wód Polskich, Straży Pożarnej itp. Tu się je weryfikuje, zdobywa dodatkowe i określa obszar, który może być zagrożony. Treść esemesa i teren, na którym ma być rozesłany – czy na województwa, czy na powiaty, a niekiedy nawet na gminy – trafia do operatorów telefonicznych.

Jak powstaje alert

Pełniona tu służba dyżurna RCB składa się zwykle z minimum dwóch osób i szefa zmiany, który musi mieć co najmniej kilka lat doświadczenia w tej pracy. Zespół tworzą byli policjanci, funkcjonariusze SOP, emerytowani wojskowi, ale też cywile. – *Potrzebni są tu ludzie, którzy mają to „coś", zmysł analityczny, potrafią przewidzieć, co może się zdarzyć* – mówi płk Straży Granicznej Mariusz

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Marchlewicz, zastępca dyrektora RCB, któremu pion dyżurny podlega.

Podaje przykład: – *Mamy pożar wielkopowierzchniowy i dyżurny dzwoni do Wojewódzkiego Centrum Zarządzania Kryzysowego po analizę, czy nie potrzeba alertu na wypadek zatrucia powietrza, dzwoni do służb, które są na miejscu, jaka jest ich ocena, czy kierunek wiatru nie spowoduje konieczności ewakuacji ludności* – opisuje. – *My nie znamy lokalnych uwarunkowań, ale musimy przewidzieć, co może się tam wydarzyć. Jesteśmy znani z pogodynki, rozsyłania alertów, ale do danych meteorologicznych, na przykład ile litrów wody spadnie na danej powierzchni, musimy dołączyć ryzyko, które może w związku z tym wystąpić. Przykładowo: jeżeli w tej chwili mamy suszę hydrologiczną, musimy przewidzieć, czym to może skutkować: woda nie wsiąknie w glebę, tylko gdzieś spłynie* – mówi płk Marchlewicz. Zresztą kontakty z Instytutem Meteorologii czy z Wodami Polskimi są codziennie.

– *Głowa, intelekt i umiejętności analityczne* – podsumowuje krótko Bożena Wysocka, która jest w RCB od początku. Pracuje w Wydziale Polityki Informacyjnej, zaangażowanym w opracowywanie alertów, tak by najważniejsze treści zmieściły się w 160 znakach esemesa.

– *Czasami jest tak, że pogodowe ostrzeżenia są graniczne – między pierwszym a drugim stopniem zagrożenia i to my musimy podjąć decyzję, czy te parametry rzeczywiście mogą stworzyć zagrożenie, czy nie. Czy nasz alert może uratować czyjeś zdrowie i życie. Pamiętamy, że alert RCB powstał po tragedii w Suszku, czyli po śmierci harcerzy, więc dla nas to jest priorytet* – mówi wicedyrektor Mariusz Marchlewicz.

Tragedia na obozie harcerskim w pomorskim Suszku, na którym było 140 osób, wydarzyła się w nocy z 11 na 12 sierpnia 2017 r. W wyniku potężnej, trwającej kilka minut nawałnicy zginęły dwie harcerki w wieku 13 i 14 lat, a wielu innych uczestników obozu zostało rannych.

Wszyscy chętni

Alerty RCB zaczęły pojawiać się w naszych telefonach w 2018 r. W tym roku (stan na 9 lipca br.) mieliśmy 86 alertów w ponad pół miliardzie esemesów. Najwięcej dotyczyło zagrożeń meteorologicznych, hydrologicznych oraz pożarów. W 2024 r. – przy 209 alertach – liczba esemesów przekroczyła miliard. Najwięcej, 58 alertów, dotyczyło zagrożeń pogodowych (mieliśmy powódź). Inne dotyczyły np. niewybuchu, wścieklizny, smogu (więcej w ramce). Było też ostrzeżenie o niżu genueńskim.

Alerty RCB mogą być wyświetlane na ekranach reklamowych, są umieszczane w social mediach, na platformie X oraz Instagramie, w aplikacjach RSO i mObywatel. A wraz z wejściem w życie ustawy o obronie cywilnej, która obowiązuje od początku roku, otworzył się nowy kanał dystrybucji komunikatów RCB: publiczne radio i telewizje. Trwają właśnie ostatnie uzgodnienia z nadawcami.

Jednak, jak zaznacza płk Marchlewicz, wyjątkowość alertu polega na tym, że wystarczy włączony telefon. Operatorzy telefonii, którzy mają obowiązek je rozsyłać, starają się usprawnić cały proces. Trwają prace, by operatorzy uzyskali zdolność wysyłania kilku tysięcy esemesów na sekundę. Bywa, jak w przypadku ubiegłorocznej powodzi, że jeden z operatorów miał problemy techniczne. Ale opóźnienie w nadaniu esemesów z alertem wyniosło raptem trzy minuty.

Z narzędzia, jakim jest alert RCB, chciałoby skorzystać coraz więcej instytucji. Generalny Inspektor Sanitarny chciałby przez alerty informować o wycofanych ze sklepów produktach żywnościowych, Ministerstwo Rolnictwa – wydawać ostrzeżenia pogodowe dla rolników. Pojawił się też wniosek posłanki z podkomisji ds. zaginięć, żeby informacje o zaginięciach także można było nadawać alertem RCB.

W maju tego roku po raz pierwszy RCB opublikowało policyjny Child Alert dotyczący zaginionego dziecka. Odbiór społeczny przerósł oczekiwania policji. Następnego dnia dziewczynka została odnaleziona, na szczęście cała i zdrowa.

Bo alert ma być przede wszystkim nadzwyczajnym narzędziem wykorzystywanym w szczególnych sytuacjach, kiedy zagrożone może być życie i zdrowie ludzi. Dlatego takie oburzenie wywołał alert ogłoszony w czasach rządów PiS, zachęcający do głosowania w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2020 r.

Informatycy w piwnicy

Ale Centrum Operacyjno-Analityczne RCB to nie tylko dyżurni. Jest jeszcze zaplecze analityczne – kilka kolejnych osób, które opracowują prognozy wydarzeń i dokumenty strategiczne. Jak zaznacza dyrektor Zbigniew Muszyński, Centrum ma wspierać Radę Ministrów, premiera i ministra spraw wewnętrznych. – *Po to zbieramy te wszystkie informacje i je przekazujemy, żeby rząd mógł skutecznie kierować działaniami w sytuacji kryzysu. A żeby zarządzać, musi mieć wiedzę* – tłumaczy. – *My budujemy tzw. big pictures danej sytuacji, szerszą perspektywę.*

W ubiegłym roku ich modele pokazywały parę dni wcześniej, że powstaje niż genueński, który niesie wielkie deszcze. – *Po konsultacjach z IMiGW przekazaliśmy informację i MSWiA natychmiast podjęło działania* – dodaje. W tym roku na początku lipca RCB także (już ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

RCB, wideokonferencja z wojewodami w sprawie kryzysu w ochronie zdrowia. Obok: **Zbigniew Muszyński, dyrektor RCB, były funkcjonariusz ABW.**

Rzeki, wiatry, wścieklizna…

W 2024 r. alerty dotyczyły 58 zagrożeń pogodowych (silny wiatr, burze z gradem, intensywne opady deszczu, zawieje, zamiecie), 18 alertów o zagrożeniu smogiem, jedno zagrożenie niewybuchem, wścieklizną, 10 alertów dotyczyło zanieczyszczenia rzek; zagrożenia pożarowego lasów – 5 alertów; komunikaty do obywateli RP przebywających na terytorium Ukrainy – 5 alertów. Ponadto do obywateli Ukrainy przebywających na terytorium Rzeczpospolitej Polskiej skierowano 78 alertów, które dotyczyły m.in. pociągów specjalnych, zgłaszania zbrodni wojennych, uruchamiania syren alarmowych, informacji o zapotrzebowaniu na personel medyczny oraz kwestii wizowych do innych krajów.

▶ 4 lipca) wysyłało ostrzeżenia o niżu genueńskim, który może dotrzeć nad Polskę. Na szczęście się zatrzymał.

Budynek, który zajmuje RCB, nie jest duży, dlatego wykorzystywane są wszystkie pomieszczenia. Dyżurni pracują na górze, na pierwszym piętrze. Obok analitycy. – *Informatycy pracują w pomieszczeniach piwnicznych* – opisuje Zbigniew Muszyński, dyrektor RCB. – *Ale z oknami* – zastrzega od razu ze śmiechem.

Muszyński jest byłym funkcjonariuszem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego z ponad 25-letnim stażem – od 1991 do 2017 r. Ostatnio kierował tam Centrum Antyterrorystycznym ABW. Dla niego alerty pogodowe – choć ważne – są tylko małym elementem z prac RCB.

– *Jesteśmy odpowiedzialni za zapewnienie gotowości cywilnej i skutecznego zarządzania kryzysowego na najwyższym szczeblu państwowym* – mówi. Dotyczy to zagrożeń zarówno naturalnych, jak i spowodowanych przez człowieka. Temu ma służyć opracowany w RCB Krajowy Plan Zarządzania Kryzysowego, który z kolei stanowi matrycę dla planów wojewódzkich, powiatowych i gminnych. Krok po kroku zapisane są w nich procedury: w przypadku zdarzenia – kto co ma zrobić, kto za co odpowiada i na jakiej podstawie prawnej. Ostatni plan krajowy pochodzi z lat 2021/22. Nowy, zaktualizowany, właśnie został złożony do przyjęcia przez Radę Ministrów.

Odporność i odstraszanie

Kolejne pole działania RCB to sprawa ochrony infrastruktury krytycznej. Jej wykaz jest oczywiście niejawny. – *Musimy nadzorować plany ochrony infrastruktury krytycznej pod względem osobowym, technicznym, cyberzabezpieczeń, także pod względem prawnym i zachowania ciągłości działania. Te elementy każdy podmiot infrastruktury krytycznej jest zobowiązany opracować tak, aż zostaną przez nas zaakceptowane i przyjęte* – mówi dyrektor Muszyński.

RCB odpowiada też za budowanie w koordynacji z UE i NATO ochrony państwa, w tym odporności społecznej. Do tych opisywanych zadań RCB dodano jeszcze w styczniu „opracowanie planów i wytycznych dotyczących ewakuacji" i przygotowanie Krajowego Planu Ewakuacji. RCB ustawowo ma też dostęp do informacji niejawnych o wszystkich operacjach służb specjalnych, policji, straży pożarnej, Straży Granicznej. Jest z nimi w stałym kontakcie.

Na posiedzenie Rady Ministrów został właśnie skierowany tworzony od niemal dwóch lat projekt ustawy o zarządzaniu kryzysowym; unijny przepis, który niesie dużo dodatkowych wymagań związanych z bezpieczeństwem. Dotychczas dotyczyły one tylko energetyki i transportu. – *Wdrożyliśmy już 11 systemów bezpieczeństwa* – mówi dyrektor Muszyński. – *Oprócz energii mamy łączność, teleinformatykę, finanse, zaopatrzenie w żywność, zaopatrzenie w wodę, ochronę zdrowia, administrację publiczną, składowanie substancji chemicznych. Ludzie są przygotowani, metodyka działania jest opracowana* – mówi.

Szczególnej uwagi wymagają też podmioty krytyczne – to cała masa miejsc i instytucji świadczących co najmniej jedną usługę, której brak mógłby zachwiać funkcjonowaniem państwa. Każdy atak na podobne instytucje na świecie jest analizowany. W całym RCB pracuje niewiele ponad 60 osób, wspieranych przez grono doradców społecznych z różnych dziedzin.

Jest szansa, że gdy ustawa o zarządzaniu kryzysowym wyjdzie z Rady Ministrów, przegłosuje ją parlament, a prezydent podpisze, to RCB zostanie dodatkowe 35 etatów. Zagrożeń, niestety, przybywa, alerty będą coraz częstsze.

VIOLETTA KRASNOWSKA

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA GAZETA, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

ILUSTRACJE ADELA PODGÓRSKA

Ścieki leków

PAWEŁ WALEWSKI

Z jednej strony kampanie proekologiczne, z drugiej – antybiotyki w rybach i cytostatyki w ściekach. Leki, które miały ratować życie, zatruwają środowisko, bo brakuje skutecznego systemu ich zbiórki.

Polacy uchodzą za społeczeństwo lekomanów – lubimy się leczyć, czy to na podstawie wyrywkowych informacji z reklam, czy porad z internetu. Prawie 34 proc. dorosłych, zwłaszcza po 65. roku życia, przyjmuje równocześnie co najmniej pięć różnych leków. Zjawisko to określa się mianem polipragmazji, czyli wielolekowości i nie prowadzi wcale do poprawy zdrowia. Przeciwnie: nadmiar preparatów zwiększa ryzyko interakcji, powikłań w leczeniu. Seniorzy często gromadzą leki nie dlatego, że cierpią na liczne schorzenia, lecz „na wszelki wypadek" – korzystając z hojności państwa, które umożliwia im darmowe zaopatrywanie się w aptekach. To z kolei rodzi pokusę, by robić zapasy. A lekarze wystawiający recepty nie zawsze mają narzędzia (ani chęci), by sprawdzić, jakie inne medykamenty otrzymuje pacjent, zwłaszcza gdy ten krąży między różnymi gabinetami.

Teoretycznie lekarze POZ (podstawowej opieki zdrowotnej) mają dostęp do pełnej historii e-recept, zarówno swoich, jak ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ i tych wystawionych przez innych lekarzy. Ale już specjaliści, którzy często leczą pacjentów przewlekle, widzą jedynie recepty wystawione przez siebie, chyba że chory wyrazi zgodę na udostępnienie szerszej dokumentacji w swoim Internetowym Koncie Pacjenta (IKP). W gabinetach prywatnych ten problem jest jeszcze bardziej widoczny – medycy nie mają dostępu do historii przepisywanych leków, nie wiedzą też, czy pacjent zrealizował wcześniejsze recepty.

Chyba w każdym domu, w szufladach, apteczkach, szafkach zalegają dziesiątki opakowań niewykorzystanych leków, bo „były na receptę, więc szkoda wyrzucić". Ktoś zużył całe opakowanie ketonalu, dzieciom wciąż coś się zmieniało w antybiotykach. Szczególną sytuację mają pacjenci onkologiczni uczestniczący w tzw. programach lekowych.

Pani Anna, od ośmiu lat leczona z powodu raka piersi, każdego dnia musi przyjmować cytostatyki w formie doustnej. Odbiera je co trzy tygodnie w aptece szpitalnej na podstawie skierowania od lekarza – to zawsze aż 168 tabletek. – *Nie mogę powiedzieć, że tym razem nie biorę, bo wypadnę z programu. Lekarz i apteka są z tego rozliczani przez NFZ* – tłumaczy. Mimo że czasem przerywa terapię z powodów zdrowotnych, swój zapas i tak musi odebrać, więc nadmiar tabletek stopniowo gromadzi się w domu. Część z nich nadal nadaje się do użytku, ale nie ma możliwości ich zwrotu czy przekazania innemu pacjentowi.

200 milionów opakowań

Problem ten ujawnia poważną lukę w systemie: brak elastyczności w dystrybucji leków i realnych mechanizmów utylizacji nadwyżek, szczególnie tych nieprzeterminowanych i kosztownych. Z badań wynika, że niemal 68 proc. Polaków wyrzuca leki do odpadów komunalnych lub spłukuje je w toalecie. Efekt? Straty idące w miliardy złotych i zanieczyszczone środowisko.

Prof. Przemysław Kardas, kierownik Zakładu Medycyny Rodzinnej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, od lat zajmuje się tym, dlaczego pacjenci nie stosują się do zaleceń lekarskich. Jego badania, w tym międzynarodowy projekt DISPOSAL, rzucają światło na problem, o którym w Polsce wszyscy wiedzą, ale nikt nie chce o nim rozmawiać.

Dlaczego leki lądują w śmietniku? Powodów jest kilka. Po pierwsze, nieprzestrzeganie zaleceń terapeutycznych – nawet 50 proc. niewykorzystanych leków to efekt tego, że pacjenci przerywają leczenie, zapominają o tabletkach albo po prostu przestają je brać, gdy poczują się lepiej. Po drugie, zmiana terapii przez lekarza – nowy lek, więc stare opakowanie idzie do kosza. Po trzecie, smutna rzeczywistość: śmierć pacjenta, po którym zostaje szafka pełna niewykorzystanych specyfików. – *Czasem to nie pacjent, a jego rodzina staje przed pytaniem: co z tym wszystkim zrobić?* – tłumaczy prof. Kardas. I tu zaczyna się problem, bo do miejsc właściwej utylizacji – tzw. PSZOK (punktów selektywnej zbiórki odpadów komunalnych) lub aptek (nielicznych, które są wyposażone w odpowiednie pojemniki) – trafia ledwie co dziesiąty preparat.

> Szacuje się, że w Polsce rocznie marnujemy leki o wartości 4 mld zł. Apteki nie są bowiem prawnie zobowiązane do zbierania leków.

Szacuje się, że w Polsce rocznie marnujemy leki o wartości 4 mld zł. Przy średniej cenie opakowania na poziomie 20 zł to aż 200 mln opakowań, a jeśli przyjąć, że każde waży z zawartością ok. 50 g – uzbiera się 10 tys. ton odpadów farmaceutycznych z samych tylko prywatnych zapasów. W Warszawie są to ilości rzędu 125–150 ton rocznie, w Bielsku-Białej – 10 ton. To tak, jakby co roku wyrzucać do śmieci kilkaset tirów pełnych tabletek, kapsułek i syropów.

Dla środowiska szczególnie groźne są antybiotyki. Kiedy spłukujemy je w toalecie, nie znikają w magiczny sposób. Trafiają do wód, gdzie bakterie, które tam żyją, niekoniecznie nawet chorobotwórcze, zaczynają rozwijać tzw. antybiotykooporność i są w stanie przekazać ją innym. Mikroby mogą bowiem wymieniać się materiałem genetycznym, a przez to oczyszczalnię ścieków opuszczać mogą patogeny groźniejsze niż te, które do niej trafiały. – *To prosta droga do wyhodowania superbakterii, która może zagrozić nam wszystkim* – ostrzega prof. Kardas.

Dr hab. inż. Justyna Rogowska, profesor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, która jest prawniczką i chemiczką, dodaje: – *Farmaceutyki są wykrywane w wodach morskich, powierzchniowych, podziemnych, a nawet w wodzie pitnej. Oczyszczalnie ścieków w Polsce i większości krajów Unii nie są zaprojektowane, by usuwać leki. Z paracetamolem czy ibuprofenem sobie radzą, ale inne substancje, jak antybiotyki lub cytostatyki, mogą występować w oczyszczonych ściekach w stężeniach wyższych niż na wejściu do oczyszczalni.*

Dlaczego? Otóż podczas oczyszczania powstają nowe związki, często bardziej toksyczne niż oryginalne substancje. – *W środowisku związki chemiczne nie występują pojedynczo, tylko w formie mieszanin, czyli koktajlu chemicznego, w którym na przykład dwie nietoksyczne substancje mogą stworzyć coś, co zatruje wodę i zwierzęta* – tłumaczy prof. Rogowska. Unikatowe badania naukowców z Gdańska wykazały obecność składników leków przeciwdepresyjnych w rybach i małżach, co ma szkodliwy wpływ na ich cykl reprodukcyjny.

W Polsce, gdzie świadomość problemu jest znikoma, a kampanie edukacyjne praktycznie nie istnieją, sytuacja wygląda szczególnie ponuro. Zdaniem naukowców z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego substancje czynne leków mogą się przedostawać do wody pitnej, ponieważ ponad 80 proc. wodociągów w Polsce pobiera wodę z rzek. I choć wedle zajmującego się tym problemem prof. Grzegorza Nałęcza-Jaweckiego nie stwierdzono, by farmaceutyki z Wisły wykazywały ostrą toksyczność dla człowieka, to nie da się tego wykluczyć, jeśli działanie takich środków będzie trwało przez wiele lat. Problem mogą stanowić np. hormony stosowane w środkach antykoncepcyjnych – nawet bardzo niewielkie stężenie estrogenów już teraz może doprowadzić do feminizacji wśród ryb.

Spychologia stosowana

Na papierze wszystko wygląda pięknie. Dyrektywa 2001/83/WE Parlamentu Europejskiego zobowiązuje państwa członkowskie do stworzenia systemów zbierania niewykorzystanych lub przeterminowanych leków. Artykuł 127b jasno mówi: „Państwa członkowskie zapewniają, że istnieją odpowiednie systemy zbierania produktów leczniczych, które są niepotrzebne lub

eprasa.pl f2ce6bb9a0

straciły ważność". W Polsce ten obowiązek spoczywa na gminach, które mają zapewniać mieszkańcom punkty zbiórki odpadów komunalnych, gdzie można oddać przeterminowane leki. W niektórych miastach, jak Bielsko-Biała, działa to przyzwoicie – 61 punktów zbiórki; z 16 z nich odpady po lekach są odbierane dwa razy w miesiącu, a z pozostałych raz na miesiąc. Ale to wyjątek.

– *W dużych miastach, jak Gdańsk, mieszkańcy mają łatwiejszy dostęp do aptek, które dobrowolnie przyjmują leki. Problem pojawia się na wsiach, gdzie aptek jest mało, a PSZOK-i są często odległe* – mówi prof. Rogowska. W Polsce apteki nie są prawnie zobowiązane do zbierania leków, w przeciwieństwie do krajów takich jak Francja, Hiszpania czy Chorwacja. U nas wszystko zależy od dobrej woli aptekarzy i umów z gminami. A te, jak pokazuje praktyka, nie zawsze są chętne do inwestowania w „konfiskatory" – specjalistyczne pojemniki na leki. Zresztą aptekarze są podzieleni w kwestii odbioru niezużytych leków. Jedni widzą w tym szansę na ratowanie planety i zdrowia publicznego, inni – logistyczną pułapkę i sanitarny koszmar.

Mgr farm. Mariusz Politowicz, doświadczony farmaceuta i kierownik apteki w Pleszewie, członek Naczelnej Rady Aptekarskiej, nie kryje sceptycyzmu wobec takiego systemu: – *W praktyce to my, aptekarze, zostajemy z problemem. Apteka ma być miejscem kojarzonym z czystością, z dbaniem o zdrowie, a nie ze zbiórką śmieci, nawet jeśli to śmieci, które pierwotnie wyszły z aptek.*

Lista zarzutów Mariusza Politowicza jest o wiele dłuższa: olbrzymie ryzyko, że do pojemników trafią podejrzane substancje (zdarzają się stare potłuczone termometry rtęciowe i igły, których w ten sposób utylizować nie można), a nawet przypadki, gdy pozbawieni instynktu samozachowawczego pacjenci ukradkiem grzebią w pojemnikach i wyciągają z nich stare leki. Do tego dochodzi problem z miastem, które obiecuje odbierać pojemniki, ale nie zawsze robi to na czas i smród rozlanych syropów roznosi się po całej aptece.

Politowicz pyta: – *Skoro wydajemy pieluchomajtki, pojemniki na mocz lub kał, to mamy też zbierać zużyte? Dlaczego w zbiórkę tych odpadów nie włączać przychodni albo szpitali? Idźmy dalej: przecież hurtownie, a przede wszystkim producenci, też mają udział w obrocie tymi opakowaniami.*

Tymczasem Beata Plewka, kierowniczka apteki w Poznaniu, mówi, że u niej nie ma

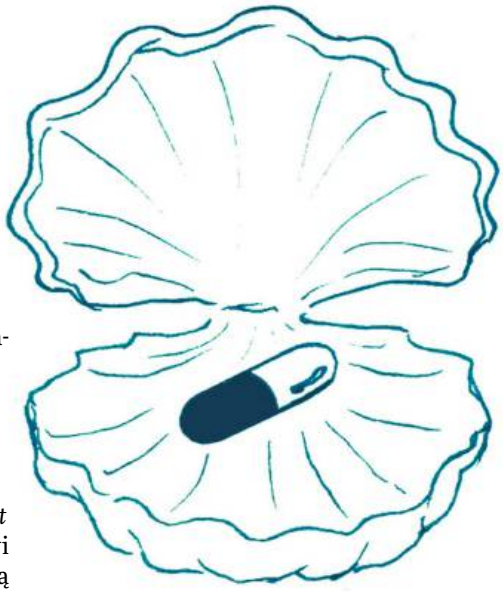

problemu. – *Nasze miasto świetnie radzi sobie z odbiorem odpadów, a jedyny kłopot to chwilowe składowanie leków w aptece. Pojemnik wypełnia się szybciej niż kiedyś, czasem jeden pacjent przynosi całą torbę, ale jak zgłosimy, że jest pełno, miasto przyjeżdża nawet poza harmonogramem.*

Apteka za to nie płaci, ale też nie dostaje za to grosza. Dla kierowniczki to po prostu część pracy, a ekologia i bezpieczeństwo pacjentów to wystarczający powód, by się nie buntować. Pytanie brzmi: czy ustawodawca w końcu ogarnie ten bałagan? Jedno jest pewne: dopóki nie ma jasnych przepisów i wsparcia finansowego, stare tabletki wciąż będą lądować tam, gdzie nie powinny.

Główny Inspektor Farmaceutyczny (GIF) przyznaje, że problem istnieje, ale zrzuca odpowiedzialność na gminy. „Kwestie organizacji systemu odbioru i utylizacji niewykorzystanych leków należą przede wszystkim do ich zadań" – czytamy w odpowiedzi przesłanej do redakcji. Inspektorat chwali się cyklem infografik „Wiosenne porządki w domowej apteczce", które miały edukować pacjentów, jak segregować i utylizować leki. Ale kto widział te infografiki?

Deklaracja brukselska

W Europie są kraje, które radzą sobie z tym problemem znacznie lepiej. We Francji działa organizacja non profit Cyclamed, założona w 1993 r., która zrewolucjonizowała zbiórkę leków. Apteki mają tam obowiązek przyjmowania niewykorzystanych opakowań, a system finansują producenci farmaceutyczni w ramach tzw. rozszerzonej odpowiedzialności. Efekt? W 2024 r. zebrano 77 proc. niewykorzystanych leków, co odpowiada 10,5 tys. ton. Hiszpania i Portugalia również mają swoje systemy – SIGRE i VALORMED – które opierają się na podobnych zasadach. W Polsce producenci są zwolnieni z obowiązku współfinansowania utylizacji „swoich" produktów, choć unijna strategia dotycząca farmaceutyków w środowisku sugeruje, że powinni ponosić za to odpowiedzialność. – *Skoro wytwórcy opakowań plastikowych płacą za recykling, dlaczego firmy farmaceutyczne miałyby być zwolnione?* – pyta retorycznie prof. Kardas.

Jego zespół nie zamierza składać broni. W czerwcu, podczas sympozjum zorganizowanego w Brukseli przez łódzki Uniwersytet Medyczny, eksperci z 15 krajów podpisali Deklarację brukselską, która wzywa do trzech kluczowych działań: skoordynowanych kampanii informacyjnych, wprowadzenia jasnych symboli graficznych na opakowaniach leków (np. „Nie wyrzucaj do śmieci, oddaj do apteki") oraz stworzenia krajowych platform cyfrowych z informacjami o punktach zbiórki.

Krzyczące opakowania

Problem nie dotyczy tylko leków na receptę. Suplementy diety, które Polacy kupują na potęgę, również lądują w śmieciach. Dyrektywa unijna nie klasyfikuje ich jako produkty lecznicze, ale wiele z nich – kupowanych na czarno w internecie – zawiera substancje chemiczne, takie jak np. sildenafil (substancja aktywna w Viagrze), które zanieczyszczają środowisko. – *Suplementy to szara strefa. Często są zanieczyszczone, a ich utylizacja kończy się w kanalizacji* – twierdzi prof. Rogowska.

A co z pomysłem redyspensingu, czyli ponownego wydawania niewykorzystanych leków po weryfikacji ich jakości? GIF wspiera tę ideę, ale podkreśla, że leki raz wydane z apteki nie mogą być zwracane ze względu na niepewność warunków przechowywania. W Danii działa system z naklejkami zmieniającymi kolor, jeśli lek był źle przechowywany, co weryfikują aptekarze. Ale w Polsce to na razie science fiction, więc zgromadzony przez panią Annę zapas drogich cytostatyków nie może przydać się innym chorym.

Może warto zacząć od tego, żeby opakowanie leku wręcz krzyczało: „Nie wyrzucaj do śmieci"? Nie rozwiąże to problemu, ale przynajmniej nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie wiedział.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Miliony na wiarę

W naszym kraju każdy może udawać duchownego dowolnego Kościoła. Nie po to, żeby udzielać ślubów i chować zmarłych, ale korzystać z Funduszu Kościelnego. A jak się jest misjonarzem z zagranicy – to zdobyć polską wizę.

ZBIGNIEW BOREK

ILUSTRACJA MARTA FREJ

Aż 672 dekrety powołania na misjonarza wydał Polakom przełożony (odpowiednik proboszcza) jednego z istniejących od kilku lat Kościołów. Jeszcze więcej, bo 30 tys. takich dekretów, wydał obywatelom innych państw, m.in. Filipin, Tadżykistanu, Wenezueli, Turcji, Ukrainy i Rosji. Polscy kandydaci na „misjonarzy" płacili przełożonemu 300–500 zł łapówki, a zagraniczni nawet 5 tys. euro. – *Ci z Polski rejestrowali się w ZUS i dzięki temu czerpali pełnymi garściami z Funduszu Kościelnego. Zagraniczni rejestracji nie potrzebowali. Udawali się do polskich ambasad na całym świecie i składali wnioski o wydanie wiz do Polski, w praktyce do całej Unii, żeby szerzyć u nas swoją wiarę* – mówi prawnik i likwidator gminy wyznaniowej (odpowiednik parafii) tego Kościoła.

Z naszych informacji wynika, że proceder trwał od 2022 do października 2024 r. Nie wiadomo, ile misjonarskich dekretów zamieniło się w wizy. Śledztwo w tej sprawie prowadzą prokuratura i ABW, przełożony został wydalony z Kościoła, ale wciąż jest na wolności. Niewiele zabrakło, żeby jego działania były w pełni legalne: nie miał zgody swojego Kościoła, a był zbyt niski rangą, żeby dekrety wydawać samodzielnie.

eprasa.pl f2ce6bbaa0

Jak to w ogóle było możliwe? Aby odpowiedzieć na to pytanie, zacznijmy od początku, czyli od finansowanego przez budżet państwa Funduszu Kościelnego. O jego likwidacji od lat głośno mówią politycy, a po cichu drenują go oszuści. I to na wiele sposobów.

Udawani duchowni

Najłatwiejszą metodą oszustwa jest udawanie osoby duchownej. To bajecznie proste: wystarczy wypełnić formularz zgłoszenia do ubezpieczeń ZUS. Poza nielicznymi wyjątkami (o nich niżej) nie trzeba udowadniać, że jest się duchownym, ale dla świętego spokoju można też założyć własny Kościół. Fundusz nie odróżnia kapłanów religii z tradycją 2 tys. lat i tych, którzy działają od kilku miesięcy: każdemu dopłaca z automatu 80 proc. zusowskiej składki (bez ulg i z minimalną składką zdrowotną składka wynosi 2089 zł, zatem dopłata to 1671 zł miesięcznie), a w przypadku misjonarzy i zakonników klauzurowych – 100 proc.

Fundusz Kościelny operuje pokaźnymi kwotami. W latach 2021–23 pochłonął 618 mln zł (3,5 proc. wydatków publicznych na Kościoły i związki wyznaniowe), w tym roku w budżecie państwa zapisano na ten cel 275,7 mln zł. Wbrew potocznym wyobrażeniom fundusz nie finansuje wszystkich, lecz tylko trzy ustawowe cele: wspiera działalność charytatywno-opiekuńczą kościelnych osób prawnych i remonty zabytkowych obiektów sakralnych, przede wszystkim jednak dokłada się do składek duchownych na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. W 2025 r. ten ostatni cel pochłonie 264 mln zł, czyli 96 proc. pieniędzy funduszu.

Z dofinansowania składek korzysta 23,5 tys. osób, które nie mają innych ubezpieczeń społecznych albo są już ubezpieczone przez pracodawcę, ale otrzymują miesięcznie pensję niższą niż minimalna (to obecnie 4666 zł), bo np. pracują jako katecheci na pół etatu. Wśród dotowanych są też słuchacze seminariów. Nikt jednak nie wie, ilu jest prawdziwych duchownych, a ilu hochsztaplerów, którzy się pod nich podszywają, bo system nie odróżnia jednych od drugich. Kontrole są sporadyczne, ich wyniki dają jednak do myślenia. „W latach 2021–2023 ZUS przeprowadził 74 postępowania administracyjne dotyczące osób duchownych. W 34 przypadkach (45,9 proc.) wydano decyzje stwierdzające brak podlegania ubezpieczeniom społecznym jako osoby duchownej” – czytamy w raporcie NIK o finansowaniu Kościołów i innych związków wyznaniowych z maja tego roku.

Według NIK system państwowego nadzoru nad dotacjami do składek z Funduszu Kościelnego jest dziurawy jak sito. Kuleje też egzekucja należności od duchownych (prawdziwych lub nie). Rekordowa zwłoka w wysłaniu upomnienia to 1172 dni, informacje o zaległych ratach wysyłano z poślizgiem nawet dwóch lat, część należności się więc przedawniła. „W ocenie NIK może to tworzyć przestrzeń do nadużyć w postaci korzystania z finansowania składek z Funduszu Kościelnego przez osoby nieuprawnione” – czytamy w raporcie.

Wyłudzanie na misjonarza

Nadzorujący kontrolę Konrad Kostępski, p.o. dyrektor departamentu pracy, spraw społecznych i rodziny NIK, mówi POLITYCE: – *Sedno problemu polega na tym, że każdy może się zgłosić do ubezpieczenia jako duchowny.*

Formularz „ZUS ZUA – zgłoszenie do ubezpieczeń” to dwustronicowy dokument formatu A4. Wpisuje się w nim dane personalne, adres, numery PESEL, NIP i REGON oraz datę „powstania obowiązku ubezpieczeń” (czyli rozpoczęcia działalności duszpasterskiej jak każdej innej gospodarczej), a także kod tytułu ubezpieczenia (np. 10 10 00 dla duchownego, który opłaca składkę od minimalnej podstawy wymiaru). I to by było na tyle. Nie trzeba dołączać żadnego dokumentu potwierdzającego swój religijny status (np. zaświadczenia o święceniach kapłańskich czy informacji o powołaniu na urząd duszpasterski), niczego nie musi też poświadczać instytucja wyznaniowa (wyjątek: zgłoszenia zakonników dokonują przełożeni zakonni, a za zgodą ZUS inna jednostka kościelna). Jak każdy płatnik duchowny oświadcza pod rygorem odpowiedzialności karnej, że dane zawarte w formularzu zgłoszeniowym są zgodne ze stanem faktycznym, ale prawdopodobieństwo wpadki jest nikłe.

– *Zyski zaś mogą być spore i nie ograniczają się do wyłudzonych dopłat do składek* – mówi cytowany wcześniej likwidator. Wykrył kilka patentów, jakie stosują „misjonarze” i „księża”. Wyłudzają zasiłek chorobowy: najpierw płacą w ZUS dobrowolną składkę zdrowotną (przy deklarowanej podstawie 4666 zł składka wynosi ok. 420 zł miesięcznie), nagle „zapadają na zdrowiu” i przez pół roku dostają co miesiąc 80 proc. minimalnej pensji (czyli 3733 zł). Dzięki ubezpieczeniu fikcyjni duchowni leczą się oczywiście za darmo (czytaj: na koszt podatnika). Do własnych ubezpieczeń dopisują też członków swoich rodzin: dzieci, męża czy żonę, a nawet babcię czy niepracującego brata, o ile zadeklarują, że żyją z nimi we wspólnym gospodarstwie domowym. Kolejny bonus to zasiłek pogrzebowy dla rodziny (4 tys. zł, od przyszłego roku 7 tys. zł). – *Gdy zmarł jeden z misjonarzy w likwidowanej przeze mnie gminie, rodzina wystąpiła o zasiłek i otrzymała go bez problemu* – mówi likwidator.

Misjonarzem, precyzyjniej: misjonarką, może być też kobieta. Gdy zachodzi w ciążę, należy jej się zasiłek macierzyński: 100 proc. minimalnej pensji przez 14 tygodni. – *Zajmuję się tą problematyką od kilku lat i proszę mi wierzyć, że kreatywność tych ludzi nie zna granic. Niektórzy wyciągają z Funduszu Kościelnego łącznie 5 tys. zł na rękę miesięcznie, a ZUS wydaje się bezradny* – mówi prawnik.

Mroki Słońca

Ryzyko problemów prawnych można zredukować do zera, zakładając własny Kościół. Sprawdziliśmy: ChatGPT od ręki wymyślił nazwę nowego związku wyznaniowego (Kościół Światła i Harmonii), jego statut i doktrynę (wiara w Istotę Światła – transcendentne źródło dobra, równowagi i życia). Najwyższym organem kościoła byłaby Rada Światła (złożona z pięciu starszych Harmonii), najważniejszymi świętami: Dzień Światła Wewnętrznego (21 marca), Równonoc Jesienna – Święto Harmonii (23 września) i Tydzień Medytacji Światła (koniec grudnia), rytuały zaś obejmują: światłowstąpienie, harmonizację duchową, wspólnotowe pieśni i rozważania. Pozostaje jeszcze zebrać 100 notarialnie potwierdzonych podpisów pełnoletnich obywateli RP (to najtrudniejszy wymóg, ale nikt potem nie sprawdza, czy te osoby rzeczywiście należą do Kościoła) i złożyć wniosek o rejestrację w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji (osobiście, pocztą lub przez ePUAP) za opłatą w wysokości 10 zł.

W Polsce oficjalnie zarejestrowanych jest 191 kościołów i innych związków wyznaniowych. 15 z nich ma uregulowaną ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ sytuację prawną na mocy odrębnych ustaw, pozostałe funkcjonują na podstawie wpisu do ministerialnego rejestru. Większość zarejestrowała się w latach 90., gdy było to jeszcze łatwiejsze niż dziś (wystarczyło 15 podpisów wyznawców). Kościołowi Latającego Potwora Spaghetti ta sztuka się nie udała, ale w rejestrze roi się od dziwacznych nazw i podejrzanych adresów założycieli nowych wyznań. Np. w grudniu 2021 r. MSWiA zarejestrowało Kościół Naturalny. Media donosiły później, że wyłudzał pieniądze, a komornika unikał dzięki ochronie „przedmiotów sakralnych" takich jak komputer.

Najnowszym legalnie działającym związkiem wyznaniowym w Polsce jest Kościół Ludzi Słońca (w skrócie: Kościół Słońca), zarejestrowany w lutym 2025 r. Siedzibę ma w mieszkaniu na blokowisku w Gorzowie Wielkopolskim, jego doktryna zaś przypomina to, co naprędce wygenerowała mi sztuczna inteligencja. Założycielami są: Alina Czyżewska, aktorka, sygnalistka i aktywistka, która zamieszczała w internecie poradniki dla uczniów, jak omijać lekcje religii, oraz znany z walki o „świecką szkołę" przedsiębiorca Paweł Nijakowski. Teraz są hierarchami Kościoła Słońca. Światłymi – jak o sobie mówią. O rejestrację zabiegali ponad trzy lata, swoich praw wynikających z ustawy o gwarancjach wolności sumienia i wyznania dochodzili w sądzie administracyjnym. – *Odkrywamy kolejne przywileje, preferencje podatkowe i inne korzyści finansowe, jakimi cieszą się Kościoły i związki wyznaniowe* – mówi Alina Czyżewska.

Dzieje się tak m.in. dlatego, że wspólnoty wpisane do ministerialnego rejestru mają podobne prawa jak duże Kościoły, które działają na podstawie odrębnych ustaw, np. katolicki lub autokefaliczny prawosławny. Kościół Słońca zamierza z nich skorzystać: do ministry edukacji Barbary Nowackiej wysłał już wniosek o możliwość nauczania własnej religii w szkołach, a do marszałka Szymona Hołowni o umieszczenie w sali posiedzeń Sejmu RP symbolu religijnego Kościoła Ludzi Słońca. Obok krzyża miałoby więc zawisnąć kółko.

Kolejnym przywilejem jest dostęp do Funduszu Kościelnego, co samo w sobie jest absurdem, bo został on powołany w 1950 r., żeby rekompensować Kościołom utracone dochody z majątku odebranego w okresie PRL, gdy o Kościele Słońca nikt jeszcze nie słyszał. – *Absurdem jest też to, że nie ma możliwości dobrowolnej rezygnacji z finansowania składek przez Fundusz Kościelny. Jak się zgłaszasz do ZUS jako osoba duchowna, publiczne pieniądze płyną z automatu. Masz obowiązek korzystania z Funduszu Kościelnego, nawet jeśli jako obywatel jesteś przeciwny jego funkcjonowaniu* – mówi Alina Czyżewska. Paweł Nijakowski dodaje, że z tego dofinansowania korzystają też niektórzy duchowni w Kościele Słońca. Nie wiadomo ilu ani też, jaka jest liczba jego wyznawców, bo „proces przystąpienia do Kościoła Słońca jest całkowicie odformalizowany".

Aktywistka Alina Czyżewska i przedsiębiorca Paweł Nijakowski w ramach prowokacji założyli fikcyjny Kościół Słońca

Rachunek za neutralność

Państwo polskie jest na to zjawisko ślepe i głuche – i to na własne życzenie. Ani MSWiA (dysponent Funduszu Kościelnego), ani ZUS (rozlicza składki) nie mają systemowych rozwiązań, które pozwoliłyby sprawdzać, czy osoba zgłoszona do ubezpieczenia jako duchowna jest nią faktycznie – wskazuje NIK w majowym raporcie. Co gorsza, nie robią nic, żeby to zmienić. I co najgorsze (bo nie zwiastuje zmian) – zaniechania tłumaczą szczytnymi hasłami: neutralnością światopoglądową państwa, prawem obywateli do prywatności oraz równością obywateli wobec prawa.

Choć państwo dopłaca duchownym do składek, ZUS traktuje ich tak samo jak przedstawicieli innych zawodów, którzy płacą sami za siebie. Dlaczego? Ustawa o systemie ubezpieczeń społecznych nakazuje równe traktowanie płatników – to odpowiedź na pytanie POLITYKI. „Nikt nie może być zobowiązany przez organy władzy publicznej do ujawniania swojego światopoglądu, przekonań religijnych lub wyznania" – to z kolei odpowiedź MSWiA na pytanie o to, dlaczego państwo nie weryfikuje osób zgłaszających się do ZUS jako duchowni (cytat za „Rzeczpospolitą"). Państwo nawet nie wie, z jakich Kościołów są takie osoby, bo prawo nie wymaga od nich takiej informacji.

– *W imię źle pojętej neutralności światopoglądowej państwo nie sprawdza, komu dopłaca pieniądze z kieszeni podatników, lecz przyjmuje to na wiarę* – komentuje Paweł Borecki, prof. Uniwersytetu Warszawskiego z Zakładu Prawa Wyznaniowego. Porządkowanie sytuacji według niego należałoby zacząć od weryfikacji Kościołów i związków wyznaniowych zarejestrowanych przed 1997 r., bo wcześniej nikt nawet nie sprawdzał tych 13 podpisów złożonych pod wnioskiem o rejestrację.

Zdaniem ks. prof. Dariusza Walencika, konsultora Rady Prawnej Konferencji Episkopatu Polski, nadużycia można by ukrócić, gdyby zgłoszenia do ZUS dokonywała jednostka kościelna, a załącznikiem był dokument potwierdzający status osoby duchownej. NIK we wnioskach z majowego raportu postuluje zaostrzenie wymogów rejestracji i wdrożenie „systemowych narzędzi weryfikacji" duchownych.

Problem raz na zawsze rozwiązałoby zastąpienie Funduszu Kościelnego asygnatą podatkową, czyli dobrowolnym odpisem od podatku na rzecz kościoła. Zagraniczne doświadczenia wskazują, że Kościoły korzystające z „podatku od wiernych" liczą się z każdym groszem, muszą też ujawniać, na co wydają pieniądze podatnika. Rząd Donalda Tuska zapowiedział likwidację Funduszu w pierwszych dniach swojego urzędowania. Powołał nawet specjalny zespół, ale ten wytracił impet (przez półtora roku spotkał się dwa razy), Ministerstwo Finansów zaś uznało, że asygnata byłaby niekorzystna (bo nie każdy wierzący jest płatnikiem PIT, nie każdy też płaci podatek, a niedobory musiałby i tak uzupełniać budżet państwa). Oficjalnie likwidacja wciąż jednak jest na koalicyjnym stole. Nie wiadomo, jak miałaby wyglądać, wiadomo natomiast, że w przyszłym roku dzięki obowiązkowej waloryzacji na Fundusz Kościelny państwo przekaże ok. 20 mln zł więcej niż w tym roku.

ZBIGNIEW BOREK

© LESZEK ZYCH, PIOTR SKORNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Mowa traw

Ograniczanie koszenia to nie fanaberia zwolenników łąk, którzy z jakichś powodów nie lubią trawników. To konieczność związana ze zmianą klimatu. Ale też zmiana myślenia o statusie społecznym i odpowiedzialności za nasze otoczenie.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Przeciwnicy mówią o nich „kosiarze umysłów", bo kosiarki włączane co tydzień, by trawnik przypominał murawę á la Wimbledon, ich zdaniem oddają pewien stan umysłu właścicieli i zleceniodawców. – *Jak ktoś ma problem z roślinami, to niech w ramach podkreślania swojego statusu społecznego i majątkowego wyłoży sobie ogród kamieniem. Drogi jest, wszyscy będą wiedzieli, że go stać* – kwituje Agata Saraczyńska, krytyczka sztuki, która w swoim ogrodzie na tyłach poniemieckiej wilii na wrocławskich Krzykach trawnik, owszem, kosi, ale tylko raz w miesiącu. I od razu robi miniwykład: trawnik jest niewielki, ogród to głównie kwiaty, które sprawiają, że trawa nie jest potrzebna. Wiosną tę trawę zasila nawozem z żelazem, by pozbyć się mchu, a potem aeruje i wertykuluje. Na pytanie, czy może jaśniej, ze śmiechem odpowiada: – *Zapraszam ciężkiego kolegę Janka, by założył buty z kolcami i przeszedł się po trawniku kawałek po kawałku, metodycznie, liniowo. Potem specjalnymi grabiami z ostrzami tnę darń, czyli wertykuluję. Dzięki temu kępki trawy się mnożą. I jeszcze ją szczotkuję, by pozbyć się wyschniętych źdźbeł i mchu.*

Saraczyńska mówi wprost: trawnik jest jej potrzebny, by postawić na nim meble ogrodowe i od czasu do czasu położyć koc.

Kosić, nie kosić?

Może nie jest to pytanie na miarę hamletowskiej rozterki, ale wyraźnie widać, że w Polsce powoli zmienia się myślenie o trawnikach i zieleni nie tylko w prywatnych ogrodach, ale też w miastach. Trendy wyznaczają te duże, jak Kraków, Wrocław czy Warszawa. Dwa pierwsze na swoich stronach internetowych zamieściły „Standardy utrzymania zieleni w miastach", opracowane wspólnie z Fundacją Sendzimira. Są tam nie tylko wytyczne dla profesjonalistów, ale też porady dla mieszkańców. I deklaracja trzymania się tych standardów przez kolejne podmioty. Sama fundacja do końca sierpnia prowadzi kampanię „Przejdź na dziką stronę miasta", promującą naturalną zieleń, która jest „różnorodna, wielopiętrowa, z pozoru nieuporządkowana, a przede wszystkim bogata w życie. Jej rozwój rządzi się prawami przyrody, takimi jak sukcesja ▶

© PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ naturalna, czyli proces naturalnych zmian składu gatunkowego roślin, który sprawia, że są coraz bardziej dostosowane do panujących warunków. Tym samym cały ekosystem staje się bardziej odporny np. na zmianę klimatu".

Dr Piotr Reda z Leaf Project Studio, prezes Stowarzyszenia Architektury Krajobrazu i jeden z założycieli Stowarzyszenia „Federacja Arborystów Polskich": – *Pierwsza przyroda to ta dzika, w którą jako gatunek ludzki wkroczyliśmy inwazyjnie. Druga to ta, którą zaczęliśmy wykorzystywać na swoje potrzeby, czyli utylitarna. Do niej dołożyliśmy wartość ozdobną, dziś najbardziej rozpowszechnioną w naszych miastach i ogrodach. Tak narodziły się ogrody francuskie, parki angielskie, ale też koszone trawniki, żywopłoty czy rabatki kwiatowe, czyli przyroda trzecia. Ale w dobie ogromnych zmian w środowisku spowodowanych przez człowieka, a więc m.in. obniżenia bioróżnorodności prowadzącego do zubożenia przyrody, konieczna jest jej ochrona.* Stąd koncepcja przyrody czwartej, odwołującej się do dzikości i różnorodności.

Reda, który jest biologiem z wykształcenia, ale ukończył też podyplomowe studia z architektury krajobrazu, mówi wprost, że ta koncepcja to powrót do naturalnej różnorodności, gdzie przyroda sama reguluje swoje procesy z niewielką pomocą człowieka. A to oznacza ograniczanie koszenia trawników, strzyżenia żywopłotów, nawadniania i stosowania różnego rodzaju zabiegów, które z jednej strony są kosztowne, a z drugiej – obniżają bioróżnorodność, zmniejszając tym samym masę pokarmową dla ptaków, które żywią się owadami.

– *W pandemii, kiedy z powodu lockdownu ograniczyliśmy koszenie, trawniki zakwitły dziesiątkami gatunków kwiatów i pojawiły się nagle tysiące gatunków owadów. I to jest właśnie ta bioróżnorodność* – mówi dr Piotr Reda. Jego pracownia zaprojektowała jeden z pierwszych w Polsce ogrodów deszczowych – i to w czasie, kiedy jeszcze nie używano takiej nazwy na zieloną przestrzeń, w której w sposób naturalny gromadzi się woda.

Podlewać, nie podlewać?

Dr Małgorzata Raduła z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, naukowo zajmująca się ekologią zbiorowisk roślinnych, zapytana: kosić czy nie kosić? odpowiada, że wszystko zależy od oczekiwań właściciela gruntu. Czy chce mieć przestrzeń rekreacyjną, gdzie będzie chodził boso i położy koc? Wtedy trzeba taką trawę wykaszać raz w miesiącu. Ale można też wydzielić w ogrodzie część otwartą, koszoną raz, dwa razy w roku – powstanie tam wtedy łąka, na której w sposób naturalny będą się pojawiać pewne gatunki roślin, a inne znikać.

– *To jest sytuacja win-win: człowiek ma przestrzeń dla siebie, swoją mają też owady i ptaki, małe ssaki, gady i płazy* – tłumaczy dr Raduła. I dodaje, że przeciwnicy łąk w miastach i zwolennicy koszenia wszystkich terenów zielonych zwykle jako jeden z kluczowych argumentów „za" podają alergie. – *I rzeczywiście, trudno uniknąć reakcji na pylenie roślin, jeśli kosi się rzadko, ale warto też wiedzieć, że np. we Wrocławiu trawniki to ponad 50 proc. powierzchni miasta. Ich koszenie to ogromne koszty dla budżetu, ponadto zmniejsza to szanse na wykorzystanie trawników przy adaptacji do zmiany klimatu. Łąki lepiej trzymają wilgoć, co ma znaczenie nie tylko dla małej retencji, ale też zmniejszenia uciążliwości miejskiej wyspy ciepła* – dodaje naukowczyni. I przyznaje, że zmiany w zarządzaniu zielenią, wprowadzane w życie w Londynie, Berlinie, a także w Polsce i Czechach, w ścisłej współpracy z naukowcami, nie budzą oporu urzędników, za to części mieszkańców już tak.

– *Na naszej uczelni powstała praca magisterska, w której autorka badała stosunek mieszkańców do łąk w miastach. Okazuje się, że młodsi są otwarci na „dzikszą" zieleń, nie widzą konieczności koszenia trawników co tydzień. Zdecydowanie większej kontroli, że tak to ujmę, zieleni chcą osoby starsze, dla których koszenie jest wyznacznikiem porządku* – mówi dr Raduła. I od razu zdradza, po czym poznać, kto administruje trawnikiem: te miejskie coraz częściej wyglądają jak łąki kwietne, te wokół hipermarketów, stacji benzynowych, spółdzielni mieszkaniowych czy biurowców są wygolone.

Kamila Rogaczewska z Leaf Project Studio i Katarzyna Kobierska z własnej pracowni projektowej w 2022 r. zdobyły nagrodę w konkursie Europejskiej Federacji Architektów Krajobrazu (IFLA EUROPE) za projekt PoPo Park na wrocławskim osiedlu Port Popowice, obliczonym na 5 tys. mieszkańców i sąsiadującym z parkiem zlokalizowanym na starym, przedwojennym cmentarzu. Doceniono to, że projekt nie generuje dużych kosztów utrzymania zieleni, proces nawadniania odbywa się w sposób naturalny, a pielęgnacja roślin jest minimalna. I – co ważne – park i osiedle tworzą jedno spójne założenie.

Kamila Rogaczewska pytana, czy jej zdaniem trawnik to zmora, odpowiada wprost: – *W dużej mierze tak. To widmo starego podejścia do krajobrazu, gdzie natura miała być ujarzmiona, podporządkowana i pokazywać wysoki status właściciela ziemi. Utrzymanie takiego trawnika wymagało czasu, stałej pracy i... służby. Nie każdego w dawnej Anglii czy Francji było na to stać.*

Inżynieria biologiczna

Architektka krajobrazu tłumaczy, że trawnik to zmora także w znaczeniu współczesnym – daje mało korzyści, a dużo utrapienia. Trawnik bowiem to udręka dla środowiska – stałe koszenie pozbawia pożywienia i schronienia wiele organizmów, a zła pielęgnacja przyczynia się często do pogarszania jakości gleby.

– *Trawnik pochłania ogrom zasobów. Oprócz ludzkiej pracy wymaga nieustannego koszenia, nawożenia, napowietrzania, plewienia, doglądania, a nawodnienie jest niezbędne. Zwykle jest to woda „czysta" – z wodociągów. A to zasób naturalny, który we współczesnym świecie jest deficytowy. W dobie zmian klimatycznych stałe podlewanie trawników wkrótce może być postrzegane jako nieodpowiedzialne i nieetyczne. Coraz częściej samorządy wprowadzają zakazy podlewania podczas suszy* – mówi Kamila Rogaczewska. I dodaje, że trawniki często są problemem wizualnym: zamiast gęstej, żywo zielonej, ogromnej połaci widzimy wyschnięte, wyliniałe, ubogie obszary z suchą zdegradowaną glebą, która traci walory użytkowe, estetyczne i „straszy". A katusze przeżywają na pewno ci, którzy narażeni są na cykliczny hałas kosiarki.

Zwolennicy działań na rzecz zwiększenia bioróżnorodności przekonują, że ograniczenie częstotliwości koszenia trawników do jednego, dwóch w sezonie może zwiększyć liczebność owadów zapylających nawet kilkakrotnie. Rośnie też retencja wody w glebie, spada temperatura przy gruncie, a to stwarza warunki dla sukcesji innych roślin, zwiększając lokalną różnorodność gatunkową.

– *Ale nie dajmy się zwieść. Jeśli zmniejszenie koszenia to jedyne działanie na rzecz przyrody, to mamy do czynienia z greenwashingiem, czyli pozorami. Bioróżnorodność wymaga działań systemowych, nie tylko łąk kwietnych i ochrony*

eprasa.pl f2ce6bb9a0

© TOMASZ PIETRZYK/AGENCJA WYBORCZA.PL

Dzięki ograniczeniu koszenia trawników do jednego, dwóch w sezonie przybywa owadów zapylających, rośnie też retencja wody w glebie.

starych drzew, ale też odpowiedzialnych projektantów i rzetelnych projektów, a przede wszystkim polityki, która wspiera przyrodę w planowaniu przestrzennym – przekonuje Kamila Rogaczewska. Uważa, że koszenie nie powinno zniknąć całkowicie, musi jednak stać się przemyślane – celowe, strefowane i zgodne z cyklem życia siedlisk, tym bardziej że projektowanie zieleni to nie tylko dobór roślin i wypełnianie narzuconego kształtu zielenią. To tak naprawdę projektowanie procesu, który pozwala zieleni w ogóle zaistnieć, przetrwać i się rozwijać, a więc forma inżynierii biologicznej: praca z wodą, glebą, relacjami przestrzennymi, dynamiką zmian siedlisk, sukcesją naturalną, presją urbanizacji czy zmianami klimatycznymi.

Maciej Podyma, prezes Fundacji Łąka, niechęć do kosiarek poczuł kilka lat temu w sobotni poranek po piątkowej imprezie. Jak sam mówi, hałas za oknem obudził w nim niezgodę i nakłonił do działania, czyli wprowadzenia do przestrzeni publicznej alternatywy dla strzyżonych co tydzień trawników.

– *Mieszkałem wtedy w bloku. Teraz mam ogród, który koszę, ale robię to w odpowiednich terminach. Obserwuję też, jak zmienia się podejście do koszenia w dużych miastach w Polsce.* Podyma przyznaje, że o obawach związanych z niekoszeniem trawników trzeba rozmawiać. Bo tak jak jedni podkreślą zagrożenie alergenami, tak inni powiedzą o bezpieczeństwie drogowym, szczególnie przy przejściach dla pieszych. – *Właśnie jestem przed dużym marketem, gdzie dwa lata temu zakładaliśmy łąkę kwietną i teraz parkujący kierowcy narzekają, że im te wyższe rośliny z łąki „wchodzą" do aut. A to oznacza, że musimy znaleźć jakieś rozwiązanie dobre i dla nich, i dla naszej łąki.*

Prezes Fundacji Łąka przyznaje, że w kwestii zarówno rozwiązań systemowych dotyczących zieleni, jak i sposobu myślenia o niej Polacy są w połowie drogi: nie tak daleko jak np. Niemcy, ale dalej niż Czesi. I od razu dodaje, że ci pierwsi ograniczyli koszenie trawników z powodu... braku pieniędzy. Tak było chociażby w Berlinie. – *Bo to są ogromne koszty dla samorządów. Z danych zebranych osiem lat temu wynikało, że to mniej więcej ćwierć miliarda w skali Polski. Dzisiaj – może nawet miliard* – mówi Maciej Podyma.

Nie pożyczaj kosiarki

W 2024 r. koszenie kosiarką spalinową kosztowało przeciętnie 0,50–0,60 zł/m kw. Przy 100 ha powierzchni, typowych dla dużego osiedla lub parku miejskiego, dwa dodatkowe cykle w sezonie to ok. 600 tys. zł, bez kosztów transportu pokosu. W 2023 r. warszawski Zarząd Zieleni zdecydował się więc wyłączyć ponad 70 ha terenów z pierwszego koszenia, oszczędzając w ten sposób kilkaset tysięcy złotych w budżecie. Na stronie Fundacji Kwietna można przeczytać, że w Dorset lokalne władze zredukowały koszenie zieleni w mieście z siedmiu do dwóch rocznie. Po pięciu latach rachunki za utrzymanie zieleni spadły o 45 proc.

Agata Saraczyńska: – *Kosiarze umysłów robią straszne krzywdy. I nawet nie tyle celowo, ile z niewiedzy. Przed ogrodzeniem zasadziłam sumaki. Tak je podkaszali, że z drzewek zrobiły się krzaki. Podczas koszenia traw często giną drobne płazy, gady, ssaki; że o hałasie, jaki generują kosiarki, już nawet nie wspomnę.*

Od naukowców zajmujących się zielenią można usłyszeć nieoficjalnie, że lobbują, by zakłady zieleni w miastach zatrudniały obowiązkowo biologów – to obok standardów opracowanych przez Fundację Sendzimira byłoby realne wsparcie merytoryczne i swoisty pas transmisyjny pomiędzy uczelniami i naukowcami, którzy swoje badania prowadzą w konkretnych miastach i dla konkretnych samorządów.

Od właścicieli ogrodów, którzy stawiają na bioróżnorodność i ograniczają koszenie swoich trawników, można się z kolei dowiedzieć, że największym problemem nie są dla nich alergeny czy zapylacze, które mogą ukąsić, ale sąsiedzi, którzy mniej lub bardziej dyskretnie sugerują pożyczenie własnej kosiarki. W imię porządku. I podkreślenia statusu społecznego.

KATARZYNA KACZOROWSKA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Platforma wiertnicza CEP u wybrzeży Wolina

Pora na ropę?

W środku lata znad Bałtyku nadeszły sensacyjne wieści: pod dnem morza koło Świnoujścia odkryto największe w kraju złoże ropy i gazu. Już nieraz mieliśmy wrażenie, że Polska staje się drugim Kuwejtem albo Norwegią, więc odżyły piękne wspomnienia i złudzenia. Czy tym razem będzie podobnie?

ADAM GRZESZAK

Pod morskim dnem na głębokości 2715 m, kilka kilometrów od świnoujskiej plaży, w formacji geologicznej dolomitu głównego, dowiercono się do 62-metrowej kolumny węglowodorów. Szacunki wskazują, że zawiera ona 22 mln ton węglowodorów w postaci ropy naftowej i kondensatu (to płynne frakcje gazu ziemnego) oraz 5 mld m sześc. gazu o jakości handlowej, znakomicie nadających się do wydobycia. Większego złoża węglowodorów w Polsce jeszcze nie odkryto.

„To historyczny moment zarówno dla Central European Petroleum (CEP), jak i dla polskiego sektora energetycznego. Postrzegamy to odkrycie jako fundament długoterminowego, odpowiedzialnego rozwoju zasobów morskich Polski. Wolin Wschodni to coś więcej niż tylko obiecujące złoże – to wspólna szansa na uwolnienie pełnego potencjału geologicznego i energetycznego Morza Bałtyckiego" – deklarował Rolf G. Skaar, prezes kanadyjskiej spółki naftowej należącej do najbogatszej Norweżki Anny Margaret Smedvig. CEP od 2017 r. prowadzi poszukiwania w rejonie wyspy Wolin. Spółka zarejestrowana w Albercie, o niewielkim kapitale zakładowym, prowadzi poszukiwania na terenie północnych Niemiec i Polski.

„Przyszłe zagospodarowanie tego złoża może znacząco przyczynić się do wzmocnienia bezpieczeństwa energetycznego

© NOBLE CORPORATION, MAREK CZASNOJĆ, MAREK JABŁOŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Polski" – skomentował odkrycie główny geolog kraju wiceminister środowiska prof. Krzysztof Galos. A Radosław Sikorski, nowy wicepremier i szef MSZ, był jeszcze bardziej entuzjastyczny: „Pan Bóg chyba jednak kocha rząd KO-PSL-PL2050-Lewica".

– *To rzeczywiście duże złoże jak na polskie warunki geologiczne, ale niewielkie jak na polskie zapotrzebowania na ropę i gaz* – ocenia Grażyna Piotrowska-Oliwa, była prezes Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa (PGNiG). – *Gaz w zasobach tego złoża, jeśli rzeczywiście potwierdzą się szacunki geologów, to zaledwie jedna czwarta naszego rocznego zapotrzebowania. Ropy także zużywamy w ciągu roku więcej, niż tam odkryto.*

Spragnieni węglowodorów

Polska gospodarka w ciągu roku potrzebuje ok. 27 mln ton ropy i 20 mld m sześc. gazu ziemnego. Większość pochodzi z importu, bo w kraju udaje się na razie wydobywać rocznie ok. 900 tys. ton ropy i 3,5 mld m sześc. gazu. Wydobycie jest jednak opłacalne i przez lata służyło nie tylko poprawie bezpieczeństwa energetycznego, ale także obniżało nieco nasze rachunki za gaz. Prezes URE naciskał zawsze na PGNiG, by z zysków osiąganych z krajowego wydobycia subsydiować gaz z importu.

Największe eksploatowane polskie złoża węglowodorów to Barnówko-Mostno-Buszów (Kopalnia Dębno) w pobliżu Gorzowa Wielkopolskiego oraz Lubiatów-Międzychód-Grotów (Kopalnia Lubiatów) w rejonie Zielonej Góry. „Dominująca część (71,8 proc.) udokumentowanych zasobów wydobywalnych gazu ziemnego w Polsce zlokalizowana jest na Niżu Polskim. Przedgórze Karpackie obejmuje 23,9 proc. tych zasobów. Zasoby polskiej wyłącznej strefy ekonomicznej Morza Bałtyckiego oraz Karpat odgrywają rolę drugorzędną, stanowiąc odpowiednio 3,3 proc. i 1,0 proc. krajowych zasobów wydobywalnych" – informuje Państwowy Instytut Geologiczny.

– *Jeśli informacje prezentowane w doniesieniach medialnych znajdą swoje potwierdzenie w danych geologicznych zebranych w stosownych dokumentacjach, rzeczywiście będzie to największe złoże ropy naftowej w Polsce. Na obecnym etapie wiedzy o poszukiwaniach ropy naftowej na koncesji Wolin nie sposób jednak ocenić potencjału złoża. Szacunków dokonano zapewne na podstawie wyników testów złożowych wykonanych w otworze wiertniczym oraz analiz ogólnej budowy geologicznej obszaru. Bez oceny tych materiałów przez państwową służbę geologiczną doniesienia medialne traktujemy z zainteresowaniem, pewnym entuzjazmem, ale również daleko posuniętą ostrożnością* – mówi prof. Krzysztof Szamałek, dyrektor Państwowego Instytutu Geologicznego-Państwowego, Instytutu Badawczego, szef Państwowej Służby Geologicznej.

Andrzej Schoeneich, wieloletni dyrektor Izby Gospodarczej Gazownictwa, także radzi wstrzymać się z odkorkowywaniem szampana. – *Swój komunikat CEP oparł głównie na danych geofizyki otworowej, czyli nie przeprowadził bezpośrednich technicznych prób na nawierconym złożu. Jak podał operator, otwór wiertniczy został pozostawiony do przyszłego wykorzystania, a platforma przetransportowana do Danii.* Jednak bardziej od informacji o odkrytym złożu zaskoczyło go to, że odkrycia dokonała zagraniczna firma, a nie polska. – *Przecież od dawna wiadomo, że w tym rejonie są złoża ropy i gazu. PGNiG ma kopalnię tuż obok, w Kamieniu Pomorskim. Dwa odwierty są na wyspie Wolin, a dwa na Wyspie Chrząszczewskiej. Nie zdziwiłbym się, gdyby odkryte właśnie złoże Wolin Wschodni było fragmentem tego już eksploatowanego.*

Prof. Szamałek także nie był zaskoczony informacjami o odkryciu złoża Wolin Wschód. – *W naszych publikacjach wskazywaliśmy na możliwy potencjał węglowodorowy utworów czerwonego spągowca basenu pomorskiego.* Na wschodnim Bałtyku w formacji piaskowców kambryjskich już od lat 90. XX w. eksploatowane są przez spółkę Petrobaltic złoża węglowodorów – pięć złóż gazu ▶

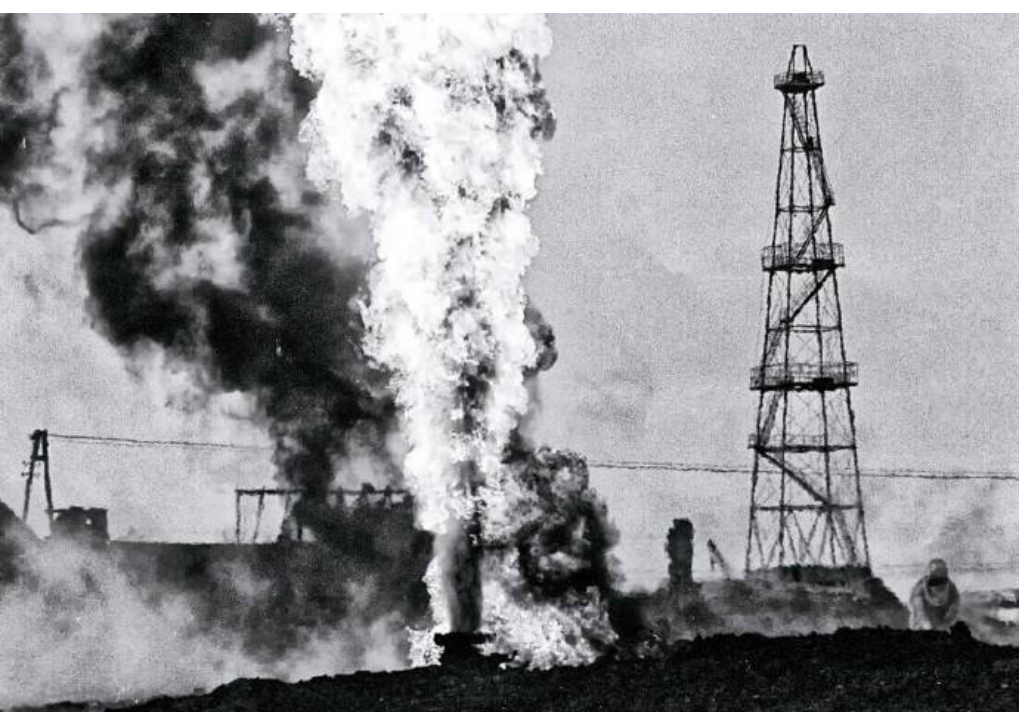

Pożar złoża w Karlinie w grudniu 1980 r. Ugaszono go dopiero w styczniu następnego roku. Obok: **wieża do poszukiwań gazu łupkowego pod Krasnymstawem.**

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ ziemnego i dwa złoża ropy naftowej. Jednak są one związane z inną formacją geologiczną.

Drugi Kuwejt

Grażyna Piotrowska-Oliwa: – *Od razu pomyślałam: oj będzie się działo. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa te emocje związane z Karlinem* – wspomina. Karlino to dla starszych Polaków doświadczenie pokoleniowe. Wszyscy przeżywali moment, kiedy poczuliśmy się szejkami, a Polska drugim Kuwejtem.

W grudniu 1980 r. w pobliżu miasteczka Karlino, w ówczesnym województwie koszalińskim, były prowadzone wiercenia w poszukiwaniu ropy i gazu. Aż nagle gdy na wiertni Daszewo 1 świder dotarł do złoża, nie zadziałał zawór zabezpieczający i nastąpiła eksplozja: trysnęła ropa i gaz pod ogromnym ciśnieniem, a chwilę potem zapłonęła gigantyczna pochodnia. Gdyby to się wydarzyło rok wcześniej, niewiele byśmy się o tej katastrofie dowiedzieli, wszystko zostałoby utajnione. Jednak właśnie trwał karnawał Solidarności, więc do Karlina oprócz zastępów strażaków, ratowników, wojska i rozmaitych służb zjechali dziennikarze. Przyleciał nawet śmigłowcem Lech Wałęsa.

Dzięki temu cała Polska na bieżąco śledziła płonący gejzer i wysiłki ratowników. Pożar i wyciek ropy bezskutecznie próbowano opanować przez miesiąc, a w tym czasie w Polakach wzbierało przekonanie, że jeśli ropa tak tryska, to musi być jej dużo. W końcu Wałęsa obiecał nam drugą Japonię, więc dlaczego nie mielibyśmy mieć też drugiego Kuwejtu?

Polacy angażowali się, przekazując dobre rady, jak pożar ugasić. Ktoś proponował, by do gaszenia użyć mleka, pewna pani zalecała, żeby skorzystać z obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, a Zdzisław Korbecki, popularny warszawski rzemieślnik wynalazca, twierdził, że trzeba wydrążyć tunel i zatamować wyciek pod ziemią. Dopiero w styczniu 1981 r. udało się pożar opanować. – *Głównie dlatego, że wypaliła się niemal cała ropa ze złoża. W sumie ok. 30 tys. ton* – wyjaśnia Andrzej Schoeneich, który pracował z karlińskimi weteranami. Równie szybko w narodzie zgasła karlińska euforia. Wprawdzie media relacjonowały pierwszy transport ropy z Karlina do rafinerii Trzebinia, ale było jej jak na lekarstwo, w sumie 780 ton.

Druga Norwegia

Kolejne takie wzmożenie gazowo-naftowe Polacy przeżywali 15 lat temu, kiedy amerykańska służba geologiczna stwierdzała autorytatywnie, że siedzimy na niezmierzonych złożach węglowodorów niekonwencjonalnych (według niektórych szacunków nawet 5 bln m sześć.), czyli ukrytych w skałach łupkowych (*shale gas*) lub zaciśniętych w załamkach piaskowca (*tight gas*). Amerykanie właśnie opracowali metodę ich pozyskiwania za pomocą technologii szczelinowania hydraulicznego: złoże rozwierca się poziomymi otworami, a następnie wtłacza pod wysokim ciśnieniem płyn z piaskiem, który rozsadza skały, uwalniając gaz i ropę. Dzięki swoim łupkom USA stały się największym producentem ropy i gazu. My mieliśmy powtórzyć ich sukces. Do Polski przybywały ze świata firmy naftowe i zaczęło się wielkie polowanie na gaz i ropę. Poza polskimi państwowymi spółkami jak PGNiG, Orlen, Lotos i prywatnymi jak Petrolinvest, szukały też wielkie amerykańskie koncerny, m.in. ExxonMobil, ConocoPhillips, Marathon Oil, Talisman.

Tym razem mieliśmy się stać drugą Norwegią. Politycy już liczyli niewyobrażalne zyski, jakie osiągniemy, publicyści snuli scenariusze, jak rzucimy naszym gazem Gazprom na kolana. Grażyna Piotrowska-Oliwa była wówczas prezesem PGNiG. – *Premier Tusk naciskał na ministra skarbu, żeby wiercić i szukać gazu. Minister naciskał na mnie. Więc wierciliśmy, szukaliśmy. Bez rezultatu.* Amerykanie byli zdumieni, że technologia, która za oceanem tak się sprawdzała, w Polsce nie działa. Skały były za twarde, złoża leżały za głęboko.

Próby dobrania się do gazu pochłonęły wiele miliardów złotych, choć żadna ze spółek nie podała skali swoich wydatków. W 2017 r. zamknięto ostatni odwiert. – *Nawet jeśli gaz był, to na powierzchnię docierał w tak niewielkiej ilości, że wszystko to nie miało ekonomicznego sensu* – wyjaśnia Piotrowska-Oliwa. Jedynym pożytkiem było to, że PGNiG nauczył się korzystać z technologii szczelinowania, ale nie w łupkach, tylko w pokładach węgla. Metan, czyli gaz ziemny, jest cennym paliwem, ale także przekleństwem śląskich górników. Odmetanowanie kopalń i wyciskanie gazu ze złóż węgla jest dziś szansą na pozyskanie gazu, a jednocześnie na spełnienie surowych unijnych norm zakazujących emisji metanu do atmosfery.

Jednak z marzeniami o drugiej Norwegii musieliśmy się pożegnać. Czy definitywnie?

– *Polska posiada istotny potencjał złożowy. Surowce energetyczne, ropa naftowa i gaz ziemny mogą zostać jeszcze odkryte i udokumentowane na Niżu Polskim, przedkarpaciu i w Karpatach, na monoklinie przedsudeckiej. Czas pokaże, ile z tych przesłanek się potwierdzi* – pociesza prof. Krzysztof Szamałek.

Łowienie wspólników

Zdaniem Andrzeja Schoeneicha sensacyjny charakter komunikatu CEP o odkryciu złoża Wolin Wschód jest elementem biznesowej strategii operatora. – *Przejście od odkrycia i udokumentowania złoża do wydobycia to proces długotrwały i kosztowny. Trzeba szukać wspólników, z którymi będzie można podzielić się wydatkami i ryzykiem.* Zadanie jest trudne także ze względu na położenie złoża blisko granicy niemieckiej. Władze wyspy Uznam już wyraziły zaniepokojenie naftowymi planami, które mogą zagrozić turystycznym walorom tego regionu (piszemy o nich na s. 55). CEP działa także w Niemczech i jest na celowniku niemieckich ekologów. Kanadyjsko-norweskiej spółce potrzebny jest teraz mocny partner z politycznym poparciem, bo w niedawnej przeszłości zagraniczne firmy planujące inwestycje w wydobycie surowców naturalnych (np. miedzi, węgla) w Polsce były zmuszane do porzucania swoich planów. Orlen już wyraził wstępne zainteresowanie nowo odkrytym złożem.

Marzyliśmy, że staniemy się drugim Kuwejtem, nie wyszło. Potem drugą Norwegią, to samo. I aż trudno uwierzyć, że przemysł naftowy narodził się właśnie na ziemiach polskich. Wszystko za sprawą Ignacego Łukasiewicza, który nie tylko skonstruował pierwszą lampę naftową, ale też opracował technologię destylacji ropy naftowej i zbudował pierwszą w historii rafinerię. Pierwszy przemysłowy szyb naftowy powstał w Bóbrce na Podkarpaciu. Okolice Gorlic, Jasła, Krosna i Sanoka, a potem także Drohobycza i Borysławia produkowały ropę, gdy po pustyni dzisiejszego Kuwejtu wędrowały karawany, a w Norwegii łowiono jedynie dorsze. Na początku XX w. galicyjskie zagłębie naftowe było pierwsze w Europie, a drugie w świecie, po amerykańskiej Pensylwanii. Dziś w Bóbrce działa Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazownictwa, ale na jego terenie jest też szyb naftowy Franek z 1860 r., z którego do dziś cieknie ropa. Można w wakacje odwiedzić i obejrzeć.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Nieźle ubezpieczeni

Dotarliśmy do wewnętrznych raportów PZU SA na temat fikcyjnych doradców zatrudnianych w spółce za rządów PiS. Skala nadużyć jest zatrważająca. Czy ktoś to rozliczy?

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA

Tuż przed północą 23 lutego 2024 r. nowa rada nadzorcza PZU SA odwołała pisowską prezes Beatę Kozłowską-Chyłę. I wraz z nią cały jej zarząd. Z Ernestem Bejdą, pisowskim szefem CBA, bliskim współpracownikiem Mariusza Kamińskiego, i Małgorzatą Sadurską, która przeszła do zarządu PZU wprost z kancelarii prezydenta Dudy.

Zaraz po ich odwołaniu tymczasowym członkiem zarządu został prof. Michał Bernaczyk, radca prawny, z katedry prawa konstytucyjnego Uniwersytetu Wrocławskiego. I to on w kwietniu 2024 r. zlecił wewnętrznym służbom PZU sprawdzenie zasadności zatrudnienia doradców w PZU za rządów PiS, o czym w środowisku huczało od dawna. Od tego się zaczęło.

Raporty Biura Bezpieczeństwa PZU na temat doradców stały się podstawą złożenia zawiadomień do prokuratury. Zawierają jeden wspólny wniosek: „Brak jakichkolwiek dowodów na wykonywane działania, zadań czy świadczonej pracy na rzecz PZU SA" oraz że „spółka poniosła jakąkolwiek korzyść z działalności doradców". Jedynym dowodem na wykonanie czegokolwiek mają być oświadczenia doradców, których wzór po zakończeniu kwartału dyrektor zarządzająca ds. HR Anna Wardecka kierowała do asystentki prezeski. Ta odsyłała jej podpisane przez nich skany. Choć i z tym były problemy.

W listopadzie 2021 r. Wardecka pisze do asystentki, czy ma podpisane oświadczenie prof. Alojzego Nowaka, rektora UW, o realizacji założonych celów. Kilka minut później otrzymuje odpowiedź, że nie, bo profesor się w ogóle nie odezwał, nie odpowiedział na esemesa, „ale tak sobie myślę... zaraz Ci odeślę". Za sześć minut odsyła podpisane „przez Nowaka" oświadczenie. Widać gołym okiem, ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ że to nie jest podpis rektora. Z raportu wynika, że na 12 takich podpisów o realizacji celów przez prof. Nowaka 9 wygląda na sfałszowane. Sytuacja powtarza się przy podpisach doradcy Waldemara Parucha.

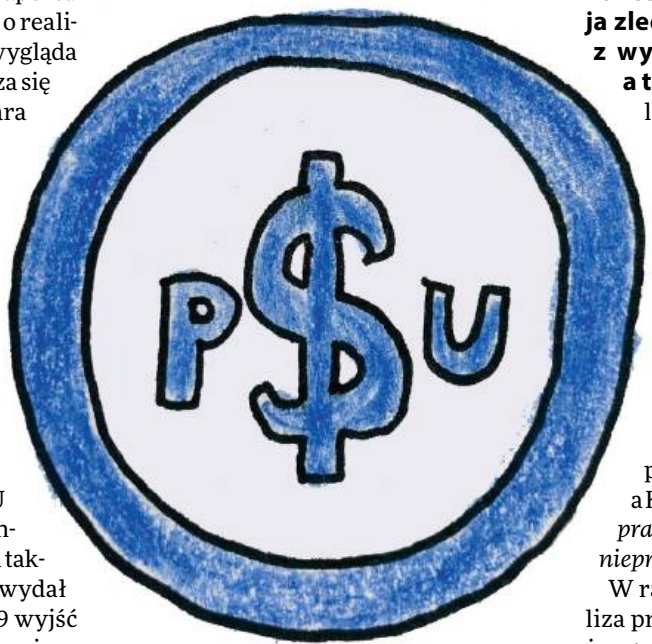

Tylko kilka jaskrawych przykładów na temat doradców:
Alojzy Nowak – od września 2020 r. rektor Uniwersytetu Warszawskiego i od kwietnia tamtego roku doradca prezes PZU Beaty Kozłowskiej-Chyły. Jego miesięczne wynagrodzenie zasadnicze początkowo to 50 tys. zł, a od stycznia 2023 – 71,5 tys. zł brutto. Łącznie zarobił w PZU 4 mln zł, a do tego 25 tys. zł na tankowanie służbowego BMW 540i, a także przez osiem miesięcy pracy wydał 11 tys. zł ze służbowej karty na 19 wyjść do warszawskich restauracji (najwyższy rachunek na 1,8 tys. zł w lutym 2024 r. w Delicji Polskiej). Z opisu faktur trudno wnioskować, czy to były zasadne wydatki: „za spotkanie z kontrahentem związane z działalnością Spółki. Ze względu na poufny charakter spotkania nie podaje nazwy kontrahenta". Do tego miał do dyspozycji tablet i telefon Apple. Okazuje się, że do budynku PZU od stycznia 2023 r. do kwietnia wchodził 12 razy, a przypomnijmy, że był tu zatrudniony na umowę o pracę za ponad 70 tys. zł miesięcznie.
Waldemar Paruch – związany z PiS doradca szefa MEN Przemysława Czarnka, był zatrudniony jako doradca prezesa zarządu PZU od grudnia 2019 r. aż do swojej śmierci w maju 2022 r. Przez dwa i pół roku zarobił tu łącznie 1 mln 118 tys. brutto. Ze służbowej poczty nigdy nie wysłał żadnej wiadomości, a odebrał na nią 57 maili, z czego – jak wskazano w raporcie – tylko trzy merytoryczne, reszta to komunikaty automatyczne. W czasie pracy dla PZU ciężko chorował, wiele razy przebywał w szpitalu, ale ani razu nie był na zwolnieniu lekarskim, nie korzystał z urlopów.
Jerzy Milewski – były radny Gdańska z PiS i doradca prezydenta Dudy, w PZU od września 2016 do sierpnia 2023 r. Przez siedem lat zarobił w spółce 5 mln 323 tys. zł. Do dyspozycji miał samochód służbowy i na koszt spółki zatankował za 175 tys. zł, czyli ponad 2 tys. zł miesięcznie. Bardzo nietypowo korzystał też z urlopów – od 2016 do 2023 r. nie brał ani jednego dnia, ale w 2023 r. już 187 dni i wtedy też tankował ze służbowej karty (średnio 2,5 tys. zł miesięcznie), choć regulaminy spółki tego zakazują. W PZU od 2016 do stycznia 2024 r. był też zatrudniony jego syn. Zrobiło się o nim głośno w 2020 r., kiedy związana z nim spółka Blirt osiągnęła rekordowe zyski dzięki rządowym – bez przetargu – zamówieniom na testy na covid za 3,5 mln zł.
Andrzej Kidyba – doradca prezes PZU od 15 listopada 2023 r., a więc już po przegranych przez PiS wyborach. Mail z tego dnia z biura HR do działu IT: „Zatrudniliśmy od dziś nowego wyjątkowego w WKK (wyższa kadra kierownicza – przyp. red.). Prośba o dopisanie go do listy wyjątków, tj. nie tworzyć dla niego adresu mailowego, niech pan Andrzej będzie naszym cichym wyjątkiem". Był zatrudniony do 30 kwietnia 2024 r. Zarobił w tym czasie 454 tys. zł. Nie było go w systemie, z numeru służbowego nie zadzwonił ani razu, a z prezeską widział się w siedzibie spółki przez cały ten czas pięć razy. Jak już pisaliśmy w POLITYCE ponad rok temu, prof. Kidyba nie chciał przyjąć wypowiedzenia. – *Powoływał się na swoje wpływy, znajomości z jakimiś osobami u władzy, próbował zastraszać* – opowiada pracownik PZU. Rok temu studenci zarzucili Kidybie wypowiedzi o charakterze „urągającym godności ludzkiej, seksistowskim i dyskryminującym". Sprawą zajmuje się rzecznik dyscypliny uniwersytetu.

Kancelarii prawnej prof. Marka Chmaja zlecono przyjrzenie się umowom z wymienionymi już doradcami, a także z Witoldem Ziobrą. Kancelaria poprosiła PZU o ślady ich pracy: maile, opinie, ekspertyzy, analizy, protokoły z posiedzeń z ich udziałem, nagrania ze spotkań czy posiedzeń, a nawet choćby wskazanie kogokolwiek, kto potwierdziłby ich pracę. Okazało się, że nic takiego w PZU nie znaleziono. Audytorzy zwracają uwagę, że w tym samym czasie, mając etat w PZU, Alojzy Nowak piastował 11 innych stanowisk, poza tym, że był rektorem UW, a Kidyba – 6. – *Możliwość świadczenia pracy w pełnym wymiarze jest skrajnie nieprawdopodobna* – mówi prof. Chmaj.
W raporcie znalazła się obszerna analiza prawna. Po pierwsze, stwierdzono, że zgodnie z Kodeksem cywilnym, jeżeli obie strony miały świadomość, że umowa jest pozorna, a tak wynika z jej konstrukcji, bo PZU płaci i niczego konkretnego nie wymaga w zamian – i mimo to ją podpisano – to w świetle prawa taka umowa jest nieważna. I można ją cofnąć. I domagać się zwrotu uzyskanych w jej wyniku pieniędzy. Z zastrzeżeniem, że spółka ma na to tylko rok od wykrycia takich umów, bo potem sprawa się przedawnia. Zaznaczono też, że zawsze przy dochodzeniu roszczeń najpierw zarząd powinien wysłać wezwania do zapłaty, co przerywa bieg przedawnienia i zaczyna się naliczanie odsetek.
To nie wszystko, bo wskazano, że należy ustalić, czy dział kadr wiedział, że to umowa pozorna. Bo jeśli nie wiedział, to dochodzi wprowadzenie w błąd przez „pracowników" i doszedłby zarzut oszustwa na mieniu znacznej wartości, co zagrożone jest już odpowiedzialnością karną od roku do 10 lat więzienia.
Tyle zatrudniani. A zatrudniający? Na nich są inne przepisy prawne. Bo skoro poprzez takie fikcyjne umowy, które zawierali, doszło do uszczuplenia majątku spółki, daje to możliwość odmowy udzielenia absolutorium. Co też się stało. A to z kolei otwiera drzwi, by domagać się od prezesa i zarządu odszkodowania, co wynika z Kodeksu spółek handlowych. – *W czerwcu 2024 r. wysłaliśmy gotowy raport do PZU z wnioskami o zawiadomienie prokuratury* – mówi prof. Marek Chmaj.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

I to nie był jedyny raport zamówiony w kancelarii zewnętrznej. Jesienią 2024 r. wybrany w konkursie prezes PZU Artur Olech podawał, że „w sumie przeprowadzono aż 28 audytów w 18 obszarach".

W Biurze Bezpieczeństwa Centrali PZU powołano Zespół Analiz Nieprawidłowości, który miał się zajmować analizą działań władz PZU w latach 2016–24 w dziedzinie polityki kadrowej, sponsoringu, marketingu w spółkach PZU, ale też w podmiotach zależnych, np. w fundacji PZU.

Podsumowaniem tych wszystkich działań był komunikat PZU z 10 października 2024 r. zatytułowany „Audyt otwarcia 2016–2024 – szkody na kwotę ponad 700 mln zł". Wśród nich m.in. wypłata odszkodowania dla Rydzyka, wspieranie celów wyborczych PiS czy „czarna lista mediów", z którymi nie podejmowano współpracy reklamowej. Ogłoszono wtedy, że do prokuratury trafiły już pierwsze zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, kilkanaście kolejnych jest w przygotowaniu.

Najszybciej zabrano się do rozliczania fikcyjnych umów z „doradcami". Pierwsze zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa PZU złożyło na początku sierpnia 2024 r. Dotyczyły Alojzego Nowaka (szkoda na 4,5 mln zł) i Andrzeja Kidyby (500 tys. zł). Do prowadzenia śledztwa została wyznaczona Prokuratura Okręgowa na Pradze.

W październiku 2024 r. PZU wysłało do prokuratury kolejne zawiadomienia dotyczące fikcyjnych umów. Na Małgorzatę Raczyńską-Weinsberg, związaną z PiS (szkoda na 1,5 mln zł) – była kolejnym tzw. cichym pracownikiem, jej danych nie wprowadzono do systemu IT. Poszło też zawiadomienie na byłą prezes Kozłowską-Chyłę (szkody na prawie 7 mln zł) odnośnie do zawierania fikcyjnych umów.

Zaraz potem poszła kolejna partia zawiadomień. Na Macieja Zdziarskiego (strata ponad milion złotych) – były dziennikarz, za PiS pracował w spółkach Skarbu Państwa, jak podała właśnie „Gazeta Wyborcza", pracował z Andrzejem Dudą nad jego autobiograficzną książką, która ma się ukazać w sierpniu. Na Witolda Ziobrę, brata Zbigniewa (ponad 500 tys. zł za trzy miesiące w PZU Życie, potem przeniósł się do Pekao SA i zarobił 4 mln zł). Na Marcina Chludzińskiego – złote dziecko PiS, w samym tylko PZU zarobił ponad 350 tys. I już mniejsze, nieprzekraczające 100 tys. zł – w tym na Mariusza Chłopika, doradcę premiera Morawieckiego, na Kasjana Wyligałę, uczestnika głośnych zaręczyn asystenta Kaczyńskiego pod ziemią w kopalni Bogdanka, gdy był jej wiceprezesem. W sumie PZU wskazało 11 osób jako fikcyjnie zatrudnionych doradców.

Na początku tego roku Zespół Analiz Nieprawidłowości opracował kolejny raport, tym razem dotyczący udziału samego biura kadr w procesie zawierania tychże umów z doradcami, a szczególnie roli Anny Wardeckiej – to osoba, która za PiS zrobiła w PZU zawrotną karierę ze stanowiska p.o. kierownika małego zespołu ds. benefitów w biurze zarządzania kadrami na najwyższą funkcję dyrektora zarządzającego ds. HR w Grupie PZU, którą zresztą pełni do dziś.

Z analiz wynikało, że nadużyła uprawnień i nie dopełniła obowiązków, i także swoim działaniem naraziła PZU na szkodę. Bo według raportujących miała świadomość fikcyjności zatrudnienia. Sama twierdzi, że gdy prosiła Kozłowską-Chyłę o polecenia na piśmie, to słyszała, że ich niewykonanie może się skończyć zwolnieniem, i to dyscyplinarnym. Według Zespołu Analiz powinna też odpowiadać za udział w zawieraniu fikcyjnych umów.

***

Tymczasem w samym PZU Zespół Analiz Nieprawidłowości został już rozparcelowany, a i śledztwo w sprawie fikcyjnych umów dla „doradców", mimo dostarczonych przez PZU mocnych dowodów, wlecze się, przełomu nie widać.

Jak informuje POLITYKĘ rzeczniczka prokuratury: „w chwili obecnej śledztwo prowadzone jest w fazie in rem, nikomu nie przedstawiono zarzutów, wykonywane są liczne czynności procesowe". Śledztwo miało zostać zakończone do 16 lipca, ale zostało przedłużone.

W niedawnym wywiadzie dla POLITYKI obecny prezes PZU SA Andrzej Klesyk na uwagę red. Joanny Solskiej, że PZU wyżywiło wielu polityków Solidarnej Polski oraz PiS, odparł: „Jeśli winni przekrętów nie zostaną ukarani, mogą wrócić i naprawdę pokażą, co potrafią. Brak kary zachęca". No właśnie.

ANNA DĄBROWSKA
VIOLETTA KRASNOWSKA

REKLAMA

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 01.08 - 28.09 oraz 28.09 - 26.10.2025 r.

tel. 54 416 70 00 www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Nawet słowa giną w Gazie

Pomoc humanitarna, szpital, dziecko – wojna w Strefie Gazy odwróciła znaczenie tych słów, żeby nie można było odróżnić dobrego od złego, kata od ofiary.

PATRYCJA SASNAL

„Prezydent Trump miał genialną wizję. To się nazywa wolny wybór" – mówił Beniamin Netanjahu podczas kolacji w Białym Domu. Kilka minut wcześniej premier Izraela ogłosił, że nominował prezydenta USA do Pokojowej Nagrody Nobla za jego geniusz rozjemczy – ta lipcowa wizyta miała przynieść zawieszenie broni w Gazie. „Jeszcze raz: wolny wybór! Palestyńczycy powinni go mieć. Mam nadzieję, że im to zapewnimy". Jak? Poprzez budowę „miasta humanitarnego" na południu Strefy Gazy dla 600 tys. ludzi, a docelowo dla wszystkich 2 mln mieszkańców. Tam dostaną jedzenie i stamtąd, po deradykalizacji, będą mogli wyjechać do innego kraju.

Wszystko brzmi dobrze: przydałoby się zawieszenie broni, ludzie powinni mieć prawo wyboru, a wyniszczeni wojną Palestyńczycy – pomoc humanitarną. Ale tak naprawdę nic tu nie jest tym, czym się wydaje. Po 21 miesiącach wojny Izraela w Gazie podstawowe słowa oznaczają coś odwrotnego, niż konotują nasze głowy.

Mieszkańcy Gazy nie mają wyboru. Zamknięci w enklawie od 18 lat, 90 proc. z nich musiało opuścić domy, często wielokrotnie, zgodnie z izraelskim rozkazem. 85 proc. terytorium to strefa zamknięta, bez wstępu. Jeszcze więcej budynków mieszkalnych zostało zniszczonych. Większość populacji głoduje, 58 tys. ludzi zostało zabitych, 140 tys. rannych. Cena za kilogram mąki nie schodzi poniżej 100 zł.

„Nie będzie prądu, jedzenia, paliwa, wszystko zamkniemy. Walczymy z ludzkimi zwierzętami, więc musimy działać stosownie" – mówił były minister obrony Joav Gallant, dziś wraz z Netanjahu poszukiwany listem gończym Międzynarodowego Trybunału Karnego. Wojna Izraela w Gazie zniszczyła tkankę

© MAHMOUD ISSA/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

polityczną, społeczną, fizyczną, a za chwilę zniszczy ludzką. Zmasakrowała też język.

Humanitarny

Planowane przez Izrael „miasto humanitarne" oznacza wybudowanie zamkniętego obozu dla całej ludności Gazy na gruzach w 80 proc. zrównanego z ziemią miasta Rafah (kiedyś 200 tys. mieszkańców) przy granicy z Egiptem. Nie będzie można z niego wyjść inaczej jak tylko poprzez emigrację do innego państwa, którą Izrael ułatwi. Dwóch byłych premierów Izraela, Ehud Olmert i Jair Lapid, uważa, że pod nazwą „miasto humanitarne" kryje się de facto obóz koncentracyjny.

Na powierzchni ułamka Strefy Gazy (obszar mniejszy niż Mokotów) rząd Izraela chce skomasować 2,1 mln ludzi, żeby ich potem „dobrowolnie" wysiedlić za granicę, a na pozostałym obszarze wdrożyć plan rewitalizacji Strefy. Takie działanie stanowiłoby zbrodnię wojenną i przeciw ludzkości. Ale odkąd Trump pół roku temu oznajmił, że Palestyńczycy muszą opuścić Gazę, żeby można ją było zacząć „czyścić" pod Riwierę Bliskiego Wschodu, pomysł ten oba państwa sukcesywnie wdrażają.

Dwumilionowa tkanka ludzka nadal się opiera. Ciągle nie udało się zmusić Palestyńczyków z północy, żeby przenieśli się bliżej granicy z Egiptem. Ten problem miał rozwiązać całkowity zakaz wjazdu dla ciężarówek z pomocą humanitarną – trwał dwa miesiące i spowodował skrajne niedożywienie dzieci oraz powołanie tzw. Gazańskiej Fundacji Humanitarnej. Ta prywatna firma amerykańsko-izraelska, która dostała monopol na dostarczanie żywności Palestyńczykom, otworzyła na południu cztery punkty wydawania jedzenia, do których wabi głodujących ludzi. Od ich otwarcia przy próbie zdobycia żywności zginęło już prawie 900 osób.

Zasada jest taka: można podejść pod bramę tylko wtedy, gdy jest otwarta, ale nie ma ustalonych godzin otwarcia. Otwiera się nieregularnie, znienacka, w środku nocy, na 20 minut. Przed bramą jest izraelska strefa wojskowa. Jeśli podejdziesz za wcześnie – strzelają, jeśli podejdziesz za szybko – strzelają. Lekarze Bez Granic nazywają to przedsięwzięcie „rzezią w przebraniu pomocy humanitarnej". Tłum szturmuje, głodni ludzie zbierają makaron i ryż z ziemi, wyrywają sobie jedzenie, grożą nożami.

Tymczasem 6 tys. ciężarówek z jedzeniem i lekami oraz tysiąc pracowników medycznych agencji ONZ UNRWA czeka na wjazd do Gazy. Od marca mają zakaz, bo Izrael twierdzi, że Hamas rozkrada tę pomoc. Tylko że reporter amerykańskiej stacji NPR Anas Baba, który sam stracił 30 proc. wagi, widział ludzi z Hamasu właśnie przy wydawaniu pomocy przez tzw. Fundację Humanitarną. Wcześniej, gdy dystrybucją zajmowały się UNRWA, Oxfam, World Central Kitchen, aprowizację można było odebrać z ponad czterystu, a nie czterech, punktów na całym obszarze strefy. Gdy przyszła kolej danej rodziny, dostawała esemesa, żeby się stawić w punkcie pomocy, i tak każdy mógł coś dostać bez tratowania się nawzajem i ataków gangów.

Słownikowo „humanitarny" znaczy „mający na celu dobro człowieka, poszanowanie jego praw i godności".

Szpital

Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) 94 proc. szpitali w Gazie zostało zburzonych lub uszkodzonych. Od początku wojny Izrael zaatakował personel medyczny i kliniki prawie 2 tys. razy, zabił ponad tysiąc pracowników medycznych, więcej niż 300 jest w izraelskich więzieniach.

Konwencje genewskie chronią personel medyczny i szpitale podczas wojny, również gdy leczą się w nich ranni przeciwnicy wojenni. Tylko jeśli użycie szpitala do celów wrogich zostało udowodnione, budynek może stracić ochronę, i to jedynie po uprzednim poinformowaniu personelu i pozostawieniu czasu na ewakuację. A gdy się nie ewakuują, strona atakująca musi podjąć wszelkie kroki, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo dla pacjentów i personelu oraz stosować zasadę proporcjonalności – krzywda cywilów nie może być nieproporcjonalna w stosunku do zysku wojskowego.

Dlatego gdy Iran uderzył w izraelski szpital miesiąc temu, minister obrony Izrael Katz nazwał przywódcę Iranu „współczesnym Hitlerem", a atak „zbrodnią wojenną najpoważniejszego rodzaju". Irańczycy twierdzili, że celowali w instalacje wojskowe obok.

Dr Feroze Sidhwa, amerykański chirurg traumatolog, wolontariusz w Gazie i w Ukrainie, twierdzi, że ataki na szpitale w Gazie są cechą izraelskiej wojny. I opisuje przypadek Ibrahima, rannego 16-latka. Operował mu drogi wydalnicze i wydawało się, że uratował chłopcu życie. Miał następnego dnia wyjść ze szpitala, kiedy izraelska rakieta wpadła do pokoju Ibrahima i zabiła go na miejscu. ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Izrael twierdzi, że Hamas używa szpitali do celów wrogich, choć ani Feroze, ani żaden zagraniczny lekarz wolontariusz nigdy nie widzieli takiego przypadku. Znane są natomiast inne. 23 marca izraelskie wojsko zabiło 15 paramedyków w Rafah. Jechali pomóc kolegom ostrzelanym wcześniej tego dnia przez izraelską armię. Wiemy o zdarzeniu, bo ludzie z ONZ odkopali płytki masowy grób. Ciała leżały jedno na drugim, niektórzy mieli związane ręce, paramedycy zostali zabici strzałem w górną część ciała, pojedynczo.

Izraelczycy twierdzili, że jechali bez świateł w nieoznakowanych autach. Znaleziony przy zwłokach telefon udowadnia coś innego – każde auto było oznakowane, jechali powoli, ze światłami alarmowymi. Ciała ofiar były ciągle w mundurach Czerwonego Półksiężyca. Wojsko mówiło, że z powodu słabej widoczności dowódca zdecydował, by otworzyć ogień, bo Hamas chowa się w karetkach. To po prostu wynik nieporozumienia.

Trudno nieporozumieniem nazwać to, co opisują lekarze wolontariusze, którzy ciągle pracują w Gazie. Leczą dwa rodzaje ran: od strzałów snajperskich w konkretne miejsce na ciele albo z broni maszynowej na ślepo w tłum. Snajperzy u młodych chłopców najczęściej celują w genitalia. Perfidia tych ataków koreluje z planem zaburzenia reprodukcji populacji palestyńskiej, jak twierdzi raport ONZ z marca br. 50-stronicowy tekst o izraelskiej „przemocy reprodukcyjnej" wobec kobiet i chłopców zarówno w Gazie, jak i na Zachodnim Brzegu jest zatytułowany „Więcej niż człowiek może znieść".

Są tam świadectwa przemocy seksualnej służb bezpieczeństwa i osadników wobec kobiet i mężczyzn, w tym gwałtów. Rozkazy publicznego rozebrania się, często przy znajomych, filmiki żołnierzy z bielizną poniżanych kobiet.

Dziecko

Według ONZ wśród wszystkich potwierdzonych ofiar w ciągu sześciu miesięcy do kwietnia 2024 r. 44 proc. to były dzieci i nieletni. Rzecznik UNICEF nazwał ten konflikt „wojną z dziećmi" – zabrała już 17 tys. z nich. W tym sześcioro malutkich w połowie lipca, które z pustymi baniakami stały w kolejce po wodę w środkowej Gazie. Zabił je błąd techniczny. Wojsko celowało w terrorystę z Islamskiego Dżihadu, ale „rakieta spadła kilkadziesiąt metrów dalej. Incydent jest sprawdzany".

Inna historia z piątku 23 maja. Piątki na plaży w Tel Awiwie są szczególnie imprezowe – wolna sobota pozwala na długą zabawę. Muzyka rave, drinki, kostiumy kąpielowe, dzieci puszczają latawce. Zaledwie kilkadziesiąt kilometrów na południe w Chan Junis piątek to też święto, ale w innym świecie.

Dr Hamdi Al-Nadżdżar wrócił do domu i do swoich 10 dzieci. Właśnie odwiózł żonę, też lekarkę, do pracy w szpitalu Nasser. W mieszkanie uderzyła izraelska rakieta. Na miejscu zginęło 9 dzieci, najstarsze miało 12 lat, najmłodsze 6 miesięcy. Ojciec i syn Adam zostali przywiezieni na oddział do matki. Dr Hamdi umarł następnego dnia. Znamy tę historię dobrze, bo personel medyczny to ludzie w społeczeństwie gazańskim uprzywilejowani, pracują z zagranicznymi lekarzami. Oni opowiadają o tragedii zachodnim mediom. Ilu historii nie znamy?

Zeznanie Dr Feroze Sidhwy przed Radą Bezpieczeństwa ONZ w maju br. było wstrząsające. Mówił, że w Chan Junis leczył sześciolatki z odłamkami w sercu i kulami w głowie, ciężarne kobiety z rozerwanymi miednicami i płodami. Rodzice zapamiętują, w co ubierają swoje dzieci, gdyby musieli później identyfikować ich ciała. „Zastanawiam się – mówił Sidhwa w ONZ – czy którykolwiek członek tej Rady zna jakiegoś pięciolatka, który już nie chce żyć? Czy możecie sobie wyobrazić całe społeczeństwo, którego dzieci tak myślą o życiu?".

Według badań Uniwersytetu Hebrajskiego 64 proc. Izraelczyków uważa, że nie ma niewinnych cywilów w Gazie. A polityk Likudu Mosze Feiglin jest zdania, że „każde dziecko, każde niemowlę w Gazie to wróg".

Terrorysta

Izrael podporządkował sobie Bliski Wschód. Realnych wrogów już nie ma. Hamas został zdziesiątkowany, całe jego kierownictwo odpowiedzialne za atak z 7 października 2023 r. wyeliminowane.

Przed wojną Izrael stosował taktykę ściętej trawy. Co kilka lat wchodził do Gazy, ludzi Hamasu zabijał wybiórczo, niszczył trochę broni – ścinał tylko na tyle, żeby organizacja mogła nadal działać. Jej ciągłość zapewniała, że Palestyńczycy pozostawali politycznie podzieleni i skłóceni – ci z Gazy z tymi z Zachodniego Brzegu. Taki podział był pretekstem, aby z Palestyńczykami w ogóle nie rozmawiać.

Dziś, po wybiciu przywódców Hamasu, Hezbollahu w Libanie i skompromitowaniu Iranu, Izrael ma władzę hegemoniczną i może stosować taktykę ścinania trawy w całym regionie. W Gazie znalazł już nowego sojusznika – wspiera gangi rozkradające pomoc i terroryzujące ludzi. Rozdaje kałasznikowy klanowi przemytniczemu Jasera Abu Szababa, który ma związki z tzw. Państwem Islamskim. Gangi i kradzieże sprawiają wrażenie, że dla Palestyńczyków bezprawie to stan naturalny. Tym bardziej ktoś wreszcie musi zaprowadzić porządek.

Kto zatem jest dziś „terrorystą", czyli zwolennikiem terroru?

Jesienią 2024 r. dr Husam Abu Safija, pediatra, dyrektor szpitala w północnej Gazie, odmówił ewakuacji pacjentów. Zapewniał, że w budynku nie ma żadnych terrorystów. Izraelska armia na dziedzińcu szpitala zabiła mu syna. Aresztowała 57 medyków, siłą wyprowadziła ludzi z budynku, zrobiła zdjęcia znalezionych dwóch pistoletów i noża, po czym zrównała miejsce z ziemią. Abu Safija nie opuścił szpitala do końca, żeby być blisko grobu syna. Widziano go, jak idzie po gruzach do izraelskiego czołgu. Dziś siedzi w izraelskim więzieniu. Terrorystów nie znaleziono.

Według Komisji Śledczej ONZ 90 proc. szkół oraz 53 proc. meczetów i innych miejsc kultu zostało w Gazie zniszczonych. Dwa tygodnie temu Izrael zaatakował kościół katolicki, zabił trzy osoby i ranił księdza Gabriela Romanellego, z którym papież Franciszek rozmawiał co wieczór. Wojsko standardowo oświadczyło, że sprawdza incydent i „dokłada starań, żeby zminimalizować szkody cywilne". Izraelskie media Komisję Śledczą ONZ nazywają „antysemicką komisją hańby".

Podstawa prawa humanitarnego to rozróżnienie celów militarnych od cywilnych. Izraelska armia ma z tym kłopot. Polega na systemach sztucznej inteligencji do inwigilacji i szukania wrogów – na żywo widzi mapę wszystkich telefonów komórkowych. Izraelskie systemy AI uczą się na modelach, gdzie terrorystą może być np. członek palestyńskiej organizacji praw człowieka El-Haq na Zachodnim Brzegu albo ktoś, kto ma podejrzaną osobę w kontaktach w telefonie. Na tej podstawie wojsko tworzy listę celów – późniejszych ofiar.

Szef Palantir, amerykańskiej firmy AI, która dostarcza Izraelowi takie zdolności, zapytany, czy jego firma pomaga

© ALI JADALLAH/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

zabijać Palestyńczyków w Gazie, odpowiedział: „Głównie terrorystów”.

Wojna i zawieszenie broni

Używamy przestarzałego słownictwa. Wojen się już nie wypowiada, nie kończy ani nie poddaje pod obrady ONZ. Zmieniły się sposoby ich prowadzenia. Można, jak Izrael, wysadzić w powietrze tysiące pejdżerów, trzymanych w rękach ludzi podejrzanych o koneksje z Hezbollahem w Libanie. Wojna to też gigantyczne przedsięwzięcie biznesowe – izraelska giełda od początku wojny urosła o 213 proc. A nawet jakby gra wideo: żołnierze izraelscy z oddali dżojstikiem zrzucają na Gazańczyków granaty z dronów.

Izrael prowadzi długą, wielofrontową wojnę. Z Palestyńczykami w Gazie i na Zachodnim Brzegu, z Libanem, Syrią i Iranem. Itamar Rabinovich, były ambasador Izraela w USA i negocjator z Syrią w latach 90., wierzy w pluralizm izraelskiej opinii. – *Prawica, która dominuje w rządzie, chce status quo. Skrajna prawica chce aneksji. Centrum i lewica chcą wojnę skończyć i wznowić negocjacje z Autonomią Palestyńską.* Tyle że centrum i lewica są nieme i słabe.

Dla społeczeństwa w traumie, codziennie na nowo karmionego w telewizji tragedią 7 października, odcienie kolorów prawicy przestają mieć znaczenie. Prze ona do całkowitej aneksji terytoriów palestyńskich i wyrzucenia Arabów do Egiptu i Jordanii. Kto wie, co Syria obiecała Trumpowi za zniesienie sankcji, może też kogoś weźmie.

Pomysł Bazalela Smotricza, skrajnie prawicowego ministra finansów, o nazwie „Decydujący plan” wyznacza kierunek. W Judei i Samarii (tak biblijnie prawica nazywa Zachodni Brzeg) zapanuje Państwo Żydowskie, a Arabowie będą mieć do wyboru: wyjechać albo zgodzić się na status obywateli drugiej kategorii. Obok 2,7 mln Palestyńczyków mieszka już tam 700 tys. nielegalnych osadników, którzy po 7 października cieszą się całkowitą bezkarnością – dowolnie atakują Palestyńczyków przy aprobacie wojska. Przez ostatnie 21 miesięcy na Zachodnim Brzegu zginęło prawie tysiąc osób, a rząd zdecydował o budowie 22 nowych nielegalnych osiedli.

W Stefie Gazy destrukcja wszelkich tkanek jest tak głęboka, a dominacja Izraela tak bezwzględna, że tradycyjne zawieszenie broni miałoby znaczenie z jednego tylko powodu: chodzi o życie 20 izraelskich zakładników ciągle w rękach Hamasu – mogliby zostać uwolnieni. Ale Netanjahu musi przeciągać konflikt, aby wygrać kolejne wybory i uniknąć odpowiedzialności w toczących się przeciw niemu procesach. Z zawieszeniem broni czy bez Izrael może uderzyć gdzie i jak chce, bez konsekwencji.

***

Z dwóch powodów nie wliczam *ludobójstwa* do słów, które wojna w Gazie zniekształciła. Po pierwsze, nie przynależy do naszego codziennego słownika, a do specjalistycznej terminologii prawnej. Po drugie, wydaje się, że akurat to słowo wojna w Gazie upowszechniła i może nawet pozwala wyklarować, bo według konwencji z 1948 r. autorstwa naszego rodaka Rafała Lemkina ludobójstwem są czyny dokonane „w zamiarze zniszczenia w całości lub części grupy narodowej, etnicznej, rasowej lub religijnej”.

W ludobójstwie trzeba udowodnić dwa punkty: intencję i zgodne z nią działanie. Intencję potwierdzają liczne wypowiedzi decydentów izraelskich, którzy chcą zrównać Gazę z ziemią. Wspomniany Smotricz uważa, że zagłodzenie 2 mln ludzi może być „usprawiedliwione i moralne”. Trzeba też udowodnić działanie, które ma na celu uniemożliwienie danej grupie odrodzenie się jako polityczna, społeczna lub kulturowa wspólnota. Do takich

działań należy głodzenie, niszczenie klinik zdrowia reprodukcyjnego, atakowanie kobiet, młodych mężczyzn, dzieci, szkół, miejsc kultu, parków, pól uprawnych, budynków mieszkalnych, przymusowe przesiedlenia. Wszystko to w Gazie miało i ma miejsce.

W środowisku specjalistów prawa międzynarodowego, ekspertów ONZ panuje coraz szerszy konsens co do znamion ludobójstwa w Gazie. Omer Bartov, izraelsko-amerykański badacz ludobójstwa, uważa, że odmawianie kwalifikacji ludobójstwa w Gazie stanowi zagrożenie dla Izraela, pamięci o Holokauście, prawa międzynarodowego i „fundamentów moralnego porządku, od którego wszyscy zależymy”. Ostateczna kwalifikacja zbrodni leży w rękach Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości.

Pomieszanie

Poza rozczarowaniem, złością i żalem informacje z Gazy wywołują jeszcze coś innego. Rodzaj zawrotu głowy. Jak w filmie braci Coen „Barton Fink” z 1991 r. nie wiemy, czy to my wariujemy, czy świat wokoło. Po części winny temu jest dysonans poznawczy i zaburzenie znaczenia podstawowych słów. Pomieszanie pojęć odbiera zdolność racjonalnego myślenia.

Christopher Clark, brytyjski historyk, napisał ostatnio dla magazynu „Foreign Policy” artykuł pt. „Koniec nowoczesności”. Stawia w nim tezę, że wracamy do płynnego, nieprzewidywalnego świata jak w XIX w. Stajemy przed dylematem: demokracja lub przemoc. Celem Rosji jego zdaniem jest całkowite rozmontowanie porządku ustanowionego po drugiej wojnie światowej. Clark cytuje doradcę Władimira Putina, który powiedział wprost: chcemy zgnieść „moralny kręgosłup Europy”.

Nie tylko wojna w Ukrainie rozmontowuje porządek powojenny i gnie kręgosłupy – wojna w Gazie robi to samo, i to po wielekroć. Nie zajmując stanowiska, bezsilni w autocenzurze i żalu, sami godzimy się na pogrzeb prawa międzynarodowego, prawa humanitarnego i praw człowieka. Rosja zaciera ręce.

Palestyńczycy są osamotnieni. Nikt za nimi nie stoi, żaden rząd, nawet arabski. Pojedyncze osoby znajdują odwagę, żeby opisywać ich dramat i pomagać. Urzędników ONZ i instytucji międzynarodowych obejmują sankcje USA i Izraela. A w Gazie nie ma już nawet białych całunów, żeby zakryć ciała zabitych. Wkładają je do parcianych toreb po mące.

Irena Prusiecka, zmarła kilka lat temu uczestniczka powstania warszawskiego, opowiadała mi, jak znalazła martwą siostrę w gruzach na Powiślu. Włożyła ją do dużej torby po kawie Julius Meinl, tylko tyle mogła zrobić. Tak chciałoby się uniknąć tych analogii, ale nie można.

PATRYCJA SASNAL

Autorka jest profesorką Kolegium Europy w Natolinie, analityczką Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i ekspertką w Komitecie Doradczym Rady Praw Człowieka ONZ.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Pogrzeb Romana Starowojta, Petersburg, 11 lipca

Wieniec od Putina

Tajemnicza śmierć rosyjskiego ministra transportu wywołała panikę na kremlowskim dworze. Czy teraz Władimir Putin będzie już karał za korupcję?

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

Urzędnicy zebrani w sali pożegnań Centralnego Szpitala Klinicznego w Moskwie zerkali do otwartej trumny. Starali się dostrzec na twarzy denata sińce, ślady przemocy. To potwierdziłoby niepokojące plotki, że minister transportu Roman Starowojt wcale nie popełnił samobójstwa. Dla nieboszczyka nie miało to szczególnego znaczenia, ale dla zebranych owszem. Jeśli rzeczywiście Starowojt wypalił sobie w głowę z pistoletu, to po prostu zdarzyła się tragedia. Ale jeśli na przykład został zlikwidowany na rozkaz góry, to nikt z członków elity nie jest już bezpieczny.

Centralny Szpital Kliniczny to miejsce legendarne. Tu leczone są najważniejsze osoby kraju. Nawet Władimir Putin, który – co wiedzą wszyscy zebrani – jest krzepkiego zdrowia, ale gdyby nagle zachorował, też trafiłby tutaj. W klinice czeka na niego osobny oddział, po inwazji na Ukrainę rozbudowany o bunkier dla VIP-ów. Sala pożegnań też należy do historii. Była ostatnim przystankiem dla wielu dygnitarzy od czasów radzieckich. Uroczysty wystrój, pomalowane na złoto aluminiowe ramy przywodzą na myśl późny Związek Radziecki. Teraz zebrało się w niej trzech wicepremierów, dziewięciu ministrów, a nawet zastępca szefa administracji prezydenta. Czuć było napięcie.

Budowniczy

A nieboszczyk? Prawdę mówiąc, Roman Władimirowicz Starowojt nie pchał się do państwowych godności. Skończył Bałtycki Uniwersytet Techniczny w Petersburgu. Po studiach pracował m.in. w dużej firmie budowlanej. Stamtąd przeszedł do merostwa Petersburga. Był zastępcą Maksyma Sokołowa, dyrektora departamentu ds. inwestycji, który pociągnął dalej jego karierę aż do Moskwy – najpierw do biura administracyjnego rządu, potem do ministerstwa transportu.

W 2012 r. Starowojt został szefem rządowej agencji ds. budowy dróg Rosawtodor. Trochę przypadkiem znalazł się w miejscu idealnym do zrobienia kariery. W 2014 r., po aneksji Krymu, priorytetem dla Kremla stały się inwestycje w infrastrukturę półwyspu. Najważniejsza była budowa mostu nad Cieśniną Kerczeńską. To jedyne połączenie lądowe Krymu z Rosją oddano pół roku przed terminem. Starowojt mógł o tym zameldować osobiście Putinowi, który zjawił się na otwarciu.

Po przecięciu wstęgi zaproszono prezydenta, by za kółkiem nowiutkiego Kamaza przejechał świeżutki 19-kilometrowy odcinek. Nie odmówił. I most, i Kamaz bardzo Putinowi przypadły do gustu. Tak jak zręczny budowniczy Starowojt. W 2019 r. został skierowany w teren, do obwodu kurskiego, by „przetarł się" jako zarządca. Zbierał dobre oceny, szczególnie za zreformowanie systemu transportowego.

W maju 2024 r. wezwano go do Moskwy. Na szczytach władzy trwało trzęsienie ziemi – zdymisjonowano m.in. wiecznego ministra obrony Siergieja Szojgu, towarzyszyła temu duża rekonstrukcja rządu. Korzystając z przetasowania, Putin chciał dać szansę tym, którzy sprawdzili się w regionach. Fotele ministerialne dostało wówczas aż czterech gubernatorów. Wśród nich Starowojt.

Katastrofa

W obwodzie kurskim zastąpił go Aleksiej Smirnow, wicegubernator, zaufany urzędnik. I trzeba przyznać, że miał

© OLGA MALTSEVA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

potwornego pecha. Ledwie objął urząd, obwód zaatakowały ukraińskie wojska, w sumie ponad 10 tys. żołnierzy. Pod ich naporem rosyjska obrona pękła błyskawicznie. Ukraińcy w ciągu kilku dni zajęli 1 tys. km kw. terenu, ponad 80 miejscowości, w tym pięciotysięczną Sudżę.

Rosjanie w panice zaczęli szykować zasieki. Do budowy umocnień rekrutowano cywilów. Gdy natarcie wyhamowało, w Moskwie pojawiły się pytania. Jak to możliwe, że przeciwnik wdarł się tak głęboko? Przecież w latach 2022–23 na budowę transzei, stanowisk ogniowych, rowów przeciwpancernych wydzielono z budżetu centralnego gigantyczną sumę 19,5 mld rubli (blisko 1 mld zł)!

Sprawą zajęła się prokuratura. Wśród miejscowych biznesmenów, którzy byli wykonawcami kontraktów, zaczęły się aresztowania. Starowojt poczuł zagrożenie. We wrześniu wraz ze Smirnowem wziął udział w nagraniu wideo, w którym dowódca walczącego w obwodzie czeczeńskiego oddziału Achmat dziękuje władzom „za świetne przygotowane fortyfikacji". Film miał być sygnałem dla śledczych, że minister i gubernator znajdują się pod opieką przywódcy Czeczenii Ramzana Kadyrowa. Nagranie zapewne kosztowało Starowojta sporo pieniędzy – Kadyrow nie pomaga bezinteresownie. Zabieg okazał się nieskuteczny. Smirnow musiał się podać do dymisji, a w kwietniu 2025 r. trafił za kratki. Zarzucono mu defraudację. Poważna sprawa kryminalna zbliżała się do Starowojta.

Śmierć

Korupcja na wojnie to rzecz normalna. Jednak kilku wysokich urzędników mocno się na niej ostatnio sparzyło. Wiceminister obrony gen. Timur Iwanow za defraudację dostał 13 lat więzienia. Zastępca szefa sztabu generalnego gen. Wadim Szmarin – 7 lat. Gen. Jurijowi Kuzniecowowi, szefowi kadr resortu, grozi 15 lat. Ale Starowojt był przecież ministrem. Nad jego głową zaczęły się jednak zbierać czarne chmury. 7 lipca o godz. 9.15 (to ważne) Putin podpisał decyzję o zwolnieniu ministra. Starowojt musiał wiedzieć wcześniej, bo – według niektórych źródeł – dosłownie chwilę po ogłoszeniu dekretu pojawił się w resorcie. Pożegnał się z kilkoma współpracownikami, wziął coś z sejfu w gabinecie, mógł być to pistolet. Następnie wsiadł do prywatnej Tesli i pojechał do parku w Odincowie pod Moskwą.

O godz. 15 ciało 53-letniego urzędnika znaleziono z kulą w głowie. „Główna rozpatrywana przyczyna śmierci to samobójstwo" – ogłosiła prokuratura. Obok ciała leżał pistolet Glock – nagroda, jaką w 2023 r. dostał od MSW „za zasługi dla bezpieczeństwa obywateli". Zaczęły się pojawiać nieścisłości. Według prokuratury ciało znaleziono w aucie. Tymczasem na zdjęciach widać, że pracownicy firmy pogrzebowej wynoszą je z parku. Potem kolejna wersja – Starowojt 7 lipca wcale nie pojawił się w resorcie. Z życiem miał się pożegnać przynajmniej 24 godziny wcześniej. Putin dymisjonował więc nieboszczyka?

Wtedy plotki ruszyły pełną parą. Czy na pewno było to samobójstwo? A może ktoś pomógł ministrowi? Może był to rozkaz z góry, zemsta pogniewanego prezydenta? Stąd te nerwowe spojrzenia do otwartej trumny w sali pożegnań Centralnego Szpitala Klinicznego. – *Niestety trumna była głęboka i niewiele dało się dostrzec* – mówi POLITYCE jedna z osób obecnych na uroczystości.

System

Sprawa wydaje się prosta. Oto skorumpowany urzędnik wpada w sidła prokuratorów. Jego machlojki za chwilę ujrzą światło dzienne. Aby nie doświadczać infamii, wybiera samobójstwo. Jednak w systemie Putina to tak nie działa. Bo nawet gdyby Starowojt był krystalicznie czysty, nie dałby rady uczciwie wybudować umocnień. Urzędnik dostaje miliardy z budżetu, ale musi się dzielić: z wojskiem, ludźmi z MSW, żołnierzami Kadyrowa. Materiały trzeba zamawiać u wyznaczonych dostawców, usługi – u wskazanych firm. Nikogo ważnego nie można pominąć, urazić. Na samą budowę zostaje niewiele.

Tak to funkcjonuje w całej Rosji i nikomu specjalnie nie przeszkadza. W Kursku doszło jednak do niezwykłej sytuacji – lipne, zrobione na chybcika, z najgorszego betonu umocnienia zaatakowała realna armia. Fortyfikacje okazały się fikcją i rosyjskie wojska zaliczyły dotkliwą klęskę. Ktoś musiał ponieść odpowiedzialność. – *Putin odpowiada bowiem tylko za sukcesy, a inni za błędy w realizacji jego planów. Bo plan jest zawsze genialny, czasem tylko zawodzą wykonawcy* – komentuje Kiryłł Martynow, politolog, redaktor naczelny europejskiego portalu Nowej Gazety.

To nic nowego, że członkowie rosyjskiej elity mają wyostrzone zmysły. Starają się przewidzieć zachcianki zwierzchników, wyczytać, jak zmienia się ich pozycja w hierarchii, odgadnąć, czy ktoś ma do nich pretensję. Czy niezaproszenie na raut to już zapowiedź zsyłki na boczny tor? A może czegoś gorszego? Jak zauważa Aleksandr Baunow, badacz Centrum Carnegie, strach nasilił się jeszcze od początku inwazji: – *Boją się, że zostaną podsłuchani, schwytani i ukarani. Każde dziwne samobójstwo, dymisja czy aresztowanie ten strach pogłębia.*

Przypadek Starowojta uświadomił elitom, że wyjście z systemu Putina jest coraz trudniejsze. – *Do tej pory takie sprawy nie kończyły się śmiercią* – zwraca uwagę Baunow. Nawet gdy urzędnik trafiał za kraty, jego rodzinę zostawiano w spokoju, z potrzebnymi do życia środkami. – *Wśród ważnych ludzi, którzy dzięki korupcji wiodą wygodne życie, zapanowała panika. Może sprawa Starowojta to początek groźnej tendencji* – dodaje Martynow.

Wieniec

Tymczasem zgromadzeni w sali pożegnań urzędnicy ukradkiem sprawdzali w komórkach ostatnie depesze agencji informacyjnych. Chcieli ustalić, czy Putin ma zamiar przesłać wieniec na pogrzeb Starowojta – należał mu się jako ministrowi. Jeśli wieniec przyjdzie, oznaczać to będzie samobójstwo zdesperowanego człowieka. Brak wieńca potwierdzałby tezę o zemście, egzekucji.

Z wieńcem jednak działo się coś dziwnego – raz się pojawiał, raz znikał. Jedni go widzieli, inni nie. Zapytano o to Dmitrija Pieskowa, rzecznika Kremla, ten odpowiedział: „Co do wieńca: tak, prezydent oczywiście tradycyjnie wysyła swoje wieńce". W końcu państwowa agencja RIA Nowosti poinformowała: „Prezydent wieniec wysłał". Urzędnikom spadł kamień z serca. Ale nie na długo, bo wiadomość najpierw zniknęła z serwisu, a RIA opublikowała sprostowanie: „Informacja w sprawie wieńca zostaje unieważniona i została rozpowszechniona przez pomyłkę". I znów czarne myśli ogarnęły kremlowską elitę. W końcu – może ku pokrzepieniu serc – ktoś puścił w obieg nową plotkę. Według niej Putin przekazał jednak wieniec, ale potajemnie, w nocy, by nie rozczarować ludu spragnionego rozliczania skorumpowanych urzędników. Jeśli to prawda, to wszystko powinno wrócić do normy. ■

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Protest w Los Angeles po serii nalotów federalnych służb imigracyjnych. Trump wysłał na ulice Gwardię Narodową.

Wieczny łowca

W walce Donalda Trumpa z nielegalną imigracją wcale nie chodzi o to, aby ją zakończyć. To pozbawiłoby go narzędzia mobilizacji wyborców i sposobu na odwracanie uwagi od kolejnych afer.

ANDRZEJ LUBOWSKI Z LOS ANGELES

Upalne czerwcowe popołudnie w Los Angeles. Kilka kilometrów od centrum grupka Latynosów obsługujących myjnię samochodów gapi się w smartfony, gdy na wielkim ekranie zawieszonym wyżej pojawia się Kristi Noem, sekretarz ds. bezpieczeństwa wewnętrznego, i ostrzega: „Opuśćcie kraj. Jeśli tego nie zrobicie, znajdziemy was i deportujemy".

Efekt? Ślimaczące się prace przy usuwaniu toksycznego popiołu, spalonych zgliszcz i stawianiu nowych domów w Altadenie i Pacific Palisades, które najbardziej ucierpiały w wyniku katastrofalnych styczniowych pożarów w hrabstwie Los Angeles. Ludzi, którzy je wykonują, odstraszają naloty federalnych służb imigracyjnych, ICE (Immigration and Customs Enforcement). Strach przed deportacją paraliżuje inne budowy. Przytłaczająca większość budowlańców w hrabstwie Los Angeles to imigranci. Niemal połowa nie ma uregulowanego statusu.

Puściej zrobiło się w kalifornijskich kościołach. Alberto Rojas, biskup diecezji San Bernardino, pasterz ponad 1,5 mln katolików w południowej Kalifornii, zwolnił wiernych z cotygodniowego obowiązku uczestnictwa we mszy po zatrzymaniach na terenie kilku parafii. Z ulic zniknęli sprzedawcy kwiatów. Spadła liczba pasażerów metra i autobusów; wzrosła liczba odwoływanych wizyt w przychodniach i szpitalach.

Przypominają się sceny z filmu „Dzień bez Meksykanina" z 2004 r. Kalifornia budzi się ze snu, przeciera oczy i spostrzega, że wszyscy Meksykanie zniknęli. Gdzie się podział Jose? Gdzie dostanę burrito? Nie ma komu zbierać śmieci, truskawek i kalafiorów. Brakuje ludzi na budowach. Znika prezenter pogody, nie przychodzą gosposie i ogrodnicy, szaleńczo podrożało awokado, agenci straży granicznej zaczynają szukać nowej pracy, a polityczni twardziele zmieniają ton.

Od 2004 r. w USA liczba uprawnionych do głosowania Latynosów się podwoiła

eprasa.pl f2ce6bb9a0

– z 17 mln do 36 mln. A Kalifornia jest domem dla jednej czwartej z nich. Pierwszy latynoski senator USA ze stanu Kalifornia Alex Padilla podczas niedawnej konferencji prasowej w Los Angeles dotyczącej protestów i deportacji imigrantów próbował zadać pytanie Kristi Noem i choć się przedstawił, został siłą wyprowadzony z sali i zakuty w kajdanki.

Groźby na pokaz

Po wyprowadzce z Białego Domu w 2021 r. Trump ostrzegał, że „senny Joe" (Biden) zepchnie gospodarkę w przepaść, pozbawi ludzi pracy, doprowadzi do upadku giełdy i niepohamowanej inflacji. Gdy więc proroctwo się nie spełniło, sięgnął po straszak niezawodny, czyli imigrację. Refrenem swojej drugiej kampanii uczynił hasła o „zatruwaniu krwi narodu", o potrzebie „posprzątania naszego kraju" i „pozbyciu się robactwa". Zapowiadał „największą operację deportacji w historii Ameryki". Napomykał, że w tym celu może użyć „tysięcy żołnierzy stacjonujących obecnie za granicą w krajach, które nas nie lubią".

Wizerunkowi twardziela miała służyć policja na koniach na ulicach Los Angeles, gaz łzawiący i pociski gumowe, potem oddziały Gwardii Narodowej i wreszcie komandosi. W znakomity humor wprawiła Trumpa wizyta na Florydzie w obozie dla migrantów nazwanym „Aligatorowe Alcatraz". Zważywszy na „szybkie węże i jeszcze szybsze aligatory", chętnym do ucieczki prezydent doradzał strategię biegu zygzakiem, bo to – powiedział – zwiększy szanse na przeżycie o 1 proc. Nie ukrywał, że marzą mu się podobne obozy w innych stanach.

„Chciał być trupem na każdym pogrzebie, panną młodą na każdym weselu i niemowlęciem na każdym chrzcie" – mówiła o swoim ojcu Theodorze Roosevelcie córka Alice. Te słowa jak ulał pasują też do Trumpa, który nie zna umiaru i wszędzie chce dominować. To po części tłumaczy lawinę niespodzianek, do których świat powoli się przyzwyczaja, zaskakujących i zmieniających się bez ustanku wypowiedzi na każdy temat, huśtawkę gróźb i amnestii. Bo każda kolejna stawia go w centrum sceny.

Media za nim ledwo nadążają. 16 lipca na czołówce „The Wall Street Journal" pojawiła się wiadomość, że prezydent sonduje republikańskich kongresmenów, co myślą o zdymisjonowaniu szefa banku centralnego. To niewątpliwie news. „Nie zamierzamy nic robić" – powiedział Trump pół godziny później, dodając: „Niczego nie wykluczam, ale uważam to za bardzo mało prawdopodobne. Chyba że będzie musiał odejść z powodu oszustwa". Więc jest kolejny news.

Tuż po drugiej inauguracji Trump udzielił chińskiej spółce matce TikToka – jak napisał „The Wall Street Journal" – „nielegalnej amnestii": 75 dni moratorium na zbycie jej udziałów w TikToku, do czego zobowiązał ją sąd. Moratorium wygasło 5 kwietnia. Odroczył je więc o kolejne 75 dni – do 19 czerwca. Tego dnia „egzekucję" przesunął o następne 90 dni – do 17 września.

Prezydent USA wyraził też ponownie swe rozczarowanie Władimirem Putinem. Zagroził nawet nałożeniem 100-procentowych ceł na państwa handlujące z Rosją, jeśli ta w 50 dni nie dogada się z Ukraińcami. Wątpliwe, aby Putin nie mógł spać z tego powodu. Jego minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow przypomniał, że wcześniej Trump mówił o zakończeniu konfliktu w 24 godziny, później w 100 dni. I że Rosja „widziała to już wcześniej".

Groźby na pokaz i każda odroczona decyzja stają się kolejnym wydarzeniem medialnym. W oczach wiernych ta ekwilibrystyka to genialna gra negocjacyjna. Dla reszty to kolejny cios w mocno nadwątloną wiarygodność Ameryki. W jednym jest Trump konsekwentny. To polityka imigracji i deportacji. To jej zawdzięcza klucz do Białego Domu.

Lecz kursu nie zmienia także dlatego, że w otoczeniu miernych akolitów znalazł się jeden, z którego pasja aż tryska. To strażnik świętego płomienia antyimigranckiej ideologii, który wyrósł na najbliższego doradcę prezydenta, Stephen Miller. Chce po prostu aresztować imigrantów na parkingach pod marketami budowlanymi i sklepami 7-Eleven. Prezydent żartuje, że „gdyby to zależało od Stephena, Ameryka liczyłaby 100 mln obywateli (dziś to ponad 340 mln). I wszyscy wyglądaliby jak on".

Ideolodzy i egzekutorzy

Takie wizje ma urzeczywistnić „One Big Beautiful Bill" (BBB), świeżo przyjęta ustawa, która daje prezydentowi 170 mld dol. na jego program imigracyjny. Najwięcej, bo 75 mld na cztery lata, dostaje ICE, odpowiedzialna za ściganie imigrantów i deportację. Z tego 45 mld na rozbudowę ośrodków detencyjnych i 30 mld na operacje deportacyjne, w tym zatrudnienie 10 tys. nowych pracowników. BBB uczynił ICE najbogatszą agencją federalną, z rocznym budżetem rzędu 27–28 mld – to nieco więcej niż NASA i trzy razy więcej niż FBI. A kolejne 46–51 mld ma pójść na budowę muru na granicy z Meksykiem (który jednak go nie sfinansuje, jak kiedyś obiecywał Trump).

Ekspresowo rekrutowani agenci, pospiesznie budowane ośrodki, maskowane naloty na dzielnice migrantów – wszystko to coraz mniej przypomina demokratyczny porządek, a coraz bardziej państwo korporacyjno-policyjne. Sam Miller to ideolog. Egzekutorem i twarzą nowej machiny deportacyjnej jest Tom Homan, były szef ICE. Zasłynął jako entuzjasta rozdzielania dzieci od ich rodziców na granicy, argumentując, że taka praktyka to skuteczny straszak.

W czasie pierwszej prezydentury Trumpa Homan był twarzą polityki „zero tolerancji" i powtarzał, że „nielegalni imigranci powinni się bać". Gdy w 2018 r. odszedł z administracji, związał się z Fox News i z ramienia Heritage Foundation pracował nad Projektem 2025 – planem działania na drugą kadencję Trumpa. Dziś zapowiada, że skala masowych deportacji „przebije wszystko, co dotąd widziano".

A gdy rośnie liczba aresztowań nieudokumentowanych imigrantów, coraz więcej z nich trafia do ośrodków detencyjnych. To wąskie gardło systemu. Kiedy więcej osób dłużej przebywa w detencji, zwiększa się zapotrzebowanie na nowe ośrodki tego typu. Pod koniec czerwca ICE przetrzymywała rekordową liczbę ok. 59 tys. ludzi – o 50 proc. więcej niż w ostatnich dniach poprzedniej administracji. Brakuje miejsca, łóżek, jedzenia i opieki medycznej.

Rozbudowa systemu detencyjnego oczywiście przynosi korzyści prywatnym firmom więziennym, które prowadzą wiele z tych placówek, co rodzi obawy o wpływ polityki na rozwój prywatnej branży więziennictwa (i odwrotnie).

W Stanach Zjednoczonych rodzi się właśnie nowa, potężna gałąź gospodarki – sektor quasi-więziennictwa na sterydach. Napędzany publicznymi miliardami, karmiony lękiem, kontrolą i obietnicą siły. To nowy system masowego nadzoru i detencji imigrantów, który może przedefiniować amerykańską gospodarkę bezpieczeństwa wewnętrznego na dekady. ▶

© DAVID MCNEW/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ System, który – jak ostrzegają eksperci – przetrwa zmianę administracji. Bo jak raz zbudujesz przemysł wart dziesiątki miliardów dolarów, trudno go potem wyłączyć.

Tym bardziej że prywatne więzienia to lukratywny biznes. Buduje się zatem nowe i otwiera wcześniej zamknięte. Dwaj główni gracze w tym sektorze – GEO Group i CoreCivic – obaj notowani na giełdzie, obsługują więzienia i ośrodki detencyjne. Logika interesu jest prosta: im więcej więźniów, tym większy zysk. Jasne więc, że branża lobbuje za ostrzejszym prawem karnym i zaostrzaniem polityki imigracyjnej, bo to zwiększa popyt na jej usługi.

W prywatnych więzieniach częściej niż w publicznych dochodzi do przemocy. Prywatni gorzej żywią, mniej płacą strażnikom, oszczędzają na ich szkoleniach i opiece zdrowotnej więźniów. I GEO Group, i CoreCivic wydają grube miliony na lobbing i darowizny. Są powiązane z think tankami promującymi twardy kurs wobec przestępczości i migracji. Programy takie jak „Zero tolerancji" Trumpa przyniosły tym firmom gwałtowny wzrost zysków. Prezes Geo Group mówi o „renesansie detencji imigracyjnej" i szacuje, że jego firma może zarabiać dodatkowe 400 mln dol. rocznie dzięki planom Trumpa.

Paradoks Epsteina

Uchwalenie przez Kongres BBB, skąd te pieniądze mają m.in. pochodzić, było bez wątpienia politycznym sukcesem Trumpa. I gdy wydawało się, że nadszedł czas celebracji, nagle zza węgła pojawił się inny narracyjny kłopot. Sprawa akt Epsteina, która dziś pasjonuje i MAGA, i media oraz wprawia prezydenta USA w nieskrywaną furię.

Przyjacielskie relacje Trumpa z Jeffreyem Epsteinem, amerykańskim finansistą i multimilionerem skazanym za przestępstwa seksualne, nie były tajemnicą. Nie są żadną sensacją wspólne zdjęcia ani cytaty o pięknych kobietach w wieku – powiedzmy – przedmaturalnym, w których towarzystwie obaj panowie lubili spędzać czas. Lecz dziś kontekst, w jakim ta zażyłość jest przypominana, budzi nieoczekiwaną reakcję części MAGA i irytację prezydenta, która popchnęła go do wytoczenia procesu Rupertowi Murdochowi, wieloletniemu poplecznikowi, właścicielowi Fox News, ale także „The Wall Street Journal", organowi amerykańskiej finansjery, który sprawę nagłośnił.

Stephen Miller, główny ideolog antyimigranckiej krucjaty Trumpa

Paradoks polega na tym, że sprawa akt Epsteina została w dużej mierze odgrzana przez środowiska prawicowe, protrumpowe, które jeszcze kilka lat temu traktowały ją jak idealną broń przeciwko establishmentowi – zwłaszcza Clintonom, Hollywoodowi, liberalnym elitom i tzw. deep state, głębokiemu państwu.

Były doradca Trumpa Steve Bannon finansował i promował filmy dokumentalne uderzające w „elitę Epsteina". Platformy takie jak Breitbart czy Truth Social przez lata pompowały narracje, że akta Epsteina skrywają „bombę atomową" kompromatów na Demokratów. To ludzie z politycznego i medialnego zaplecza Trumpa, zanim weszli w skład jego gabinetu, wzywali do odtajnienia akt, rozkręcali narrację o „listach pasażerów Lolita Express" i wskazywali na spiski wokół tajemniczej śmierci Epsteina w celi.

Ironia polega zatem na tym, że Trump – który przez lata traktował spiski jako użyteczne narzędzia – dziś sam stał się adresatem podejrzeń, które jego obóz chciał kierować w inną stronę. A nie da się nakazać algorytmom Twittera czy Reddita, by pomijały tropy Trumpa i skupiały się tylko na Clintonach. Narracja – może tylko na krótko – jakby wyrwała się spod kontroli prezydenta.

Trump, sam z powodzeniem wykorzystujący medialne ataki jako paliwo dla swojej narracji o „polowaniu na czarownice", tym razem zareagował defensywnie i zaskakująco nerwowo. Prezydenta i jego otoczenie zdaje się niepokoić scenariusz, w którym powracający wątek przyjaźni z kimś o odrażającej przeszłości, oskarżonym o handel nieletnimi, tworzy rysę na wizerunku Trumpa jako „strażnika prawa i porządku".

Więzienny biznes

Dlatego właśnie nie może zabraknąć imigrantów, którymi da się przykryć każdy temat. Trump uparcie powtarza, że Barack Obama i Joe Biden otworzyli szeroko drzwi dla nielegalnych imigrantów i niczego nie zrobili, aby najgorszych deportować. Tymczasem w latach 2021–22 Biden deportował ok. 4,5 mln ludzi – więcej niż Trump w całej pierwszej kadencji. Obama w pierwszej kadencji deportował o kilkadziesiąt tysięcy ludzi więcej niż Trump. Tyle że Obama i Biden niewiele o deportacjach mówili, a ludzie z ich otoczenia nie sięgali po język szowinizmu i nienawiści.

Stephen Miller publicznie apeluje o minimum 3 tys. aresztowań dziennie. Ale np. w czerwcu zatrzymano ok. 1,2 tys. osób – więcej niż wcześniej, choć w tym tempie spełnienie obietnicy pozbycia się wszystkich nielegalnych imigrantów zajęłoby ćwierć wieku, nawet gdyby żaden nowy nie prześlizgnął się przez nowy mur graniczny.

Może więc nie chodzi o to, by złapać króliczka, ale by go gonić? Nie o to, aby problem nielegalnych imigrantów rozwiązać, tylko żeby go w nieskończoność rozwiązywać, serwując jednocześnie narrację twardego szeryfa, którą tak lubi MAGA. A przy okazji budować nowe więzienia i ośrodki deportacji. To świetny biznes. Bardziej przewidywalny niż budowa i eksploatacja hoteli.

ANDRZEJ LUBOWSKI

© CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Promenada w Ahlbecku

Wanna Berlina

Po niemieckiej stronie wyspy Uznam łatwiej uniknąć dzikich tłumów i drożyzny. Trudniej uniknąć historii, i to takiej powracającej pod postacią AfD.

FILIP GAŃCZAK

Karta? Gotówka? – pyta po polsku kelner na molo w Heringsdorfie. Duża część obsługi w tutejszych restauracjach, sklepach i hotelach to Polacy. Tym razem słychać jednak lekki obcy akcent. Niemiec? Nie, rozmówca okazał się Sycylijczykiem.

Kierunek: morze

Heringsdorf i pobliskie Świnoujście dzieli zaledwie kilka kilometrów. Te dwie nadbałtyckie miejscowości mocno zabiegają o turystów, ale najwyraźniej celują w nieco inną klientelę. Świnoujście, kilkudziesięciotysięczne miasto z dużym portem morskim i bazą Marynarki Wojennej, kusi nowoczesnymi hotelami międzynarodowych sieci, wysokimi na kilka lub kilkanaście pięter. Heringsdorf (w dosłownym tłumaczeniu: Śledzia Wieś) to kurort znacznie bardziej kameralny, z charakterystyczną willową zabudową i plażą, która nawet w szczycie sezonu daje szansę na znalezienie wolnej przestrzeni.

W niemieckich mediach i tak toczy się jednak dyskusja, czy Uznam nie cierpi na *overtourism*, czyli przerost turystyki. Według danych Urzędu Statystycznego Meklemburgii-Pomorza Przedniego niemiecką część wyspy odwiedziło w ubiegłym roku ok. 1,2 mln urlopowiczów, co przełożyło się na prawie 6 mln noclegów. Niemal dokładnie połowa przypadła na kilkutysięczną gminę Heringsdorf, obejmującą również kurorty Ahlbeck i Bansin. Ale wyraźne przyrosty notują też miejscowości położone w głębi wyspy.

Uznamowi wciąż trudno konkurować z hiszpańską Majorką, gdzie co roku turyści wykupują kilkadziesiąt milionów noclegów. Sorry, taki mają klimat – chciałoby się powiedzieć. Jednak, po pierwsze, w Bałtyku też da się pływać, po drugie, śródziemnomorski żar nie dla każdego jest lepszy niż swojska bryza. Wiosną tego roku hamburski instytut Splendid Research zapytał Niemców o najpopularniejsze cele podróży. Zwyciężył Bałtyk, nieznacznie wyprzedzając Wyspy Kanaryjskie, wspomnianą Majorkę i północne Włochy. Na wynik złożyło się kilka czynników: od znajomości miejsca, przez wiarygodność, po stosunek jakości do ceny.

Widać to w Heringsdorfie. Można się tu zatrzymać w pięciogwiazdkowym Steigenberger Grandhotel z dwoma basenami za stosownie wysoką opłatę. Ale taka Villa Franz, też dobrze położona, oferuje niezłe apartamenty już od 80 euro za noc. Meldując się u gospodyni, trzeba z góry opłacić podatek uzdrowiskowy – w sezonie to 3,30 euro za dobę. W zamian otrzymuje się jednak UsedomCard – kartę, która uprawnia do korzystania z lokalnej sieci autobusowej i rozmaitych atrakcji. Inaczej niż choćby w Kołobrzegu, wstęp na molo w Heringsdorfie – zachwalane jako drugie co do długości nad niemieckim Bałtykiem – jest bezpłatny. Nie mam wrażenia, że na każdym kroku jestem traktowany jak chodzący bankomat.

Ceny w gastronomii – do przełknięcia. Popularna tu solanka rybna kosztuje w restauracji 7 euro. Ryba ze smażonymi ziemniakami i surówką – ok. 20 euro. Płaci się za porcję, nie na wagę, co pozwala uniknąć przykrych niespodzianek przy kasie. ▶

© KAISERBÄDERTOURISMUSSERVICE GMBH

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Na menu nie można narzekać. W jednym tylko lokalu w centrum kurortu są do wyboru: dorsz, sandacz, węgorz, śledź, turbot, łosoś. Na deser można spróbować choćby *Rote Grütze* – galaretki z czerwonych owoców z sosem waniliowym lub likierem, reklamowanej jako jeden z „prawdziwie pomorskich" przysmaków.

Na wielu tabliczkach i szyldach są polskie napisy. Inne miejsca wyraźnie sprawiają wrażenie, jakby celowały w rodzimego turystę. – *98,6 proc. gości przyjeżdża z Niemiec* – wskazuje Michael Steuer, prezes spółki Usedom Tourismus, obsługującej marketingowo niemiecką część wyspy. Dwóch na trzech turystów pochodzi według Steuera z byłej NRD, z zagranicy – mniej niż co 70.

W te dane trudno uwierzyć, gdy spaceruje się urokliwą 12-kilometrową Promenadą Europa, ciągnącą się od Bansin, przez Heringsdorf i Ahlbeck, aż do Świnoujścia. Jeszcze po stronie niemieckiej regularnie mijam pieszych i rowerzystów z Polski. Również na parkingach rzuca się w oczy dużo samochodów na rodzimych blachach, najczęściej zachodniopomorskich. Najwyraźniej lwia część Polaków to tzw. jednodniowi turyści bez noclegu.

Keine Grenzen?

Odkąd dwa lata temu otwarto tunel pod Świną, łączący wyspy Uznam i Wolin, dojazd z Polski na tę pierwszą jest łatwiejszy. Przynajmniej samochodem, bo pociągi PKP docierają tylko do stacji Świnoujście i Świnoujście Port, położonych na prawym brzegu. Lewobrzeżna stacja Świnoujście Centrum – już po stronie wyspy Uznam – nie ma połączenia z polską siecią kolejową.

Dla turystów, którym się nie spieszy, ciekawą alternatywą mogą być statki wycieczkowe łączące Świnoujście i Międzyzdroje z kurortami w niemieckiej części wyspy Uznam. Heringsdorf ma też niewielkie lotnisko, na które jednak w tym sezonie można dolecieć bezpośrednio tylko z Zurychu, Luksemburga i kilku miast w Niemczech. Za to dość szybko, autem w nieco ponad godzinę, dojedzie się na Uznam z Portu Lotniczego Szczecin-Goleniów.

Ale nie zawsze... W letnie niedzielne popołudnie przychodzi rządowy esemes: „Od 7 lipca wprowadzona zostaje kontrola Straży Granicznej na granicy z Niemcami i Litwą (wjazd do Polski)". To poniekąd odpowiedź na podobne działania władz w Berlinie, a także presję polskiej prawicy, Ruchu Obrony Granic i innych środowisk. „Keine Grenzen" – śpiewało Ich Troje. Ale to było dawno.

W czwartek 26 czerwca grupa mieszkańców Świnoujścia, ze znacznym udziałem kibiców miejscowej Floty, urządza protest na przejściu granicznym z Ahlbeckiem. Demonstranci odśpiewują hymn narodowy, przez dobre trzy kwadranse blokują jezdnię i domagają się zaostrzenia kontroli. „Stop nielegalnym imigrantom!!!" – krzyczy transparent.

Po drugiej stronie Alternatywa dla Niemiec (AfD) – partia antyimigrancka, antysystemowa i proputinowska – głośno domaga się płotów na granicach. Szczególnie dużym poparciem cieszy się w byłej NRD. Gdy w tegorocznych wyborach do Bundestagu zgarnęła na wyspie Uznam 57 proc. głosów, tabloid „Bild" pisał o fali odwoływanych rezerwacji w nadmorskich hotelach. Michael Steuer nie potwierdza jednak, żeby była to dostrzegalna tendencja: – *Wyspa Uznam nadal cieszy się dużym zainteresowaniem. Również w tym roku spodziewamy się dalszego wzrostu liczby gości.*

Ma na to nadzieję również Martyna Trochimczuk, która ze Świnoujścia regularnie dojeżdża do pracy w Alex Strandbar w Heringsdorfie. Na nowe praktyki graniczne Polka reaguje ze spokojem. Kontrolowane mają być głównie autokary, busy i samochody z większą liczbą pasażerów. Choć na przykład w pierwszych dniach obowiązywania zaostrzonych przepisów zawrócono na granicy małżeństwo z Dolnej Saksonii, które wybrało się do Świnoujścia, mając przy sobie tylko karty hotelowe. Tym bardziej trzeba pamiętać o zabraniu dowodu osobistego lub paszportu.

Gdy pytam Trochimczuk o profil turystów, mówi, że dominują Niemcy z grupy 50 plus. Steuer potwierdza: średni wiek gości na wyspie to 53 lata. Pozornie dużo, ale to mniej niż w innych regionach Meklemburgii-Pomorza Przedniego. – *Wpływa na to duża liczba rodzin podróżujących z dziećmi, zwłaszcza w okresie wakacji i ferii* – tłumaczy.

Właśnie z myślą o najmłodszych w pobliskim Bansin jest nieduży ogród zoologiczny, reklamujący się jako „najmniejsze zoo w Niemczech". W Pudagli zaś mieści się Świat Guliwera (Gullivers Welt) – z 36-metrową figurą wielkoluda, któremu można zajrzeć do żołądka. Z kolei w Trassenheide w północno-zachodniej części wyspy na gości czeka Wildlife

Usedom – świat wypchanych dzikich zwierząt, od dzika po dzikiego psa dingo.

Z Trassenheide blisko już do Peenemünde, gdzie za rządów nazistowskich istniał tajny ośrodek rozpracowany przez wywiad Armii Krajowej. To tu Wernher von Braun – późniejszy współtwórca programu kosmicznego Stanów Zjednoczonych – prowadził prace nad rakietowymi pociskami balistycznymi V-2, mającymi odmienić losy wojny. Z historią powstania i użycia tej śmiercionośnej broni, której twórcy nie wahali się korzystać z niewolniczej siły roboczej, mierzy się Muzeum Historyczno-Techniczne Peenemünde, czynne w sezonie przez siedem dni w tygodniu. Zobaczymy tu m.in. repliki V-2 i pocisku manewrującego V-1. W miejscowym porcie na zwiedzających czekają zaś dwa okręty zamienione w muzea: posowiecki podwodny U-461 i enerdowski kuter rakietowy „Hans Beimler".

Po NRD zostały też skądinąd takie architektoniczne koszmarki, jak dwa bloki z wielkiej płyty zaraz przy molo w Heringsdorfie. Tylko na pocztówkach ostał się luksusowy hotel Atlantic, wybudowany w tym miejscu jeszcze za kajzera.

Kajzer i Hitler

Lata cesarstwa (1871–1918) to dla Heringsdorfu czas rozkwitu. Kurort, nazywany niekiedy „wanną Berlina", przyciągał arystokratów, finansjerę, artystów i naukowców. To właśnie wówczas powstały dworzec kolejowy, imponujące molo, które spłonęło w czasach NRD (dzisiejsze to już wersja 2.0), i liczne eleganckie wille położone przy promenadzie.

Przy Delbrückstrasse 14 wciąż stoi neobarokowa rezydencja zbudowana przez bankiera Hansa von Bleichrödera, którego

© SHUTTERSTOCK, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Molo w Heringsdorfie

ojciec Gerson doradzał żelaznemu kanclerzowi Ottonowi von Bismarckowi i był jednym z nielicznych Żydów dopuszczonych do szlachectwa. Naziści urządzili tu ośrodek położniczy, Sowieci – sanatorium dla czerwonoarmistów, a komuniści wschodnioniemieccy – dom gościnny reżimowej centrali związków zawodowych. Dziś jest tu butikowy hotel z basenem.

Kawałek dalej, pod numerem 11, znajduje się neoklasyczna willa Benoîta Oppenheima, stylizowana na włoską. W czasach brunatnej dyktatury mieściła się tu lokalna centrala NSDAP. Później wypoczywał tu i podejmował gości niesławny minister bezpieczeństwa państwowego NRD Erich Mielke. Kilkanaście lat temu budynek przeszedł gruntowną renowację i znów zachwyca. Nieopodal warta zobaczenia jest także dwupiętrowa willa konsula Wilhelma Staudta, który wzbogacił się w Argentynie. Krótko przed pierwszą wojną światową cesarz Wilhelm II chętnie zachodził tu na herbatę do Elisabeth Staudt, wdowy po dyplomacie. W ogrodzie secesyjnej willi od strony promenady stoi dziś popiersie Wilhelma I. Chętnie fotografują się tu turyści.

Sentyment do cesarstwa Hohenzollernów jest tu widoczny niemal na każdym kroku. Heringsdorf, Bansin i Ahlbeck to do dziś „kąpieliska cesarskie". Jedna z restauracji kusi kawą „jak za czasów cesarza". Nawet przedszkole otwarte cztery lata temu nazywa się: Kaiser-Kita, a w logo ma uśmiechnięte dziecięce główki w koronach. Renoma zbudowana na przełomie XIX i XX w. jeszcze w międzywojniu przyciągała do nadbałtyckich kurortów sławy pióra. To wtedy w Heringsdorfie leczył się z gruźlicy rosyjski pisarz Maksim Gorki (w willi Irmgard, w której wtedy mieszkał, mieści się dziś małe muzeum, częściowo mu poświęcone). W Ahlbecku późniejszy noblista Thomas Mann kończył słynną „Czarodziejską górę". Na wyspie chętnie też gościł publicysta Kurt Tucholsky, pacyfista i zdeklarowany przeciwnik nazizmu.

W 1935 r., dwa lata po przejęciu władzy w Rzeszy przez Adolfa Hitlera, lokalne władze uchwaliły, „że w kurorcie Heringsdorf Żydzi są niepożądani". O tragicznym losie grupy miejscowych Żydów, w czasie wojny deportowanych do getta w podlubelskich Piaskach, przypominają kamienie pamięci przy Friedenstrasse.

Brunatna dyktatura starała się też wymazać słowiańską przeszłość regionu i dowieść, jakoby to Germanie byli tu pierwsi. Gdy w 1935 r. w pobliżu Rostoku archeolodzy odnaleźli pozostałości wczesnośredniowiecznej osady, reżim niezgodnie z prawdą ogłosił, że to ślady legendarnego zamku wikingów. Nazwę miejscowości zmieniono wkrótce z Alt Gaarz (Stary Gród) na Rerik, odwołującą się do wikińskiego pochodzenia. „We wszystkich epokach żyli tu niemieccy mężczyźni, którzy nie bali się ryzyka i jeszcze dziś stanowią dla nas wzór osiągnięć i postawy" – oświadczył gauleiter Friedrich Hildebrandt. Podjęta tuż po wojnie próba powrotu do starej nazwy kąpieliska została storpedowana przez władze powiatu i landu.

Bałtycki raj

Socjalistyczna NRD prezentowała się jako państwo antyfaszystowskie, ale nie zachęcała obywateli do głębokich rozliczeń z historią narodu i własnych rodzin. Odbija się to czkawką do dziś. Wysokie poparcie dla AfD, której liderzy nieraz szokowali relatywizowaniem narodowego socjalizmu, często paradoksalnie łączy się tu z nostalgią za NRD, jej inwestycjami i polityką pełnego zatrudnienia.

W 1990 r. kanclerz RFN Helmut Kohl obiecywał wschodowi jednoczących się Niemiec „kwitnące krajobrazy". Tymczasem na terenach między Łabą a Odrą pierwszym doświadczeniem demokracji stało się zamykanie nierentownych zakładów i zubożenie. Do dziś wielu mieszkańców byłej NRD czuje się obywatelami drugiej klasy – jak mówił w wywiadzie dla POLITYKI 32/24 prof. Dirk Oschmann, autor bestsellerowej książki „Jak niemiecki Zachód wymyślił swój Wschód". AfD umiejętnie dyskontuje te nastroje.

Na Uznamie miejscowi narzekają na wąskie drogi i korki, brak bezpośrednich połączeń kolejowych z Berlinem, a także wycofanie się państwa z wielu sfer życia – czego symbolem jest choćby pustostan po dawnym centrum kultury w Heringsdorfie. Laura Isabelle Marisken, młoda bezpartyjna burmistrzyni, chce przywrócić to miejsce do życia. O lokalnych projektach jest gotowa rozmawiać z każdym, także z działaczami AfD.

Gdy jednak w ubiegłym tygodniu roznosi się wieść o odkryciu na Bałtyku – kilka kilometrów od Świnoujścia – pokaźnych złóż ropy i gazu, Marisken reaguje alergicznie. „Przemysłowa produkcja gazu i ropy tuż za progiem naszego domu byłaby ogromną ingerencją w naszą małą ojczyznę, z potencjalnie nieodwracalnymi konsekwencjami dla przyrody, wody i klimatu" – przekonuje. Polacy już widzą przyszłe zyski, w tym zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego. Niemcy natomiast, jak zauważył jeden z portali, wyraźnie „zaczęli obawiać się o swój bałtycki raj".

FILIP GAŃCZAK

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Życie po ekocydzie

Wysadzenie zapory w Nowej Kachowce wywołało najpoważniejszą katastrofę środowiskową nowożytnej Europy. I uruchomiło wielki przyrodniczy eksperyment.

JĘDRZEJ WINIECKI

Ładunki eksplodowały w nocy z 5 na 6 czerwca 2023 r. Podłożyli je i zdetonowali najprawdopodobniej Rosjanie. Od 11 miesięcy okupowali tamę tworzącą jeden z najrozleglejszych zbiorników zaporowych w Europie Wschodniej. Powierzchnia lustra wody sięgała 220 tys. ha. To było szóste, ostatnie ogniwo kaskady Dniepru.

Łańcuch sztucznych jezior zaczyna się w Kijowie. O ich budowie myślano w czasach Rosji imperialnej, ostatecznie powstały w Rosji sowieckiej. Miały niewiele sensu. Wznoszono je przez pół wieku kosztem likwidowanych miejscowości, żyznych pól i sięgających starożytności stanowisk archeologicznych. Niemniej propaganda uczyniła z tam dowód nowoczesności i organizacyjnej potęgi Związku Radzieckiego.

Mierzący 2,3 tys. km Dniepr jest trzecią co do długości rzeką Europy. W Rosji, skąd wypływa, i na Białorusi, przez którą płynie, malowniczo meandruje. O ile w rzekach, którymi nie steruje człowiek, poziom wody w ciągu roku dynamicznie się zmienia, to na ukraińskim odcinku Dniepru waha się tylko nieznacznie.

– *W Nowej Kachowce wiosną magazynowano wodę, którą używano do letniego nawadniania okolicznych pól. I dwa razy na dobę otwierano spusty, by kręcić turbinami i produkować prąd. Oznaczało to gwałtowne wahania wody tuż za zaporą i okoliczności mało dogodne do rozkwitu różnorodnego życia* – stwierdza Ołeksij Wasiliuk, ekolog związany z Narodową Akademią Nauk Ukrainy, badający środowiskowe skutki wojny. Równolegle utrzymywanie wysokiej wody pozwoliło rozwinąć port w Chersoniu. Bliżej prawego brzegu przekopano głęboki kanał, który pozwalał do miasta zawijać statkom morskim. W brzeg lewy ingerowano mniej i niewielki fragment delty po tej stronie zachował najwięcej wartości przyrodniczych.

Toksyczny depozyt historyczny

Fala powodziowa wypływająca z przerwanej tamy miała z początku 12 m wysokości, przy ujściu obniżyła się do 2 m. Zalała ponad 60 tys. ha. W wojennych okolicznościach nie sposób było ustalić liczby ofiar, przyjęte szacunki mówią o 100–200 osobach. Woda schodziła z impetem, poniżej zapory niszczyła ptasie lęgi,

eprasa.pl f2ce6bb9a0

topiła pisklęta i dopiero co urodzone młode ssaki. Wyrywała drzewa, wymywała mniejsze rośliny i niosła osady.

Skoro Kachowka była ostatnia z kaskady, to właśnie do niej przez siedem dekad trafiały zanieczyszczenia z całego dorzecza, w tym depozyt 90 tys. ton metali ciężkich z fabryk, kopalni, miast i wsi. – *Muł wypłukany z dna zbiornika* – mówi Wasiliuk – *spłynął do morza. Po lewej, dzikszej stronie nurt nie był tak wartki i to tam pozostało najwięcej błota.* Pokryty nim został Park Narodowy Dolnego Dniepru, do tego duży nadmorski rezerwat, 10 tys. ha terenów rolniczych i ujęcia wody m.in. dla Chersonia. Do morza trafiła spora część jedynej w Ukrainie populacji traszki naddunajskiej, która żyła na izolowanym od reszty gatunku stanowisku. Płazy znajdowano pod Odessą, w odległości 150 km. Zupa toksycznych osadów popłynęła jeszcze dalej. W ciągu trzech dni dotarła do wybrzeży Rumunii, później rozlała się wzdłuż wybrzeży Bułgarii i Turcji, w tym Morza Marmara. Po opróżnieniu jeziora zmienił się mikroklimat regionu.

Oba brzegi są solidnie ufortyfikowane, więc woda porywała i rozrzucała miny różnych kategorii, losowo stworzyła podwodne i podbłotne pola minowe. Dno opisywano w światowej prasie jako pokryte piaskiem, zatrute pustkowie, upstrzone m.in. szkieletami poległych żołnierzy Wehrmachtu. W akcie wysadzenia widziano użycie „broni ekologicznej", „wojenną zbrodnię przeciwko środowisku naturalnemu", ekocyd czy ekobójstwo, celowe zniszczenie ekosystemu w ramach działań zbrojnych i sposób na pognębienie przeciwnika kosztem natury. W zbiorniku wyginęła zdecydowana większość ryb i mięczaków.

Nieoczywisty rachunek ekonomiczny

Przyszłość Kachowki zależy od polityki oraz od wojennych zamiarów Rosji. W najbardziej optymistycznych przewidywaniach zaporę, elektrownię i zbiornik da się podnieść z ruin w sześć–siedem lat od zakończenia wojny. Taki scenariusz rozważa Ukrhydroenergo, zarządca tamy – przywrócić to, co zniszczyli Rosjanie. Firma poszukuje funduszy, ewentualnych partnerów wabi kontraktem wartym co najmniej 1 mld euro. Odbudowę zapowiada też Rosja. Kontroluje lewy brzeg, chciałaby zdominować również prawy, a wodę zbieraną w Kachowce wysyłać na okupowany przez siebie Krym.

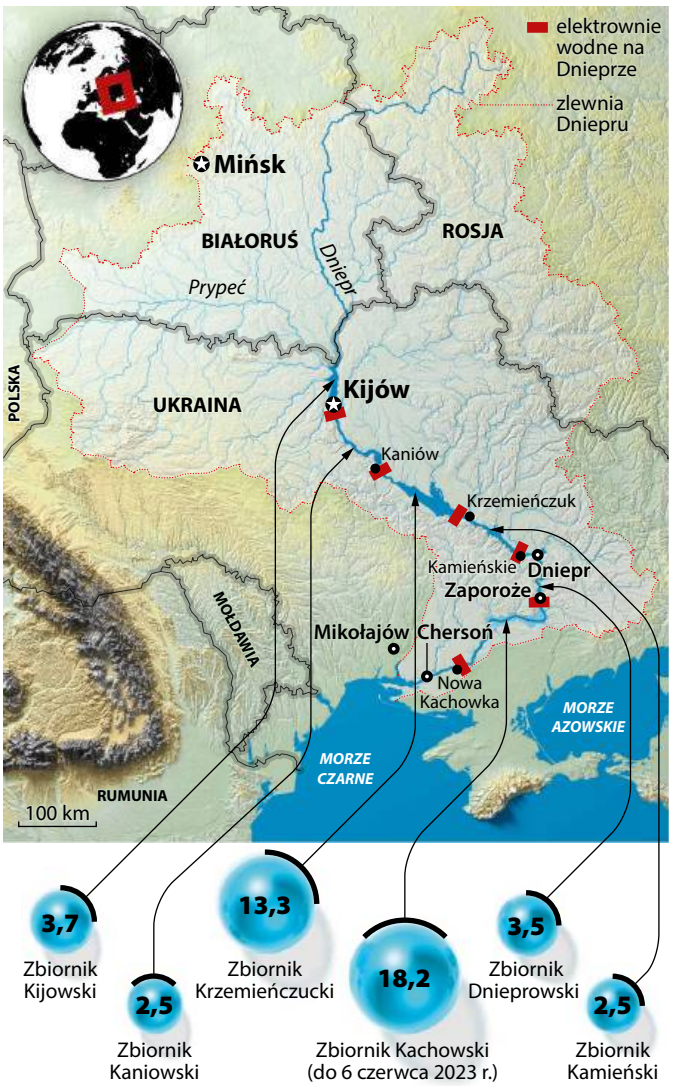

POJEMNOŚĆ ZBIORNIKÓW WODNYCH (w km sześc.)

INFOGRAFIKA **LECH MAZURCZYK**

© DMYTRO SMOLIENKO/UKRINFORM/FUTURE PUBLISHING/GETTY IMAGES, SMIRNOVPILOT/SHUTTERS/SHUTTERSTOCK

Woda na ulicach Chersonia, sierpień 2023 r.

Paradoksalnie wojna daje czas na policzenie, czy powrót do betonowania Kachowki będzie rozwiązaniem optymalnym z ekonomicznego punktu widzenia. – *Turbiny wytwarzały 1 proc. ukraińskiej energii elektrycznej. Do uzyskania takiej samej ilości prądu wystarczą ogniwa fotowoltaiczne zamontowane na 1 proc. powierzchni dawnego zbiornika. Instalacja i podłączenie potrwają góra kilka miesięcy, będą działać od ręki. Nie trzeba ich nawet stawiać nad Dnieprem, można to zrobić w innym, bezpieczniejszym regionie* – przekonuje Wasiliuk. Nie trzeba też przywracać zbiornika, by chłodzić Zaporoską Elektrownię Atomową. Obecnie nie działa, w przeciwieństwie do tej w Czarnobylu można ją wyłączać. Na jej potrzeby urządzono specjalny basen, który przylega do obecnego koryta rzeki. Basen jest nietknięty i elektrownię można ponownie włączyć bez konieczności stawiania całego zbiornika.

Debata o tym, czy uwolnić Dniepr, toczyła się nawet w ZSRR. Dotyczyła m.in. planów siódmej tamy. Miała powstać koło morza i ryglować deltę, która zniknęłaby pod taflą zalewu. Także przed obecną wojną Ukraina namyślała się, co robić z radzieckimi ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ zaporami. Teraz zwolennicy powrotu Kachowki odwołują się do argumentów irygacyjnych. Ale i tu jest kłopot. Osady są mocno zasolone. To sprawka spuszczanych wód kopalnianych i naturalnej geologii, w tym płytko leżącego dawnego dna morskiego – woda pompowana z Kachowki transportuje na pola ogromne ilości soli. Gleboznawcy podpowiadają, że uprawy wytrzymają jeszcze z 15 lat podlewania, później grunty staną się zbyt zasolone, by dawać porządne plony. Zresztą pod znakiem zapytania stoi opłacalność orania dawnych pastwisk na stepie. Są powody, by przypuszczać, że efektywność bardziej przychylnego przyrodzie systemu wypasowego była wyższa niż nawadnianych pól.

Trudno będzie reanimować żeglugę. Statki obsługujące Chersoń zostały zniszczone przez Rosjan, którzy uszkodzili także ukraińskie centrum stoczniowe w nieodległym Mikołajowie. Jednak do pływania po kapryśnej rzece nie trzeba jednostek o morskim zanurzeniu. Wystarczą niewielkie barki podobne do tych używanych na Dunaju. Brak zapory w Nowej Kachowce stawia pod znakiem zapytania przyszłość drogi wodnej E40.

Do projektu z wielkim entuzjazmem odnosił się polski rząd ekipy Zjednoczonej Prawicy i urodzony w naddnieprzańskim przysiółku Kopyś białoruski dyktator Alaksandr Łukaszenka. Polscy i białoruscy promotorzy idei pomijali ekonomiczny bezsens przedsięwzięcia. Nie przeszkadzało im to, że udrożnienie E40 – czyli połączenia Bałtyku i Morza Czarnego przez Wisłę, Bug, Muchawiec, Prypeć i Dniepr – byłoby realizacją stalinowskich fantasmagorii oraz spełnieniem ekologicznego koszmaru. Łukaszenka szukał pretekstu do zdewastowania przepięknej doliny Prypeci, plan przewidywał m.in. pogłębienie rzeki pod Czarnobylem. W Polsce należało zbudować ok. 200 km nowych kanałów łączących Bug z Wisłą. Jeszcze w 2021 r. rząd Rzeczpospolitej obiecywał ich rychłe rycie, mimo widma nadchodzącej wojny, powtarzających się susz i braku śnieżnych zim, które mogłyby zapewnić wodę do wypełnienia szlaku. Inną przeszkodą były ukraińskie śluzy na Dnieprze. Zbyt kameralne, by mogły przenosić duże statki. Trzeba by więc tworzyć osobne floty na każdym zbiorniku i przy każdej zaporze zbudować nowe porty do przeładunku, na które zresztą nie ma miejsca, bo są tam już miasta.

Kulturowy ładunek symboliczny

Jakiekolwiek budowanie będzie wymagało jednak uporania się z minami. – *Nie bardzo wiadomo, jak rozminowanie będzie wyglądało, skoro niewybuchy chowają się pod korzeniami drzew, które z każdym rokiem będą stawały się coraz większe. Należałoby je wyrwać lub wyciąć, do czego potrzeba sprzętu, ale ten nie wjedzie, zanim nie usunie się min* – mówi Wasiliuk i dodaje: – *Jestem przekonany, że na zawsze będzie tam już tylko dzika przyroda, od delty po Chortycę.*

Ta wyniesiona wyspa była od XVI w. siedzibą pierwszej Siczy Zaporoskiej, najważniejszego obozu Kozaczyzny, migrującego w miarę potrzeb – kolejne zakładano na innych dnieprzańskich wyspach. Dziś z pierwszej Siczy rozpościera się widok na leżącą 1,5 km w górę rzeki zaporę w Zaporożu, uszkodzoną ostrzałem rosyjskich rakiet balistycznych. Ta sama tama zlikwidowała porohy – kamienne stopnie utrudniające żeglugę i chroniące Kozaków zaporoskich, założycieli wczesnego państwa ukraińskiego, m.in. przed polskimi interwencjami. Kozacy traktowali Dniepr jak swoją świętą rzekę, dającą wolność i niezależność.

Ładunków symbolicznych jest więcej. Starożytni Grecy widzieli w Dnieprze tajemniczą granicę cywilizowanego świata. Był głównym szlakiem handlowym łączącym Skandynawię z Bizancjum, Waregów i Greków. To na jego brzegach i wyspach powstawały grody Rusi Kijowskiej, to nad tą rzeką Ruś została ochrzczona w 988 r.

Dniepr nie pierwszy raz staje się też granicą frontu geopolityczno-ekologicznego. Podczas drugiej wojny światowej dwukrotnie wysadzano zaporę w Zaporożu, tę widoczną z Chortycy. Za pierwszym razem mogło zginąć od 20 do 100 tys. cywilów i żołnierzy radzieckich. Nie zostali ostrzeżeni o decyzji Stalina, który próbował powstrzymać pochód armii niemieckiej. Jest też Czarnobyl sprzed 39 lat. Z tą tylko różnicą, że awaria w tamtejszej elektrowni jądrowej, zresztą leżącej blisko ujścia Prypeci do Dniepru, była przede wszystkim tragedią ludzką. Mieszkańcy musieli opuścić skażony teren i mimowolnie zwrócić go naturze. Podobnym torem mogą się potoczyć losy uwolnionych 300 km dolnego odcinka Dniepru. Analogiczny odcinek Wisły rozciąga się mniej więcej między Gdańskiem a Płockiem.

Odrodzony krajobraz ekologiczny

Mimo trwającego konfliktu na dno zbiornika wyruszyło dotychczas siedem wypraw naukowych. Pierwsi geobotanicy pojawili się już w czerwcu 2023 r., trzy tygodnie po wysadzeniu tamy. – *Prowadzili ich i ochraniali żołnierze. Na rekonesans mieli po 20 minut, dłuższy pobyt mógłby ściągnąć uwagę Rosjan i skłonić ich do ostrzelania ekspedycji* – objaśnia Ołeksij Wasiliuk.

Badacze oglądali krajobraz, który mało kto pamięta. Przechowały go stare mapy i fotografie, m.in. te wysokiej jakości ze zwiadu lotniczego z okresu drugiej wojny światowej. Uchwyciły Dniepr już sowiecki, gdy jego dolinę na dużą skalę i przy masowej mechanizacji wykorzystywano do celów rolniczych, m.in. zbierano siano. Ale i wtedy był to nadal obszar bardzo różnorodny, mozaika łęgów (czyli lasów rosnących nad wodami płynącymi), zakrzaczeń, wydm, klifów, mokradeł, podmokłych łąk i otwartej wody w starorzeczach. Jeszcze wcześniej rosło tam więcej lasów. Podobne miejsca zachowały się na innych odcinkach Dniepru, są w górnych częściach zbiorników zaporowych. Na tamtejszych wyspach trwają jedne z najstarszych ukraińskich dębów, mających i po pół tysiąca lat, które oparły się dawnym powodziom i jakoś nie zostały wycięte w erze szaleńczej regulacji rzeki.

Teraz na ostatnich 300 km Dniepr płynie swoim starym korytem, z zakrętami i zawijasami. Na uwolnionym odcinku ponownie wylewa. Tamę wysadzono w porze wypuszczania przez drzewa nasion. Niesione wiatrem trafiły na podatny, wilgotny i żyzny grunt, po czym przyczyniły się do raptownego zazielenienia dna zbiornika. Obecnie rosną tam miliardy drzew. Tłoczą się w dużym ścisku, który z czasem będzie się zmniejszać, bo zdecydowana większość drzewek przegra rywalizację o światło. Na razie są tam przede wszystkim wierzby i topole. Czas na drzewa innych gatunków przyjdzie później, kiedy woda i zwierzęta, zwłaszcza ptaki, przyniosą np. żołędzie. Wierzby i topole wzrastają bardzo szybko, wiele z nich ma już ponad 7 m wysokości.

Tyle widać z perspektywy dwóch lat, na podstawie krótkich wizji terenowych oraz okiem kamer dronów, podobnych do tych służących do prowadzenia działań wojennych na nieodległym froncie, bo głównie za ich pośrednictwem można podpatrywać odtwarzający się ekosystem.

JĘDRZEJ WINIECKI

eprasa.pl f2ce6bb9a0

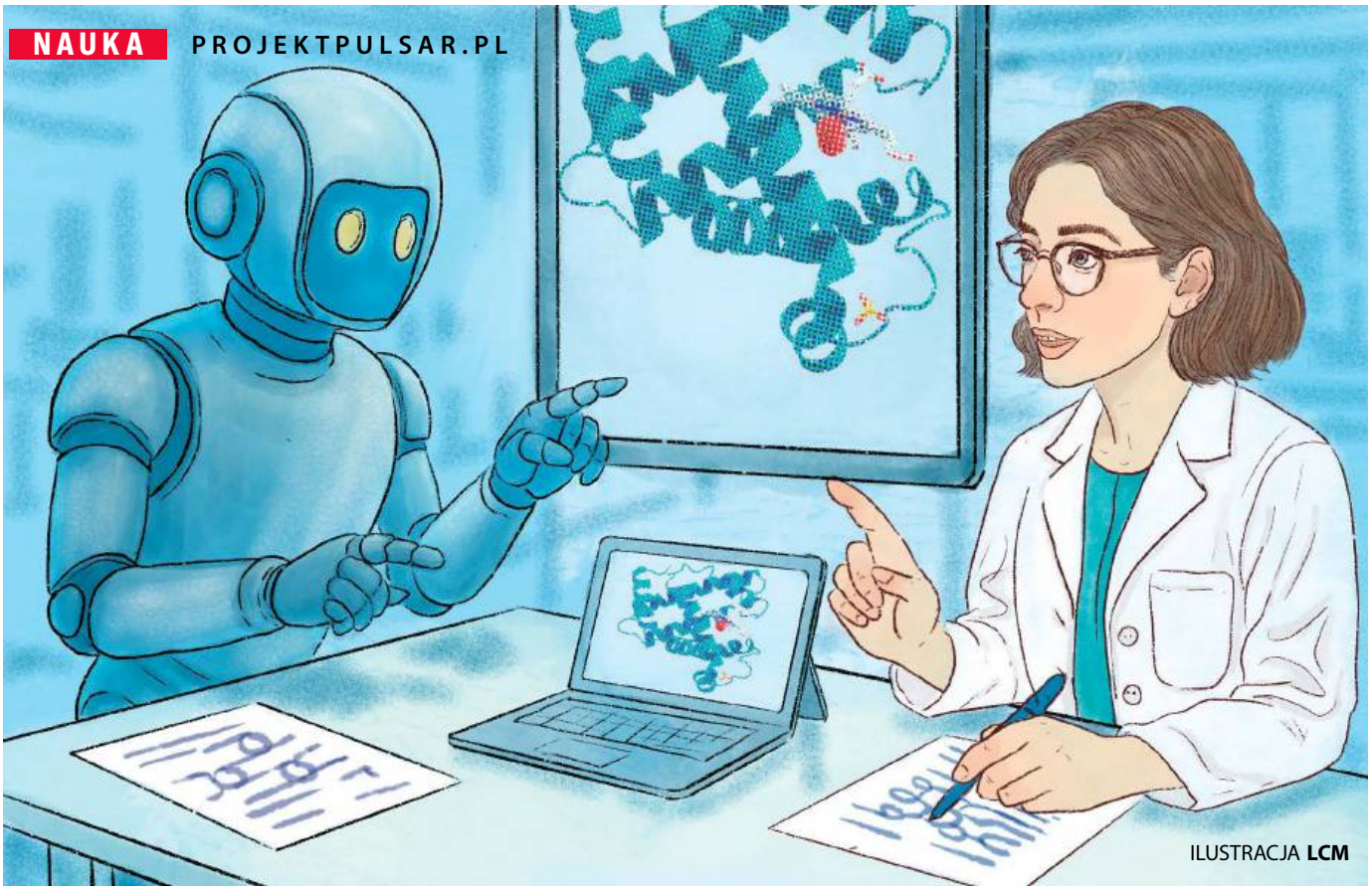

ILUSTRACJA **LCM**

Szansa na kreatywność czy groźba lenistwa? O wpływie AI na naukę i naukowców opowiada dr Jan Kosiński z Europejskiego Laboratorium Biologii Molekularnej (EMBL).

Chat z białkiem

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Bardzo łatwo pogubić się w zalewie wiadomości na temat sztucznej inteligencji, gdzie huraoptymizm i wizje rodem z science fiction mieszają się ze sceptycyzmem, a nawet katastrofizmem. Czy dotyczy to również zastosowań AI w nauce?**

JAN KOSIŃSKI: – Tu także mamy pewien szum informacyjny, aczkolwiek w mojej dziedzinie, czyli biologii molekularnej, AI wywołała prawdziwą rewolucję.

Kiedy się ona zaczęła?

Od międzynarodowego konkursu Critical Assessment of Protein Structure Prediction (CASP). Rywalizują w nim różne metody przewidywania trójwymiarowej struktury białek. Edycje z 2018 i 2020 r. okazały się przełomowe, gdyż AlphaFold – algorytm AI stworzony przez laboratorium Google DeepMind – zdecydowanie pokonał całą konkurencję. W 2024 r. jego główni twórcy – Demis Hassabis i John Jumper – otrzymali Nagrodę Nobla.

Czyli był to moment ChatGPT dla biologii molekularnej?

Można tak powiedzieć, choć AI wykorzystywano w bioinformatyce już wcześniej. Na przykład podczas moich studiów magisterskich i doktoranckich w Polsce używaliśmy – do uzyskiwania różnych informacji o białkach – programów bazujących na bardziej tradycyjnych metodach uczenia maszynowego.

Dlaczego kształt białek jest tak ważny?

W ich przypadku mamy do czynienia z jedną z fundamentalnych zasad biochemii i biologii molekularnej, często określaną jako zależność struktura-funkcja. Chodzi o to, że kształt białka decyduje np. o tym, czy będzie ona dla organizmu pożyteczna, obojętna czy szkodliwa. Białka zazwyczaj łączą się ze sobą, tworząc większe kompleksy. A zrozumienie, jak są ułożone przestrzennie, pozwala badać ich wzajemne oddziaływania oraz całościowe funkcjonowanie „molekularnych maszyn". Dzięki znajomości struktury przestrzennej możemy też projektować mutacje w białkach, aby celowo zmieniać ich aktywność, np. wyłączyć jakiś enzym. Wcześniej takie badania prowadzono trochę po omacku. Obecnie możemy o wiele precyzyjniej planować eksperymenty, co znacznie przyspiesza odkrycia.

Z kolei w kontekście projektowania leków znajomość kształtu białka, np. wirusowego, pozwala zidentyfikować potencjalne miejsca, do których mogłyby się przyłączyć zaprojektowane przez nas cząsteczki chemiczne, i w ten sposób zablokować działanie patogenu.

Wspomniał pan o interakcjach białek z innymi cząsteczkami chemicznymi. Takie łamigłówki ma rozwiązywać AlphaFold 3, udostępniony w 2024 r.

DeepMind zdecydował się pójść w tym kierunku m.in. po konsultacjach ze środowiskiem naukowym, w tym z badaczami z naszego instytutu. To ważny krok naprzód, jednak na obecnym etapie skuteczność tego narzędzia pozostaje dość ograniczona. AlphaFold 3 jakoś sobie radzi, ale to jeszcze nie jest ten poziom, co przy ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ przewidywaniu kształtu pojedynczych białek. Szczególnie widać to w przypadku interakcji z RNA. Co ciekawe, w tym konkretnym obszarze lepsze są programy stworzone przez wyspecjalizowane grupy akademickie – w tym dwie z Polski, Janusza Bujnickiego w Warszawie i Marty Szachniuk w Poznaniu, a nie rozwiązania od DeepMind.

AlphaFold ma też kłopoty z tzw. dynamiką białek. Chodzi o próbę zrozumienia i odtworzenia, jak zmieniają one kształt, aby pełnić swoje funkcje. Rzadko bowiem są sztywnymi, nieruchomymi strukturami. Mogą np. występować w dwóch różnych formach – otwartej i zamkniętej. Dlatego, aby związać się z inną cząsteczką chemiczną i wykonać swoje zadanie, muszą przejść ze stanu zamkniętego do otwartego. Chcemy zrozumieć przebieg tego procesu, ale AlphaFold pokazuje nam tylko jedną statyczną formę, np. zamkniętą. Jest więc mało przydatny, gdy zamierzamy odtworzyć całą trajektorię białka z jednego stanu w drugi.

Będzie to kiedyś możliwe dzięki AI?

Do tego potrzebne jest zejście na poziom cząstek subatomowych w białku, gdyż ich rozkład decyduje o jego właściwościach i dynamicznym zachowaniu. Można to policzyć metodami kwantowymi, ale tylko dla bardzo małych struktur składających się z zaledwie kilku atomów. I tu z pomocą przychodzą sztuczne sieci neuronowe będące podstawą wielu obecnych modeli AI. Najpierw używa się precyzyjnych, ale powolnych metod obliczeniowych dla wielu małych cząsteczek. Następnie, na podstawie uzyskanych wyników, uczy się sieć neuronową, która wykorzystuje uzyskaną w ten sposób wiedzę do przewidywania zachowania większych cząsteczek, w tym białek. Chociaż takie podejście znajduje się jeszcze na bardzo wczesnym etapie badań, to pierwsze publikacje naukowe wskazują, że już udało się uzyskać pewne dane dotyczące dynamiki białek.

W których z pańskich badań AlphaFold okazał się szczególnie pomocny?

Od lat zajmuję się m.in. porami jądrowymi. To ogromnie ważne struktury w naszych komórkach – kanały w otoczce jądra komórkowego działające jak precyzyjny strażnik. Kontrolujący, które cząsteczki mogą do niego wejść, a które je opuścić. To jedna z największych i najbardziej złożonych maszynerii białkowych, składająca się z około tysiąca pojedynczych białek. Przez lata wraz z moimi współpracownikami próbowaliśmy stworzyć jego kompletny biochemiczny model, co przypominało układanie trójwymiarowych puzzli, w których stale brakowało wielu kluczowych elementów. Dostarczył je właśnie AlphaFold. Łącząc nasze dane eksperymentalne z mocą obliczeniową AI, stworzyliśmy model dwukrotnie lepszy niż wszystko, co było dostępne wcześniej. Obecnie jest gotowy w ok. 70 proc.

Ciekawi mnie, jak wygląda codzienna praca naukowca z AlphaFold.

W mojej grupie badawczej korzystamy z tego programu na co najmniej trzy sposoby, w zależności od tego, jak złożony jest problem, który chcemy rozwiązać. Pierwszy i najprostszy – dostępny dla każdego – to publiczna baza danych AlphaFold Database. Powstała dzięki współpracy DeepMind z EMBL, a działa jak stosunkowo prosta strona internetowa: wpisujemy nazwę białka i otrzymujemy jego trójwymiarowy model. Jest to w rzeczywistości plik z listą atomów i ich współrzędnych w przestrzeni. Człowiek nie jest w stanie samodzielnie wyobrazić sobie kształtu białka. Dlatego używamy specjalistycznych programów wizualizujących jego strukturę – np. jako charakterystyczne kolorowe wstążki, podobne do tych, które można było zobaczyć w mediach przy okazji prezentowania fragmentów koronawirusa SARS-CoV-2. Ta baza danych ma jednak ograniczenie – zawiera tylko modele pojedynczych białek.

Po drugi sposób sięgamy, by zbadać, jak białka tworzą kompleksy lub jak łączą się z kwasami nukleinowymi, takimi jak DNA. W tym celu DeepMind udostępnił specjalny serwer internetowy. Możemy tam przesłać sekwencje cząsteczek, a komputery wykonują obliczenia i w ciągu około pół godziny dostarczają gotowy model interakcji.

Trzecia metoda jest zarezerwowana dla najbardziej zaawansowanych i wymagających obliczeniowo zadań, np. gdy modelujemy bardzo duże kompleksy białkowe lub musimy przeprowadzić tysiące symulacji. W tym celu pobraliśmy program AlphaFold i zainstalowaliśmy go na naszych instytutowych komputerach. Dodam jeszcze ważny szczegół – korzystanie z AlphaFold jest całkowicie darmowe.

Czy odkrycia, których dokonano dzięki temu programowi, znalazły już jakieś praktyczne zastosowania, np. w medycynie?

Na nowe leki trzeba będzie poczekać. Proces ich wprowadzania na rynek jest długi i skomplikowany. Wiem natomiast, że powstało sporo firm, które próbują komercjalizować rezultaty użycia AlphaFold, m.in. w celu tworzenia zupełnie

Rodzina naukowych modeli AI (z laboratorium Google DeepMind)

AlphaFold (2018) – do przewidywania trójwymiarowych struktur białek. Kolejne wersje rozszerzyły zakres i dokładność przewidywań. Do 2025 r. liczba użytkowników przekroczyła milion.

AlphaGeometry (2024) – do rozwiązywania złożonych problemów geometrii euklidesowej na poziomie Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej (IMO). Osiąga wyniki zbliżone do złotych medalistów IMO. Powstała również ulepszona wersja AlphaGeometry2.

AlphaProof (2024) – do automatycznego dowodzenia twierdzeń matematycznych i weryfikacji formalnej dowodów. W połączeniu z AlphaGeometry2 rozwiązał cztery z sześciu zadań IMO z 2024 r.

GenCast (2024) – do prognozowania pogody; podczas testów przewyższał dokładnością tradycyjne systemy, zwłaszcza w przewidywaniu ekstremalnych zjawisk atmosferycznych i wiatru.

AlphaGenome (2025) – do analizy niekodujących fragmentów ludzkiego genomu, które stanowią ok. 98 proc. całego DNA. Umożliwia przewidywanie funkcji tych regionów oraz ich wpływu na regulację genów, co ma na celu przyspieszenie badań nad zrozumieniem chorób genetycznych i nowotworowych.

AlphaEvolve (2025) – do automatycznego projektowania i optymalizacji algorytmów naukowych i inżynieryjnych. Wykorzystywany m.in. przy rozwiązywaniu otwartych problemów matematycznych i optymalizacji procesów w komputerowych centrach danych.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Dr **Jan Kosiński** jest biologiem i bioinformatykiem, od 2017 r. kieruje grupą badawczą w Europejskim Laboratorium Biologii Molekularnej (EMBL) w Hamburgu. Ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim, a doktorat uzyskał w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej. Jego zespół zajmuje się modelowaniem struktur makrocząsteczek oraz badaniem cykli infekcyjnych wirusów i pasożytów. Badania te przyczyniają się m.in. do lepszego zrozumienia przebiegu infekcji i mogą stworzyć podstawy do projektowania nowych terapii.

Europejskie Laboratorium Biologii Molekularnej to międzynarodowa organizacja powstała w 1974 r. Prowadzi i koordynuje badania w dziedzinie nauk o życiu. Zrzesza 29 państw członkowskich, w tym Polskę, i obejmuje sześć placówek (w Niemczech, Wielkiej Brytanii, we Francji, Włoszech i w Hiszpanii – więcej informacji: www.embl.org).

nowych, specjalnie zaprojektowanych białek o określonych funkcjach. Jest też inne, być może niedoceniane, ale niezwykle ważne praktyczne zastosowanie AI – ogromny wzrost wydajności badań naukowych. Nasi studenci, zamiast poświęcać lata na tworzenie hipotez badawczych metodą prób i błędów, mogą teraz uzyskać gotowy model białka i w ciągu tygodnia sformułować precyzyjną hipotezę. To fundamentalna zmiana.

Czy kolejny przełom przyniesie AI, która nie tylko przewidzi strukturę przestrzenną białka, ale na tej podstawie określi jego właściwości?

Rzeczywiście, nadal robią to ludzie, posługując się tradycyjnymi metodami, czyli przede wszystkim porównując nową strukturę z bazami danych już znanych białek, by na podstawie podobieństw wnioskować o możliwej funkcji. Czy zrobi to np. AlphaFold 4 lub 5? Zobaczymy.

DeepMind specjalizuje się również w dziedzinie tzw. dużych modeli językowych, czyli algorytmów, które są podstawą m.in. Gemini i ChatGPT. Mogą one analizować i wyciągać wnioski z ogromnych ilości tekstu. Przypuszczam więc, że zamiast tworzyć program, który podaje funkcję białka w formie prostej etykiety, np. „enzym", DeepMind pójdzie o krok dalej. Wyobrażam sobie system, który z jednej strony „popatrzy" na trójwymiarowy model białka, a z drugiej „przeczyta" wszystko, co kiedykolwiek opublikowano na temat podobnych cząsteczek, ich roli w komórce czy chorobach itd. Łącząc te dwa źródła danych – obraz 3D i tekst – taki zaawansowany model językowy mógłby samodzielnie formułować gotowe hipotezy badawcze.

Czy dzięki AI można tworzyć zupełnie nowe białka, niewystępujące w przyrodzie?

Tak. Powstały zmodyfikowane wersje AlphaFold, można by je nazwać „odwróconymi", które są wykorzystywane właśnie do tworzenia zupełnie nowych białek. Co więcej, jest to już na tyle rozwinięta dziedzina, że powstały firmy próbujące komercjalizować takie odkrycia. Samo projektowanie nowych białek to zresztą obszar nauki o ugruntowanej pozycji, uhonorowany w 2024 r. Nagrodą Nobla dla amerykańskiego biochemika Davida Bakera.

Mówiliśmy o jasnych stronach AI w nauce. Czy obawia się pan tych ciemnych?

Instytucje finansujące naukę mogą zacząć kierować zbyt dużą część środków na projekty związane ze sztuczną inteligencją. To groźne, ponieważ AI nie zastąpi kluczowych metod eksperymentalnych w dziedzinie badania białek, czyli takich technik, jak mikroskopia elektronowa czy krystalografia rentgenowska. Są one wciąż niezbędne do weryfikacji tego, co proponują modele komputerowe, a także do badania zjawisk, z którymi AI sobie nie radzi, np. wspomnianej dynamiki białek.

Media wspominają też o groźbie ułatwienia budowy broni biologicznej.

Nie uważam, że stanowi to większe zagrożenie niż tradycyjne metody, ponieważ istnieją prostsze i sprawdzone sposoby, by np. zwiększyć zakaźność lub szkodliwość istniejącego wirusa. Duże niebezpieczeństwo widzę natomiast w sferze samego procesu badawczego i wpływu AI na naukowców. Chodzi mi o ryzyko pewnego lenistwa intelektualnego. Narzędzia takie jak ChatGPT są świetne w wyszukiwaniu informacji, choć mogą pominąć kluczowe publikacje. Musimy zatem edukować siebie i studentów, by zawsze weryfikować wyniki, szukać źródeł i nie traktować AI jako ostatecznej wyroczni. Zauważyłem też, że teksty naukowe wygenerowane przez duże modele językowe, choć na pierwszy rzut oka wyglądają dobrze, często przy głębszej analizie okazują się puste i nie wnoszą wiele do dyskusji naukowej.

Nie boi się pan projektów, takich jak „AI labs", gdzie niemal cały proces naukowy zostaje zautomatyzowany – od sformułowania hipotezy badawczej, poprzez jej eksperymentalne przetestowanie, aż po przygotowanie publikacji naukowej i produktu?

Wręcz przeciwnie, uważam je za niezwykle fascynujące. I nie jest to już sfera science fiction. W EMBL pracujemy nad projektem, który nazywamy „Lab in the loop", czyli zautomatyzowanym laboratorium – chodzi o połączenie naszych zaawansowanych mikroskopów z systemami sztucznej inteligencji. Na podstawie analizy obrazów będzie ona podejmować decyzje, gdzie mikroskop ma wykonać kolejne zdjęcie, a następnie tworzyć gotowe hipotezy badawcze.

Jednak nawet w tak zautomatyzowanym świecie naukowcy wciąż będą potrzebni. Choć nasza rola chyba właśnie ewoluuje w kierunku definiowania ogólnych problemów badawczych, nadzorowania i kierowania pracą maszyn oraz podsumowywania i interpretowania wyników, które wygenerują. Ludzka kreatywność, zwłaszcza wspomagana przez AI, wciąż wygrywa, choć po raz pierwszy w historii ma realną konkurencję.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Polecamy również nasze cyfrowe wydanie specjalne **„SZTUCZNA INTELIGENCJA"**. Dostępne na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

© KINGA LUBOWIECKA/EMBL

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Miasto Iskenderun w płd. Turcji po trzęsieniu ziemi w lutym 2023 r.

Drżysz? Pisz!

Miliardy smartfonów na całym globie mogą namierzać wstrząsy tektoniczne i przed nimi ostrzegać. Sejsmolodzy już taką sieć testują.

ANDRZEJ HOŁDYS

Trzęsienie ziemi to wyjątkowo podstępny kataklizm – nie wysyła wyraźnych sygnałów ostrzegawczych. Najnowszy przykład z najbliższego nam sejsmicznego podwórka to potężny wstrząs z 6 lutego 2023 r. w południowej Turcji i północnej Syrii. Jego magnitudę oszacowano na 7,8, czyli dawka uwolnionej niszczycielskiej energii była ok. 500 razy większa niż podczas eksplozji bomby atomowej zrzuconej na Hiroszimę. Epicentrum znajdowało się zaledwie 30 km od dwumilionowego miasta Gaziantep. Zginęło ok. 60 tys. osób. Sam fakt, że do wstrząsu doszło akurat tam, nie zaskoczył naukowców. Wszak Gaziantep leży w strefie aktywnej sejsmicznie. Badacze byli za to zdumieni siłą nokautującego ciosu. Żaden z instrumentów pomiarowych nie uprzedził o zamiarach natury. Skały poruszyły się nagle.

Choć nie potrafimy przewidzieć dokładnie trzęsienia ziemi, wciąż możemy ocalić wiele osób – uważa sejsmolog Richard Allen, profesor University of California w Berkeley. W jaki sposób? Niemal natychmiast identyfikując zdarzenie, dokonując wstępnej analizy, a następnie alarmując ludzi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, aby przynajmniej zdążyli się ukryć. Symulacje skutków dużych trzęsień w wielkich miastach wykazują, że wystarczy kilkadziesiąt sekund, aby uratować życie tysiącom ludzi. Takie systemy, bazujące na gęsto rozmieszczonych sejsmografach, chronią już m.in. Mexico City, Bukareszt, Japonię i pacyficzne stany USA. Marzenie Allena o globalnej sieci ostrzegawczej zaczyna się spełniać.

Uwalniana podczas trzęsień energia wędruje przez skały w postaci fal podłużnych (P) i poprzecznych (S). Obie powstają w tym samym czasie, ale na tym podobieństwa się kończą. Pierwsze, podobnie jak fale dźwiękowe, są sprężyste. Poruszają się względnie szybko, ale nie niosą ze sobą dużej energii. Drugie, o właściwościach zbliżonych do fal oceanicznych, wędrują nieco wolniej, lecz to one właśnie niosą większość energii i powodują największe straty, poruszając gruntem zarówno w pionie, jak i w poziomie.

Co istotne, fale podłużne przyjmują inny kształt w zależności od wielkości trzęsienia. Gdy jest słabe, mają względnie małą amplitudę oraz wysoką częstotliwość. Nadejście silnego trzęsienia jest anonsowane impulsem o dużej amplitudzie i mniejszej częstotliwości. System ostrzegawczy mógłby na podstawie sygnałów z wielu urządzeń ustalić błyskawicznie siłę wstrząsu i zidentyfikować epicentrum, a następnie wysłać ostrzeżenia, które do ludzi dotarłyby przed nadejściem fali S.

Aplikacja MyShake

Profesjonalna aparatura zapewnia wysoką jakość pomiaru, ale nie można jej ustawić na każdej ulicy. Można za to zwrócić się do mieszkańców wyposażonych w smartfony, aby niezwłocznie przesłali informacje o drżeniach gruntu, które odczuwają. Na taki pomysł wpadł Rémy Bossu z Europejsko-Śródziemnomorskiego Centrum Sejsmologicznego (EMSC). Na stronie internetowej EMSC dodał zakładkę umożliwiającą wysyłanie informacji o trzęsieniu oraz zdjęć dokumentujących jego skutki. „Byliśmy zaskoczeni: po każdym silniejszym wstrząsie zalewała nas fala wpisów" – opowiada. Jego zespół za pomocą specjalnego modelu analizował te doniesienia, a następnie w ciągu paru minut opracowywał pierwszą wersję mapy drżeń

© DOGA AYBERK DEMIR/SHUTTERSOCK, DUNCAN SELBY/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl f2ce6bb9a0

i wyznaczano prawdopodobne strefy największych zniszczeń.

Ojczyzną „sejsmologii obywatelskiej" są jednak USA. Już w 1997 r. w aglomeracji San Francisco ruszyła kampania „Did You Feel It?", zainicjowana przez Służbę Geologiczną Stanów Zjednoczonych (USGS). Za pośrednictwem internetu zbierano od ludzi informacje o intensywności odczuwanych przez nich wstrząsów sejsmicznych. Rok później akcja objęła całą Kalifornię, a w 1999 r. była już projektem ogólnokrajowym. W innym programie – Quake-Catcher – do domowych laptopów ochotników podłączano niedrogie akcelerometry. Mierzyły drżenia gruntu i automatycznie przesyłały te informacje do sejsmologów.

Jeszcze dalej – i tu opuszczamy teren zarezerwowany dla „nauki obywatelskiej", a wkraczamy w sferę „crowdsourcingu" – zmierzała propozycja przedstawiona w 2015 r. w czasopiśmie „Science Advances" przez grupę naukowców z USGS, którzy proponowali wykorzystanie odbiorników GPS w smartfonach. Sygnał błyskawicznie docierałby do komputerów obliczających siłę wstrząsu, a kilka sekund później do wszystkich telefonów w regionie trafiałoby ostrzeżenie o kataklizmie. „Na razie nasz pomysł to może futurologia, ale czasy, gdy telefony komórkowe będą namierzały trzęsienia ziemi i alarmowały o nich, są już bardzo bliskie" – deklarowała Sarah Minson z USGS.

Jej słowa okazały się prorocze, tyle że do przełomu doprowadziły nie odbiorniki GPS, lecz najzwyklejsze akcelerometry znajdujące się w niemal każdym współczesnym smartfonie. Zaczęło się od dość banalnych testów laboratoryjnych. Richard Allen i jego doktorant Qingkai Kong kładli telefony komórkowe na stołach wstrząsowych, które symulowały drżenia sejsmiczne. Byli ciekawi, czy i co można w ten sposób zmierzyć.

Tak narodziła się aplikacja MyShake. Nią z kolei zainteresował się Marc Stogaitis, programista z Google, którego zespół uczestniczył w zorganizowanym przez firmę hackathonie. Zadaniem uczestników było wyciśnięcie jak najwięcej informacji o aktywności użytkowników telefonów na podstawie danych z zainstalowanych w nich czujników, w tym akcelerometrów. Sprawdzano, czy urządzenia mobilne można wykorzystać do wykrywania wypadków samochodowych, tornad i trzęsień ziemi. W pierwszym przypadku odpowiedź była pozytywna, w drugim – negatywna, w trzecim – raczej pozytywna, ale wymagająca dalszych badań. Do nich Stogaitis zaprosił Allena i Konga.

Badacze z Berkeley zostali „wizytującymi pracownikami naukowymi" (ang. visiting fellows) w Google. Mieli stworzyć globalny system monitorowania i ostrzegania przed trzęsieniami oparty na własnej aplikacji, którą zresztą roztropnie opatentowali. Wcześniej bowiem MyShake zdążyła już przejść chrzest bojowy. W ciągu trzech lat od premiery w lutym 2016 r. ściągnęło ją ponad 330 tys. ludzi. W tym czasie namierzyła ponad 900 trzęsień ziemi. Ich lokalizację i wielkość podawała w ciągu 5–7 s, a alarmy rozsyłała w czasie 1–5 s. W jednej z publikacji naukowcy poddali analizie trzęsienie ziemi w Nepalu w kwietniu 2015 r. (prawie 9 tys. ofiar śmiertelnych). Doszli do wniosku, że aplikacja taka jak MyShake, gdyby ściągnęło ją wystarczająco dużo osób, mogłaby ostrzec mieszkańców Katmandu ok. 20 s przed nadciągającą falą S.

W Google postanowiono działać z większym rozmachem. Aplikację zastąpiono funkcją wbudowaną do systemu operacyjnego Android. Ponieważ działa na nim dwie trzecie smartfonów na świecie, liczba mobilnych urządzeń rejestrujących trzęsienia wzrosłaby w krótkim czasie z setek tysięcy do miliardów. W 2020 r. zaprezentowano pierwszą wersję systemu ostrzegawczego – Android Earthquake Alert (AEA). Rok później zaczęto rozsyłać alarmy w Nowej Zelandii i Grecji. Niedługo później dołączyły Turcja i Filipiny.

Dziś system jest aktywny w 98 krajach, a w połowie lipca tego roku Allen, Kong i zespół Stogaitisa opublikowali na łamach „Science" artykuł podsumowujący jego funkcjonowanie w latach 2021–24. Czytamy w nim, że AEA namierzyła w tym czasie 10 tys. trzęsień ziemi, a w przypadku silniejszych wstrząsów – o magnitudzie 4,5 i większej – wysyłała ostrzeżenia do smartfonów. W ciągu miesiąca ostrzegała średnio 18 mln osób. Ci, którzy chcieli, mogli także wysłać informację zwrotną z opisem przebiegu wstrząsów w miejscu ich pobytu. Swój artykuł autorzy zakończyli śmiałą konkluzją, że ich system ostrzegania przed wstrząsami dorównuje tym najlepszym opartym na sejsmografach, takim jak kalifornijski czy japoński.

Kilka rzeczy, dość istotnych, pozostało jednak do poprawienia. System wciąż radzi sobie słabo z tymi silnymi wstrząsami, które zaczynają się niepozornie, aby dopiero po 20–30 s przeobrazić się w kataklizm. Tak było w przypadku tureckiego trzęsienia sprzed ponad dwóch lat: Google uznał je za niezbyt silny epizod i nie wysłał alarmu. AEA zareagowała na podstawie względnie słabych drgań z pierwszych 10 s, a najgorsze zaczęło się później.

Po tej porażce zmieniono algorytmy i teraz system aktualizuje informacje przez kolejne 30 s. Czy jednak wszczynać alarm przy każdym, choćby słabym wstrząsie, czy też poczekać na to, co będzie dalej? W pierwszym przypadku wiele alarmów okaże się przedwczesnych, co oznacza, że z czasem ludzie zaczną je lekceważyć. W drugim – alarmy mogą docierać już po przejściu niszczycielskiej fali sejsmicznej. Badacze mają więc nad czym myśleć. Już teraz jednak optymistycznie stwierdzają: „W skali globu to przede wszystkim smartfony staną się naszymi aniołami stróżami". ■

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Protokoły zbrodni

Sanitariuszki wychodzą z Warszawy po kapitulacji powstania, październik 1944 r.

MAŁGORZATA WRYK

Pod kryptonimem „Iskra-Dog" kryła się akcja zbierania na gorąco relacji o niemieckich zbrodniach w okresie powstania warszawskiego. Przez lata była zapomniana, a jej pomysłodawcę skazano w Polsce Ludowej. Dziś akcję opisuje jego córka.

Jest 6 sierpnia 1946 r., trwa sesja poranna Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze. Przesłuchiwany jest generał-pułkownik Waffen-SS Paul Hausser. Nie występuje w roli oskarżonego, lecz świadka. Zeznaje, że stosunki Waffen SS z ludnością okupowanych krajów były poprawne, że jego oddziały dobrze traktowały miejscową ludność, że zarzuty o brutalność wobec cywilów są bezpodstawne.

Przełom przychodzi, kiedy prowadzący przesłuchanie brytyjski oskarżyciel mjr Elwyn Jones odczytuje trzy zaprzysiężone oświadczenia z oficjalnego polskiego sprawozdania „Zbrodnia niemiecka w Warszawie w 1944 r.". Wszystkie dotyczą bestialstwa SS. Świadek Aleksandra Kraczkiewicz opisała podpalanie domów na Woli i masowe rozstrzeliwanie jej mieszkańców: „...pada seria strzałów – wrzask, jęki – padam zraniona, tracąc przytomność. Po pewnym czasie ocknęłam się: słyszę, jak dobijają rannych – nie poruszam się, udaję zabitą". Stanisław Dylak zrelacjonował zbrodnie SS na chorych i rannych pacjentach szpitala przy ul. Długiej: „...dwóch morderców wpadło do sali, jeden z nich trzymał świecę w ręku, bo było już ciemno, drugi trzymający pistolet strzelał z okrzykiem »bandyci«, zabijając leżących w łóżkach". Maria

© FORUM, ZBIORY RODZINNE MAŁGORZATY WRYK (2)

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Bukowska zeznała, jak wyglądał przemarsz jeńców w kolumnie ewakuacyjnej: „...podjeżdża auto, wysiadają oficerowie SS, przyglądają się wychodzącym i zabierają z szeregów trzy ładne młode dziewczęta... Auto odjeżdża, dziewczęta krzyczą, bronią się przed czułościami oficerów SS. Upadła jakaś staruszka, iść dalej nie może. Oficer SS strzela jej w tył głowy".

Niecałe dwa miesiące później Trybunał Sprawiedliwości uzna Waffen-SS za organizację zbrodniczą, a generał ze świadka stanie się oskarżonym i zostanie skazany na dwa lata więzienia.

Twórca materiałów obciążających Waffen-SS dostał wyrok trzy razy wyższy niż hitlerowski dygnitarz. Edward Serwański, pseudonim Mietek, żołnierz AK, historyk i prawnik, aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w 1948 r., został w Polsce skazany na siedem lat więzienia.

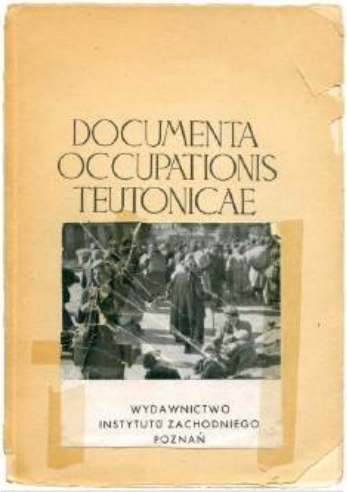

Edward Serwański, prawnik, historyk i żołnierz AK, redaktor wstrząsających zeznań, w Polsce Ludowej dostał trzy razy wyższy wyrok niż oskarżony w nich esesman

Dokumenty wykorzystane w Norymberdze to plon spektakularnej akcji konspiracyjnej pod kryptonimem „Iskra-Dog", rozpoczętej w czasie powstania warszawskiego i kontynuowanej po jego upadku. Jej pomysłodawcą i koordynatorem był Serwański, członek organizacji niepodległościowej „Ojczyzna". Cel – udokumentowanie zbrodni niemieckich popełnionych na mieszkańcach stolicy. Pomysł wziął się z doświadczeń „Mietka", uczestnika powstania warszawskiego. W czasie marszu w kolumnie ewakuacyjnej, kiedy był, jak to określił, „pędzony jak bydło i zaszczuty strachem", na ulicach płonącej Woli widział bestialstwa hitlerowskich oddziałów. Pierwsze, co zrobił po ucieczce z dworca w Pruszkowie, to spisał relację własną i kilka zasłyszanych historii uciekinierów. Wtedy zrodził się plan brawurowej, bo prowadzonej na żywo, w wirze wojny, pod okiem wroga, operacji zbierania świadectw.

Zarówno kryptonim „Iskra-Dog", jak i cała koncepcja zostały szybko zatwierdzone od strony naukowej przez profesora Uniwersytetu Poznańskiego Zygmunta Wojciechowskiego, jednego z kierowników podziemnej, niepodległościowej, wyrosłej z myśli zachodniej organizacji „Ojczyzna", współpracującej z Delegaturą Rządu Londyńskiego na Kraj. Profesor wraz z innymi działaczami niepodległościowymi z Wielkopolski przebywał od 1941 r. w podwarszawskim Milanówku, gdzie „ojczyźniacy" znaleźli schronienie przed terrorem panującym w Warthegau (Kraju Warty) wcielonym do Rzeszy Niemieckiej.

Chociaż Wojciechowski zaaprobował akcję i pomógł nadać jej kierunek naukowo-badawczy, a także zorganizował podstawy finansowania z Delegatury Rządu na Kraj, to jednak ta nietypowa operacja napotkała na liczne zastrzeżenia ze strony prawników i historyków „Ojczyzny". Gorące spory prowadzono na temat samej koncepcji i zakresu badawczego, strony prawnej i wymogów bezpieczeństwa.

Kierownictwo „Ojczyzny" miało zastrzeżenia do jednostronności źródeł, anonimowości ankietowanych i kłopotów z weryfikacją danych. Ale ostatecznie prawnicy i historycy, zdając sobie sprawę z tego, że „materiałem badawczym" są w tym przypadku ludzie, świadkowie toczących się wydarzeń, a także ich bezcenna tzw. świeża pamięć, zgodzili się, żeby zbierać ich świadectwa. Zapisywano je jako zeznania w formie oficjalnych protokołów, aby w sądach po wojnie mogły służyć jako materiał dowodowy. „Mietek" świadomy niebezpieczeństwa („jeden zły krok, jedna nieuwaga, nieostrożność – znaczyły tyle co śmierć") wprowadził kryptonimy dla osób i miejscowości, a nazwiska tych ankieterów i ankietowanych, którzy zdecydowali się je podać, szyfrował w postaci ciągów liczbowych.

Szef akcji stworzył w Brwinowie biurocentralę, do której spływały ankiety z „melin", czyli konspiracyjnych punktów badawczych – lokali i kwater. Była to, jak stwierdził, „płynąca rzeka straszliwych skarg i niezmiernego bólu". Instrukcje dla zbierających materiały i protokołujących, tzw. okólniki, w których zawarto cele i metody pracy, były gotowe już 20 sierpnia, cały czas je uaktualniano, dostosowywano do „pulsu pracy". Instrukcje miały formę kwestionariuszy, według których ankieterzy zbierali relacje od świadków wydarzeń. Drukowały je maszynistki (na etacie była jedna, kilka innych pracowało społecznie, podobnie jak prawie cały zespół ochotników). Kopie za pośrednictwem łączników wysyłano w teren. Ten zaś obejmował coraz większy obszar: najpierw miejscowości w promieniu 50 km od Warszawy, a potem coraz bardziej odległe, jak Skierniewice, Łowicz, a nawet Częstochowa i Piotrków Trybunalski, razem ok. 15.

Zespół powiększał się błyskawicznie, wciąż trzeba było nowych sił: ankieterów, łączniczek, maszynistek i pracowników technicznych. Kilkunastoosobowa grupa rozrosła się do kilkudziesięciu osób, w kulminacyjnym punkcie dochodziła do setki. Byli w niej przedstawiciele wszystkich kręgów społeczeństwa: naukowcy, nauczyciele, studenci, pielęgniarki, urzędnicy, ksiądz prefekt, technicy, rolnicy, robotnicy. W prace angażowały się całe pokolenia, od młodzieży do babć i dziadków.

Za fundusze uzyskane od rządu londyńskiego kupiono rower, na którym „Mietek" objeżdżał daleko od siebie położone „meliny", maszynę do pisania, papier kancelaryjny sprowadzany aż z Częstochowy, a także opłacano zespół.

W ramach akcji od sierpnia 1944 r. do stycznia 1945 r. zebrano ogółem 314 świadectw zbrodni niemieckich w Warszawie. Opisują one konkretne sceny rozgrywające się w poszczególnych dzielnicach stolicy: rzeź Woli, masowe egzekucje cywilów, grabieże, gwałty, znęcanie się nad wziętymi do niewoli. Mówią również o walkach powstańczych i zbrodniczych metodach ich tłumienia, o eksterminacji ludności, akcjach wysiedleńczych i niszczeniu stolicy przez okupanta.

Dokumenty „Iskry" są różnorodne, jeśli chodzi o formę zapisu, obszerność i styl relacji. Oprócz formalnych protokołów są to również dzienniki, pamiętniki, sprawozdania, zapiski ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ i wspomnienia. Dostarczali je sami mieszkańcy Warszawy, którzy dowiedzieli się o akcji. Zostały zaszyfrowane przez szefa „Iskra-Dog" podobnie jak oficjalne protokoły.

Ankiety oryginalne, ręcznie spisane przez ankieterów, ze względów bezpieczeństwa niszczono zaraz po opracowaniu ich przez „Mietka". Przygotowane przez niego protokoły przepisywano na maszynie, rejestrowano, sygnowano i zaopatrywano w szyfr. I na koniec – ukrywano, zakopując w ziemi. Umieszczano je w słojach, puszkach i butelkach, później, już pod fachowym nadzorem konserwatora, złożono w konwiach na mleko i zakopano koło remizy strażackiej w Brwinowie wraz z aktami sekretariatu. Przeleżały tam nienaruszone, a po przejściu styczniowej ofensywy Armii Czerwonej zostały przewiezione do świeżo utworzonego wiosną 1945 r. Instytutu Zachodniego.

Latem 1945 r. część protokołów powstańczych opracowana przez Serwańskiego była gotowa do druku jako książka „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.". Instytut zamierzał wysłać ją do tworzonego właśnie w Norymberdze Trybunału Sprawiedliwości.

Wskutek zmieniającej się sytuacji politycznej sprawa zaczęła się jednak komplikować. Latem 1945 r. państwa zachodnie cofnęły uznanie dla emigracyjnego rządu w Londynie, a jednocześnie uznały świeżo utworzony, kontrolowany przez komunistów Rząd Jedności Narodowej. W tej nowej rzeczywistości Delegatura Rządu na Kraj nie była już zainteresowana wydaniem książki. Co więcej, Departament Informacji krytycznie oceniał propozycję Wojciechowskiego, złożoną w lutym 1945 r. premierowi Rządu Tymczasowego Edwardowi Osóbce-Morawskiemu, zalegitymizowania Instytutu Zachodniego, który – w warunkach konspiracyjnych – działał już od 1944 r. w Milanówku pod Warszawą.

Serwański interweniował u dyrektora Departamentu Informacji Delegatury Rządu z argumentacją, że jeśli nie będzie zgody na druk, to nastąpi „wielkie niebezpieczeństwo zdewaluowania całej naszej pracy i wielkiego wysiłku". Londyn uznał ten argument i opublikowana przez Instytut Zachodni w Poznaniu jako drugi tom serii wydawniczej „Documenta Occupationis Teutonicae" książka późną wiosną 1946 r. trafiła do Norymbergi.

Na temat wykorzystania jedynego polskiego źródła o zbrodniach niemieckich na cywilach w czasie powstania warszawskiego na sali Trybunału nie napisali – podczas procesu i przez całe lata po jego zakończeniu – ani polscy prokuratorzy, ani polscy dziennikarze obecni w tym dniu w słynnej sali rozpraw w Pałacu Sprawiedliwości. Nie wspomnieli o tym epizodzie nawet najbardziej wzięci norymberscy korespondenci, jak Karol Małcużyński.

Szukając odpowiedzi na pytanie dlaczego, warto przypomnieć ówczesne uwarunkowania historyczne. Polska nie miała w Norymberdze statusu oskarżyciela, ponieważ umowa londyńska z 8 sierpnia 1945 r. przewidywała formalny udział w pracach Trybunału jedynie przedstawicieli czterech zwycięskich mocarstw: Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji i Rosji. Co więcej, powstanie warszawskie nie stanęło jako osobna kwestia prawna na wokandzie Norymbergi, a za przygotowanie dowodów zbrodni na okupowanych ziemiach polskich była odpowiedzialna Rosja. W jej interesie zaś nie było przedstawianie opisu stłumienia powstania, bo nie udzieliła walczącej Warszawie pomocy. Rząd Jedności Narodowej traktował rozprawę jako okazję do zalegitymizowania swojej władzy. Tym samym nie był przychylny przedstawieniu kwestii powstania w „londyńskiej narracji". Niektórzy z powstańców już wtedy siedzieli w Polsce w aresztach w oczekiwaniu na procesy albo byli maltretowani w więzieniach jako wrogowie ludu. Nie bez znaczenia był fakt, że cenzurowano relacje korespondentów z procesu.

Już po zakończeniu procesu Instytut Zachodni – wydawca książki – pozostawał pod lupą poznańskiego UB, który podejrzewał środowisko „Ojczyzny" o kontynuowanie konspiracyjnej działalności. Serwański przewidująco już w 1946 r., nie chcąc narażać siebie i konspiracyjnej ekipy, nie podpisał wstępu do książki swoim nazwiskiem i nawet nie wymienił nazwy akcji. Ta ostrożność nie uchroniła go przed aresztowaniem i oskarżeniem o „działanie z zamiarem zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego".

Dyrekcja Instytutu w obawie przed rewizją i konfiskatą materiałów, a także po to, by nie pogarszać sytuacji „Mietka", podjęła dramatyczną decyzję o zniszczeniu części protokołów, w których było najwięcej wzmianek o wymowie antysowieckiej. Nie polepszyło to sytuacji szefa „Iskry", którego sfingowany proces w Wojskowym Sądzie Rejonowym zakończył się wyrokiem siedmiu lat więzienia, zredukowanym po amnestii do trzech i pół roku.

Serwański przez ponad 30 lat był inwigilowany i nękany przez służby bezpieczeństwa, objęty cenzurą naukową, jeszcze w 1976 r. został opisany w notatce służbowej przez oficera SB jako „nieprzejednany wróg naszego ustroju". Trzecią książkę „Życie w powstańczej Warszawie" mógł wydać dopiero w 1965 r. Zapewne te okoliczności złożyły się na to, że „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r." jest czasami pomijana w historiografii powstania, a sama akcja „Iskra-Dog" niemalże zapomniana.

Protokoły powstańcze były kilkakrotnie publikowane, ale nigdy nie zostały wydane jako pełny zbiór. W sumie w druku ukazało się ich – w trzech książkach – około dwóch trzecich. Część protokołów pozostawała zaszyfrowana, część uznawano za anonimowe, bo dane osób składających zeznania i odbierających je pozostawały zaszyfrowane. W Instytucie Zachodnim mówiło się, że prof. Serwański – zmarły w 2000 r. – zabrał tajemnicę szyfrowania do grobu. Dopiero w 2021 r., po 77 latach, kryptologowi amatorowi Krystianowi Sobańskiemu udało się ustalić, jaką metodą szyfrowano dokumenty, i odtajnić resztę protokołów.

Akcja „Iskra-Dog" to fenomen konspiracyjno-naukowo-społeczny. Im dalej od wojny, tym cenniejsze są zebrane dzięki niej relacje świadków tych dramatycznych wydarzeń. Niemalże zapomniane przez dziesiątki lat archiwum Serwańskiego może – choć skromniejsze w skali czasowej i objętości zbiorów – być porównywane do archiwum Ringelbluma.

MAŁGORZATA WRYK

Autorka jest córką Edwarda Serwańskiego, jej książka „Opowieść mojej mamy" została nominowana przez POLITYKĘ do Nagrody Historycznej w 2023 r.

KUP TERAZ

O ostatniej polskiej insurekcji czytaj także w Pomocniku Historycznym **„POWSTANIE WARSZAWSKIE 1944"**. Dostępny na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Pochód Narodów na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, 31 lipca 1955 r.

© JAN KOSIDOWSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Karnawał przed odwilżą

Drugiego takiego lata w Polsce nie było. 70 lat temu zaczął się w Warszawie V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Blisko 200 tys. młodych śmiało się i tańczyło na ulicach.

JAKUB HALCEWICZ

Spotkaliśmy się na pokazie tańca. Lato, ciepły chodnik i zimny sok – wspomina Stasia, a Magda słucha. – Oj, wnusiu. Jaki to był dobry seks, nie przytrafił mi się taki nigdy więcej. A do łóżka szłam często i z ochotą. Najgorsze, że nie mogłam już tego nigdy powtórzyć z tym samym chłopakiem. Bo on był tu tylko na chwilę". To wspomnienie Stasi jest literacką fikcją z powieści „Tyłem do kierunku jazdy" Sylwii Chutnik. Tamten czas obrósł w legendy.

– *Właśnie skończyłem liceum w Opolu. Rodzice byli nauczycielami, mieszkaliśmy 10 km za miastem. Kiedy dowiedzieliśmy się o festiwalu, liczyłem, że zaproszenie przyjdzie z automatu. Bo maturę zdałem na same piątki, dostałem tytuł przodownika nauki i pracy społecznej* – opowiada Jerzy Marian Nowak, dziś emerytowany dyplomata. Okazało się, że dla Opolszczyzny zaproszeń zabrakło. Wraz z kolegą ruszyli więc na własną rękę. Spędzili w Warszawie dwa dni. Festiwal zaczął się 31 lipca i trwał dwa tygodnie.

Jak informował dziennikarzy tydzień wcześniej Aleksander Jankov z festiwalowego komitetu organizacyjnego, zaplanowano mnóstwo wydarzeń, by integrować młodych. „Spotkania te stanowią doniosłą część programu festiwalowego i mają na celu umożliwienie młodzieży bliższego zapoznania się ze sobą, wymianę poglądów i doświadczeń, nawiązanie i zacieśnienie więzów przyjaźni" – relacjonował tygodnik „Stolica". Podzielono je według zawodów (dla robotników, chłopów, pracowników umysłowych) i zainteresowań (dla artystów, aktorów, filmowców, tancerzy, szachistów, filatelistów itd.). Były też specjalne zgromadzenia studentów, dyskusje o filmach oraz spotkania ogólne – zwłaszcza w Sali Kongresowej Pałacu ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ Kultury (spotkanie młodzieży z pięciu mocarstw) i „Wielki Karnawał Przyjaźni" w nocy z 13 na 14 sierpnia w udekorowanym i iluminowanym parku Skaryszewskim z udziałem zespołów muzycznych z Polski, Francji, Norwegii i innych krajów. Na 12 polankach powstały tzw. ośrodki zabawowe m.in. ZSRR, Anglii, Brazylii, Chin. Każdy udekorowany według narodowych wzorów. Paradowały korowody w kostiumach z różnych epok, także, jak notowała „Stolica", fin de siècle. Nie zabrakło wesołego miasteczka.

Każdy dzień miał temat przewodni. Zatem 6 sierpnia, w 10. rocznicę zrzucenia bomby na Hiroszimę, odbył się wiec dla pokoju; 9 sierpnia, w dniu walki z uciskiem kolonialnym, młodzi z Anglii, Francji i Holandii spotkali się z młodzieżą z kolonii; 11 sierpnia w Oświęcimiu manifestowano na cześć bojowników walki z faszyzmem.

Na festiwal przyjechało 22 316 uczestników z Europy, 2707 z Azji, 911 z Afryki, 470 z Ameryki Południowej, 184 z Północnej oraz 57 z Australii i Oceanii. A w Warszawie było wtedy raptem dziewięć hoteli. Spali w nich goście honorowi (którzy mieli też do dyspozycji samochody), innym zapewniono kwatery (akademiki, pod którymi zbierała się gawiedź, by „zobaczyć Murzyna"). Goście krajowi (140 tys.) spali pod namiotami. W dzień wszyscy się mieszali.

Jak wam się żyje

– *Przyjechaliśmy nocnym pociągiem Opole–Warszawa. Był potworny ścisk. Drzemaliśmy w przejściu* – mówi Nowak. – *W Warszawie spaliśmy na podłodze u znajomych kolegi. Bez zaproszenia mogliśmy wchodzić wszędzie. Na części stoisk za darmo rozdawano kanapki i przekąski. Nie było problemu z jedzeniem.*

Weszli najpierw do Pałacu Kultury, oficjalnie otwartego raptem kilka dni wcześniej, 22 lipca. Zrobił na nich oszałamiające wrażenie. Zapadały w pamięć rzeźby Aliny Szapocznikow, salony i bufety. Następny punkt – Stadion Dziesięciolecia po drugiej stronie Wisły, też wtedy otwierany.

Z festiwalem było jak z Euro 2012: stadion był największą festiwalową inwestycją, ale w Warszawie remontowano też ocalałe z wojny kamienice, porządkowano chodniki, skwery, stawiano latarnie. Część ruin – a były wtedy widoczne wszędzie – została zasłonięta dekoracjami Wojciecha Fangora i Henryka Tomaszewskiego, wolnymi od siermiężnej socrealistycznej stylistyki.

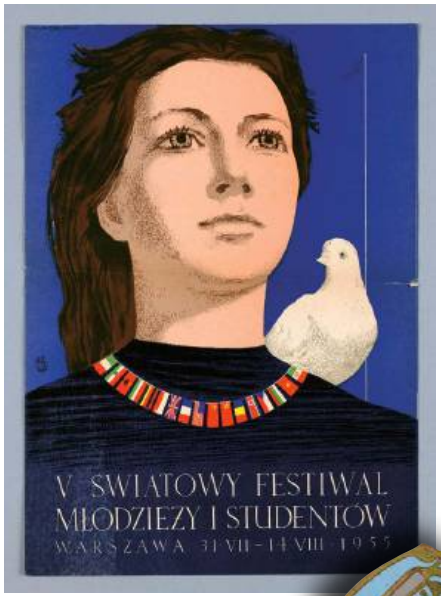

Plakat projektu Wojciecha Fangora oraz Jerzego Tchórzewskiego. Obok: **okolicznościowa przypinka.**

W trakcie imprezy tramwaje przewoziły pasażerów bez biletów. Cały czas odbywały się pokazy tańców i mody cudzoziemców, konkursy kulturalne, programy artystyczne, gale, zawody sportowe, wystawy, wiece i manifestacje, wycieczki po Warszawie, po Wiśle, do Kazimierza, Krakowa, Nowej Huty i Oświęcimia. Kluczowe znaczenie miały jednak zwykłe przypadkowe rozmowy na ulicy. Spontaniczność, uśmiech, bliskość.

– *Najatrakcyjniejsi byli dla nas, i w ogóle dla Polaków, goście z Ameryki Łacińskiej, zwłaszcza Meksykanie, ale też Włosi, Gruzini, niektórzy czarnoskórzy, Arabowie, Hindusi. Czyli wszyscy, którzy byli przyjaźni i rozśpiewani* – wspomina Nowak. Chodziło się do nich z notesikami, by wziąć podpisy, adresy, zamienić kilka słów, zapytać, skąd są, czym się zajmują – *Amerykanie pytali: How is your life? Jak wam się żyje? Nigdy ich wcześniej nie widzieliśmy. Nagle zobaczyliśmy, że to są normalni ludzie, wbrew oficjalnej propagandzie, która uważała ich za wrogów.*

Przedmiotem zainteresowania nie byli Rosjanie ani Ukraińcy – mniej swobodni, bo też bardziej kontrolowani przez służby. Z państw obozu socjalistycznego towarzyskością wyróżniali się Gruzini. Nieskrępowane rozmowy toczyły się na ulicach, przy stoiskach z kanapkami. Już samo to było niespotykane w realiach Polski Ludowej.

Kolega, z którym przyjechał Nowak, był Ślązakiem, niezdecydowanym, czy bardziej czuje się Niemcem, czy Polakiem. Znał niemiecki, więc mógł rozmawiać z zachodnimi Niemcami. Pytali go, jak żyją Ślązacy, czy można rozmawiać po niemiecku i czy Polacy obrażają się, gdy słyszą niemiecki. Na festiwalu pojawiały się i napięcia: właśnie między Niemcami i Polakami, ale też Arabami i Żydami, Niemcami i Żydami, grupami religijnymi.

– *Po raz pierwszy od końca drugiej wojny światowej władze otworzyły granice* – przypomina prof. Andrzej Friszke. – *To było spotkanie z kulturami i językami z zachodniej Europy i całego świata. Rozbudzało ciekawość. Pokazywało, że Europa i świat tworzą pewną ciągłość. Że obraz świata jest inny niż w oficjalnej prasie, która ustawiała po jednej stronie nas, po drugiej uzbrojone po zęby NATO. Było to ważne dla młodzieży, która w większości dała się pozyskać systemowi, uczestniczyła w Związku Młodzieży Polskiej i żyła pogodzona z losem. Ta wielkomiejska młoda inteligencja stworzy zaraz nowy klimat w środowiskach intelektualnych i artystycznych kraju.*

Nowak też marzył, by wyjechać w świat. W 1955 r. poszedł do Szkoły Głównej Służby Zagranicznej. Pracował na placówkach w Dar es Salaam, Buenos Aires, został ambasadorem w Hiszpanii, przy ONZ i przy NATO, na koniec profesorem na uczelni. Był najbliższym przyjacielem Ryszarda Kapuścińskiego.

Wyższość socjalizmu

W kraju, do którego nie wrócili jeszcze z ZSRR wszyscy wojenni zesłańcy, zjawiły się nagle tysiące rozbawionych młodych z całego globu. Jak to było możliwe w Polsce między śmiercią Stalina a „małą stabilizacją" czasów Gomułki?

Odpowiedź jest prosta: festiwal służył komunistycznej propagandzie. Miał rozbić zachodnie wyobrażenie o Polsce jako państwie bloku wschodniego, w którym nie ma nic oprócz więzień. Miał ukazać wyższość socjalizmu nad kapitalizmem. Przygotował go ZMP pod egidą lewicowej Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej. Poprzedni odbył się w Bukareszcie, następny planowano w Moskwie.

Propagandowy cel został osiągnięty. Jednocześnie stało się coś więcej. Jak wspominał Jacek Kuroń w rozmowie

eprasa.pl f2ce6bb9a0

z Jackiem Żakowskim „PRL dla początkujących”, festiwal „ujawnił całe zakłamanie i fałsz tego stylu życia, który był lansowany jako postępowy. Okazało się, że można być postępowym, a jednocześnie cieszyć się życiem, nosić kolorowe ubrania, słuchać jazzu, bawić się i kochać”. Co roku po wojnie rodziło się w Polsce ok. 500 tys. dzieci, dwa razy więcej niż dziś. Jak zauważa Chutnik w książce „Miasto zgruzowstałe”, w 1955 r. urodziło się ich ok. 794 tys. – to rekordowy przyrost zanotowany po 1945 r., świadectwo wiary w przyszłość.

Wprawdzie zmianę nastrojów dało się odczuć już wcześniej, nadchodziła od 1953 r. Dlatego być może podczas festiwalu wybrzmiała tak wyraźnie, zwłaszcza w kulturze i sztuce. Jednym z najważniejszych punktów okazała się Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi” w Arsenale – 486 prac 244 artystów. Przygotowały ją Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Polskich Artystów Plastyków oraz festiwalowy komitet organizacyjny wraz z wydziałem kultury KC PZPR. Jej zasadniczym przesłaniem było odejście od socrealizmu. Pociągała i wywołała dyskusję. Pokazywała codzienne życie w sposób niemonumentalny, szorstki w formie, wracała do wojennej traumy, depresji. Kończyła więc z naiwnym, rozświetlonym i spełnionym obrazem robotniczej Polski.

Emblematyczny dla wystawy w Arsenale stał się obraz Marka Oberländera „Napiętnowani” – bazujący na fotografii więźniów z Auschwitz portret trzech mężczyzn z wyciętymi na czołach krwawymi ranami w kształcie gwiazd Dawida. Autor nazwał ten styl realizmem ekspresyjnym, który był wyraźnie różny od oficjalnie obowiązującego.

Niedocenionego podczas festiwalu Oberländera nagrodziła niedługo potem za całokształt redakcja tygodnika studentów i młodej inteligencji „Po Prostu” pod koniec października tego samego roku. Redakcja ta najpełniej wyrażała nastroje i poglądy politycznej odwilży, której apogeum był Październik 1956 r.

Wystawę w Muzeum Warszawy „Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955” można oglądać do 21 grudnia

Objawienie

Podobnie jak festiwal, tygodnik „Po Prostu” wymyka się prostym ocenom okresu PRL. Tworzyli go ludzie tacy jak Ryszard Turski, który mówił o sobie Barbarze N. Łopieńskiej i Ewie Szymańskiej w ich książce „Stare numery” tak: „Ja protestuję przeciwko stereotypowi zetempowca – tego głupka manifestującego z transparentem. Dla mnie był to okres wielkiej aktywności intelektualnej. W 49 czy 50 roku, kiedy ZMP terroryzowało – było groźnie. W 52 i w 53 to była na wyższych uczelniach organizacja fasadowa. Już nie była groźna, bo była martwa”.

I dodawał: „Trudno oceniać dziś nasze postawy, bo to były postawy ambiwalentne. Ja z ojcem w 44 r. wyciągałem spod stosów trupów więźniów, którzy przeżyli masową egzekucję na zamku lubelskim. Widziałem Majdanek, kiedy dymiło jeszcze krematorium. Wracałem z Majdanka, a ludzie na ulicach Lublina wyklejali manifest PKWN. Przeżyłem tyle, że osiągnąłem próg tych przeżyć. (...) Ja jakoś niczego nie mogę tak do końca zaakceptować i tak do końca odrzucić. (...) Nie uważałem i nie uważam, że jeśli biorę w czymś udział, to ponoszę totalną odpowiedzialność za wszystko. W ZMP były trzy miliony ludzi”.

Dla takich jak on festiwal był objawieniem, na które czekali. W odwilży zbiegło się wiele zjawisk politycznych, społecznych i kulturalnych. Przez kraj przeszła fala jazzu, spontanicznie powstawały kluby dyskusyjne, były pierwsze powojenne wybory miss. Wszędzie kipiało.

W „Po Prostu” publikowali m.in. Jerzy Ambroziewicz, Zygmunt Bauman, Stefan Bratkowski, Marek Hłasko, Leszek Kołakowski, Jan Olszewski, Jerzy Urban, Jerzy Vaulin. Rozwiązanie redakcji przez władze jesienią 1957 r. było jednocześnie końcem odwilży. – *Zaczęły się studenckie protesty* – mówi Nowak. – *Biegliśmy od pl. Narutowicza, gdzie mieszkałem, do Politechniki. Oberwałem od milicjanta, wyszedł potężny siniak na plecach. Wiedzieliśmy, że to koniec.*

Przeżycia się tak pamięta

Wydarzenia tego czasu oddaje wystawa „Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955” w Muzeum Warszawy (do 21 grudnia). Oglądamy na niej obrazy, rzeźby, zdjęcia, wycinki prasowe, infografiki oraz festiwalowe pamiątki – chusty, plakaty, przypinki; słuchamy wspomnień świadków, także Nowaka. Kuratorzy – Błażej Brzostek i Zofia Rojek – prowadzą nas przez stalinowską obietnicę przyszłości pierwszych lat 50., pokazują przygotowania do festiwalu oraz jego barwny przebieg.

Mamy wątki dekolonizacji (była propagandowo istotna na festiwalu; na wystawie widzimy sugestywną rzeźbę Paulina Wojtyny, na której kraty uwięzionych zmieniają się w miecze) i przeobrażeń w sztuce – namiastkę Arsenału (rzeźby, obrazy, w tym wspomnianych „Napiętnowanych”), a w końcu – pofestiwalową melancholię już nieroztańczonego miasta. Znajdziemy też na wystawie rysunki Jacka Świdzińskiego, nagrodzonego w ub. r. Paszportem POLITYKI za komiks „Festiwal”.

Brzostek tłumaczy, że to ostatni moment, by opowiedzieć o festiwalu 1955 r., gdy żyją jeszcze osoby, które go doświadczyły.

– *Pamiętam to plastycznie, bo to było przeżycie. A przeżycia się tak pamięta. Zobaczyliśmy kawałek świata, ludzi, którzy żyją inaczej. Wracaliśmy wniebowzięci* – opowiada Nowak.

JAKUB HALCEWICZ

© MUZEUM WARSZAWY (2), T. KACZOR/MUZEUM WARSZAWY

eprasa.pl f2ce6bb9a0

AFISZ

- PREMIERY
- WYDARZENIA
- ZAPOWIEDZI

Skala ocen:
1(dno)–6(wybitne)

film

Kino grozy bez grozy 4/6

Życie Chucka (The Life of Chuck), reż. Mike Flanagan, prod. USA, 111 min, w kinach od 1 sierpnia

Nadchodzi apokalipsa. Kolejne kataklizmy niszczą udręczoną Ziemię, cywilizacja przestaje funkcjonować, ludzie masowo popełniają samobójstwa, zaczynają znikać gwiazdy. Szkolny nauczyciel Marty Anderson (Chiwetel Ejiofor) obserwuje zachodzące zmiany z lękiem, choć zdaje sobie sprawę, że koniec świata jest nieunikniony. Jego zdziwienie budzą jednak pojawiające się w różnych miejscach billboardy z wizerunkiem księgowego Chucka Krantza, dziękujące mu za 39 wspaniałych lat. Tajemnica wkrótce się wyjaśnia, a historia Chucka (**Tom Hiddleston**) – przeciętnego faceta o raczej zwyczajnym życiorysie – zaskakująco wpisuje się w apokaliptyczny scenariusz.
Film Mike'a Flanagana może na pierwszy rzut oka wydawać się niekonsekwentny, pęknięty, zwłaszcza gdy pełna napięcia fabuła nagle całkowicie zmienia tonację. Jego niecodzienną strukturę wymusił jednak literacki oryginał, opowiadanie Stephena Kinga z wydanego kilka lat temu zbioru „Jest krew…". Pomysł ekranizacji mógł się wydawać karkołomny, jednak Flanagan podołał zadaniu, nawet jeśli na ekranie nie wszystko sprawdziło się tak dobrze jak w tekście. Nie ma jednak wątpliwości, że to film nakręcony z czułością i masą dobrych chęci. W najlepszych momentach zachwycający, jak w fantastycznej scenie ulicznego tańca Chucka z przypadkową partnerką, w najsłabszych – na szczęście jest ich znacznie mniej – nieco dezorientujący. Flanagan specjalizuje się w kinie grozy (wcześniej mierzył się z prozą Kinga w „Doktorze Śnie"), ale tu grozy nie ma. Jest niepokój, smutek, lęk przed śmiercią, lecz także niepowstrzymana radość życia, pragnienie czerpania z każdej chwili tego, co najlepsze. Może za „Życiem Chucka" kryje się zanadto uproszczona filozofia, sprowadzona do wyjętego z kontekstu wersu z „Pieśni o sobie" Walta Whitmana, lecz mimo wszystko to miła odmiana, gdy mistrzowie horroru przypominają, że świat jest co prawda pełen cierpienia, ale także drobnych codziennych radości.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Religia gór 5/6

Kwiat ośmiu gór (Fiore mio), reż. Paolo Cognetti, prod. Włochy, Belgia 2024 r., 80 min, w kinach od 1 sierpnia

Wszystko, co najlepsze w pisarstwie 47-letniego mediolańczyka Paola Cognettiego, poświęcone jest jego największej pasji: pustelniczemu życiu w Alpach Pennińskich i relacji człowieka z surowym majestatem skalistego pejzażu. Polski tytuł nakręconego przez Cognettiego pełnometrażowego dokumentu „Kwiat ośmiu gór" nawiązuje do jego najbardziej znanej i obsypanej prestiżowymi nagrodami (m.in. Premio Strega) powieści „Osiem gór", poetycko zekranizowanej kilka lat temu przez Felixa Van Groeningena i Charlotte Vandermeersch. Nie trzeba jednak jej znać, by docenić wartość intymnego dokumentu i móc kontemplować odsłaniane przez Włocha ukryte piękno masywu Monte Rosa. Niektórzy z mieszkańców tych okolic, posługujący się prawie wymarłym dialektem titsch, to dobrzy znajomi pisarza z dzieciństwa. Inni, jak dojrzały szerpa z Nepalu, odkryli, że kultura śródziemnomorska ma potężną moc oddziaływania, a na wysokości 4 tys. m też można odnaleźć sens. Dyskretnie uduchowiony obraz sprawia, że swojsko brzmiące pojęcia – jak harmonia natury czy wyciszenie – nabierają zupełnie nowego wymiaru. A oglądanie go wydaje się doświadczeniem bliskim kontemplacji.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Alpy Pennińskie, życiowa pasja Paola Cognettiego

© DAN ANDERSON/INTREPID PICTURES, AGAINST GRAVITY, ADAM GOLEC, ANDRZEJ PIEŃKOS/ZACHĘTA, CANAL+

eprasa.pl f2ce6bb9a0

film

Pociąg z przeszłości 4/6

Vinci 2, reż. Juliusz Machulski, prod. Polska 2025 r., 120 min, już w kinach

Ironiczny kryminał retro to koronna konkurencja Juliusza Machulskiego. Mimo że akcja „Vinci 2" toczy się tu i teraz, sequel zatopiony jest w aurze nostalgii, posiada więc znamiona filmu osadzonego jakby w innej epoce. Celowo spowolniona dramaturgia, dowcipne, by nie powiedzieć beztroskie – jak na konwencję heist movie – dialogi należy potraktować jako jawny ukłon w stronę przeszłości. Pobudzają wyobraźnię i uruchamiają rozmaite skojarzenia. „Vinci 2" nie proponuje też nowej zabawy. W warstwie fabularnej mamy tu prawie dokładne powtórzenie historii z pierwszej części. Przy czym tylko przez chwilę wydaje się, że łupem złodziei ma paść ten sam obraz, „Dama z gronostajem". W istocie gra toczy się o wart 100 mln zł samurajski miecz z 1583 r., przywieziony jako eksponat do krakowskiej Mangghi. Cała reszta, czyli sposób dokonania przestępstwa, to w zasadzie kopia (parodia) poprzedniego skoku. Bawić ma głównie to, jak czas potraktował filmowych bohaterów. Siłą „Vinci 2" jest m.in. kapitalne aktorstwo **Roberta Więckiewicza** z wdziękiem akcentującego niedomagania wieku męskiego (występującego w podwójnej roli, także jako współscenarzysta) oraz jego ekranowego przyjaciela mocno odczuwającego skutki choroby alkoholowej, granego przez **Borysa Szyca**. W sam raz na wakacyjny hit. JW

serial

Znacie, to obejrzycie 3/6

Blizna (Cicatriz), scenariusz: Pablo Roa i Fernando Sancristóbal, 8 odc., Canal+

„Blizna" jest reklamowana na trzy sposoby. Jako ekranizacja prequela popularnej trylogii thrillerów hiszpańskiego autora Juana Gómeza-Jurado („Reina Roja. Czerwona Królowa", „Loba Negra. Czarna Wilczyca" i „Rey Blanco. Biały Król"), jako nowa produkcja twórców hitowego „Domu z papieru" oraz jako serial, w którym jedną z ról gra Maciej Stuhr. Fani pisarstwa Gómeza-Jurado i rozrywki z tajemniczą mścicielką wcielającą w życie, przy użyciu rozmaitej broni, planowany przez lata plan zemsty na mafii, która na jej oczach wymordowała jej rodzinę, gdy była dzieckiem, mogą być zadowoleni. Zwłaszcza gdy nie potrzebują przekonującej psychologii i logiki, nie przeszkadzają im schematy i klisze oraz przestrzelone aktorstwo. Dostają kolejną podobną historię z detalami, które mają jej nadać współczesny sznyt, w sumie – czysty relaks. Bohaterka ma na imię Irina (**Milena Radulović**) i pochodzi z Ukrainy, trenował ją przyjaciel ojca z wojska, w Serbii, a do Hiszpanii, by niszczyć działającą tam rosyjską mafię, przybywa, podbiwszy wcześniej – nie bez wzajemności – przez internet serce genialnego programisty, uosobienie dobroci i fobii społecznych, który właśnie zyskał dla swojej przełomowej aplikacji inwestora – potentata w branży big tech. Tym ostatnim jest nasz Maciej Stuhr w wersji blond, który w pięciu odcinkach udostępnionych do recenzji przebywa na ekranie łącznie może trzy minuty.

ANETA KYZIOŁ

galeria

Ascetycznie o ascecie 3/6

Giorgio Morandi, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa, do 5 października

Twórców można z grubsza podzielić na tych, którzy ciągle szukali, i tych, którzy szybko znaleźli. W sztuce XX w. jednym ze światowych mistrzów owej drugiej postawy pozostaje bohater warszawskiej wystawy Giorgio Morandi. Swój świat malarski odnalazł w prostych martwych naturach, konstruowanych niemal zawsze z podobnych elementów: butelek, wazonów, ceramicznych naczyń. Rodzaj malarskiej medytacji, która – jak buddyjska mantra – sprowadza skupienie, spokój ducha, wyciszenie. Proszę jednak nie oczekiwać podobnych stanów po wizycie w Zachęcie. Nazbyt serio potraktowano umieszczoną na stronie internetowej galerii zapowiedź o „przekrojowym" charakterze wystawy. W rezultacie na generalnie skromnej ekspozycji znalazło się zaskakująco dużo pejzaży miejskich i wiejskich czy wizerunków kwiatów, może i miłych dla oka, ale przecież niebędących tym, za co Morandiego cenimy, a nawet wielbimy. To jakby owe mantry przerywać zdrowaśkami. Aranżacja wystawy z kolei kompletnie nie sprzyja kontemplacji i koncentracji na tej subtelnej sztuce. Wielka sala i jasne rozproszone światło sprawiają, że kameralne prace giną gdzieś w pompatycznej przestrzeni. Szkoda, bo ten niezwykły artysta zasługiwał na to, by pokazać Polakom jego prawdziwą twarz w świetle świec, a nie wiele twarzy w blasku reflektorów.

PIOTR SARZYŃSKI

Widok bolońskiej pracowni Giorgio Morandiego

eprasa.pl f2ce6bb9a0

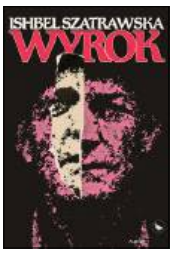

Oswojone bestie 5/6

Ishbel Szatrawska, **Wyrok**, Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2025, s. 168

Ta autorka potrafi zaskoczyć. Po głośnym dramacie „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia", nominowanym do Paszportu POLITYKI, i powieści „Toń" o Prusach Wschodnich z wojną w tle Ishbel Szatrawska wraca z krótką prozą pisaną zupełnie inaczej. „Wyrok" rozgrywa się gdzieś w czasie wojny, ale front jest daleko. Dwóch wynajętych ludzi z bandycką przeszłością idzie wykonać wyrok na szpiclu. Ta opowieść zaskakuje na tle współczesnej polskiej prozy, ale też może zmylić czytelników oczekujących typowego thrillera (tak ją zakwalifikowano gatunkowo). Językowo przywołuje skojarzenia z polską prozą wojenną spod znaku Szczepańskiego czy Iwaszkiewicza albo z brutalizmem Cormacka McCarthy'ego. Majda i Strzelecki wędrują przez wsie i góry, żeby wykonać wyrok, ale jednocześnie idzie z nimi cała ich przeszłość, pełna oszustw i zdrad. Idą przez miejsca bezpańskie, nie ma dawnej władzy ani nowej, znajdują się w przestrzeni niczyjej, a sami są martwi. I nie tyle o rozwiązanie zagadki chodzi, ale o to, kim jest człowiek. Co nim kieruje, dlaczego potrafi sprzedać i zdradzić kogoś, kogo kocha. Ile waży poszczególne życie? W czasie brutalnego mordu jeden z nich zdaje sobie sprawę: „Więc tacy jesteśmy. I tacyśmy zawsze byli. Oswojone bestie". Szatrawska pokazuje czas rozpuszczonych instynktów z wojną w tle. Niby odległe, a nie tak bardzo.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Dziki Zachód 4/6

Artur Domosławski, Magdalena Grzebałkowska, Marta Grzywacz, Cezary Łazarewicz, Ewa Winnicka, Michał Wójcik, **Jak zdobywaliśmy Pomorze. Mroczne historie z „ziem odzyskanych"**, Rebis, Poznań 2025, s. 336

Zdobywanie Pomorza to ciągle nienapisany rozdział w polskiej historii, o czym zresztą w swoim kawałku uczciwie pisze Artur Domosławski. Większość tekstów krąży wokół Darłowa, które zaangażowało się w tę książkę nie tylko emocjonalnie. Na szczęście zadanie oddano w najlepsze reporterskie ręce i nawet na tak skromnym polu jak niewielkie nadmorskie miasteczko i jego historia dało się opowiedzieć na tyle dużo, że w tej małej kropli można zobaczyć całe morze. Bo przecież proces wszędzie był mniej więcej podobny. Chaos wyzwolenia. Orgia przemocy i gwałtów. Spontaniczny szaber. Pierwsze nieśmiałe gesty sięgania po darowane, a jednak przecież nie swoje. Może z tego ostatniego powodu historia ta ciągle nie jest opowiedziana. A może dlatego, że ofiary w tej historii zasmakowały bycia katami, a katów traktowano wcześniej jak zwykłe bydło? Albo powód jest jeszcze bardziej prozaiczny – tu każdy ma jakiegoś trupa w szafie. Niektórzy nawet trupy dosłowne, nieudrapowane w żadną zmiękczającą przenośnię. Inżynieria na narodach ma to do siebie, że jednostki przesypują się w niej jak kulki w maszynie losującej. Siłą tej książki jest jednak to, że dostrzega i przywraca jednostki do życia. Pokazuje konkretnych Niemców, konkretnych Polaków. Ludzi, których powojenna gorączka rzuciła do jednych domów, w których właściciele stali się służącymi. A nowi gospodarze byli jeszcze przed chwilą niewolnikami, tanią przymusową siłą roboczą. Samo napięcie zawarte w tym klinczu warte już było opowiedzenia. Szkoda, że opowieści te są nierówne, momentami nakładają się na siebie. Na szczęście dołki u jednych wyrównują szczyty reportażu u innych.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Artystka życia 4/6

Piotr Szarota, **Felicita! Psychobiografia Felicity Vestvali**, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2025, s. 312

Jeśli ktoś, jak autor, wywodzi się z takiej rodziny, że o niemal każdym jej członku można napisać książkę, nie mógł nie zająć się jedną z najbardziej intrygujących w niej postaci, dziś zapomnianą, ale pod wieloma względami wyprzedzającą swoją epokę. Felicita Vestvali, którą Piotr Szarota nazywa swoją praciotką (dokładnie: była siostrą jego prapraprababki), urodziła się jako Anna Maria Stegemann w Szczecinie i przedstawiała się zarówno jako Polka, jak i jako Niemka. Karierę zrobiła najpierw jako śpiewaczka operowa o głosie kontraltowym, specjalizująca się w tzw. rolach spodenkowych (tj. męskich), a później jako aktorka, słynna zwłaszcza z roli Hamleta. Występowała w Europie, ale podbijała też Stany Zjednoczone i Meksyk. Była protofeministką i, jak powiedzielibyśmy dziś, osobą niebinarną – miała wiele cech męskich, ale też nie wypierała się kobiecości (miała nieślubną córkę); w obu rolach wielbiły ją przede wszystkim kobiety, którym imponowała jej odwaga. Tworzyła związek z kobietą – również aktorką – Elise Lund, z którą występowała też na scenie. Istnieje wiele świadectw jej sukcesów, ale także jej skłonności do konfabulacji bywały bliskie baronowi Münchhausenowi. Autor musiał zatem wielokrotnie uciekać się do domysłów – często padają słowa „zapewne" lub „prawdopodobnie", choć kwerendę przeprowadził solidną. Czyta się to jak bajkę, ale jeśli nawet nie wszystko, to wiele z tego wydarzyło się naprawdę.

DOROTA SZWARCMAN

© ADA KOPEĆ-PAWLIKOWSKA, MP (5), EUGENIUSZ HELBERT/FORUM, MICHAEL BUCKNER/PENSKE MEDIA/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

festiwal

„Martwi przed świtem", reż. Dawid Krępski

Straszne i wspaniałe

Octopus Film Festival, Gdańsk, 5–10 sierpnia

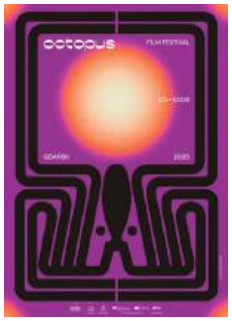

Najważniejszy w Polsce festiwal kina gatunkowego rośnie w siłę. Impreza, która kilka lat temu zrodziła się z fascynacji filmami klasy B, imponuje pomysłowością, programem i rozpiętością tematów. To bodaj jedyny festiwal, gdzie na równych prawach funkcjonują dzieła mistrzów i zapomniane produkcje z epoki kaset VHS. A co najważniejsze, Octopus Film Festival stał się nie tylko wydarzeniem dla widzów, którzy chcą oglądać dawne przeboje na wielkim ekranie (w tym roku m.in. szansa zobaczenia „Rambo 2" w scenerii egzotycznego ogrodu Olivia Garden), lecz również dla tych, którzy chcą całkiem serio podyskutować o rozwoju, znaczeniu i wpływie popkultury. Będzie można zatem zmierzyć się z „dziwnymi", nietypowymi filmami wielkich reżyserów („1941" Stevena Spielberga, „Diuna" Davida Lyncha), prześledzić, jak amerykańskie i europejskie kino próbowało naśladować fenomen „Conana barbarzyńcy", przypomnieć sobie najważniejsze dzieła mistrza anime Satoshiego Kona i sprawdzić, czy filmy, które kiedyś traumatyzowały publiczność – od „Salo" Pasoliniego po kanibalistyczny western „Bone Tomahawk" – wciąż działają tak samo mocno. Na retrospektywę swoich filmów przyjedzie do Gdańska Brian Trenchard-Smith, klasyk australijskiego kina eksploatacji. JD

Szczegóły: **octopusfilmfestival.com**

nie przegap

Międzynarodowy Festiwal Chopinowski w Dusznikach-Zdroju, 1–9 sierpnia

16-letni Fryderyk Chopin odbył w Dusznikach kurację i dał tu dwa koncerty dobroczynne. Od sierpnia 1946 r. odbywa się w tym mieście Festiwal Chopinowski, pierwszy zainicjowany w powojennej Polsce; od 1993 r. prowadzi go **Piotr Paleczny**. Występują tu pianiści ze światowej czołówki. Bilety na jubileuszową 80. edycję są od dawna wyprzedane, ale można słuchać transmisji na stronie festiwalu i w radiowej Dwójce. DS

Off Festival, Katowice, Dolina Trzech Stawów, 1–3 sierpnia

Tegoroczne plany festiwalu prowadzonego w Katowicach (a wcześniej w Mysłowicach) przez Artura Rojka wyglądają tak, jakby znów podłączono prąd do biura programowego. Są nazwy i nazwiska elektryzujące w ostatnich sezonach (Fontaines D.C., Nilüfer Yanya, Nala Sinephro, MJ Lenderman, Jann czy Kneecap, o której to grupie piszemy na s. 81), są też od dawna tryskające energią, jak **James Blake** czy wreszcie Kraftwerk, legenda z elektrownią już w nazwie. BCH

REKLAMA

TADEUSZ BARTOŚ
w rozmowie z Arturem Nowakiem

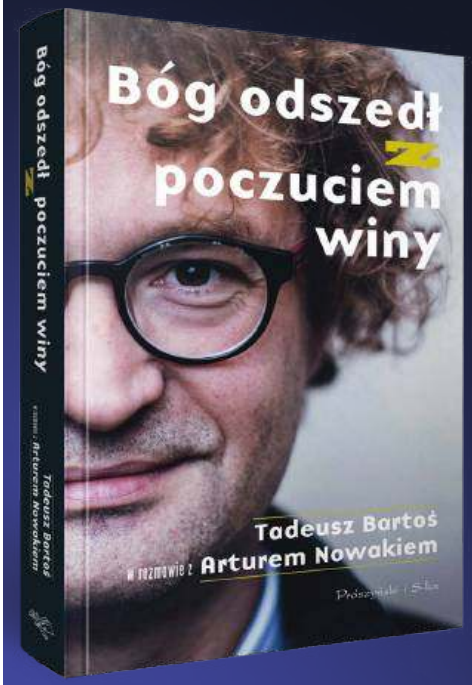

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

eprasa.pl f2ce6bb9a0

ANETA KYZIOŁ
JANUSZ WRÓBLEWSKI

12 zdolnych

Oczywiście platformy streamingowe zawodu scenarzysty w Polsce nie stworzyły. O tym przypominają choćby ukończone właśnie zdjęcia do trzeciego sezonu „Gliny", kultowego serialu TVP, przerwanego 17 lat temu – ponoć decyzją polityków prawicy rządzących wówczas telewizją. Jego scenarzystą był i jest Maciej Maciejewski. Nigdy jednak nie produkowało się u nas tyle co teraz, nie było więc tak wielkiego zapotrzebowania na nowe historie. Scenarzyści – na fali sławy amerykańskich i brytyjskich showrunnerów – wreszcie wychodzą więc i u nas z cienia reżyserów i aktorów.

Na potrzeby niniejszego zestawienia najciekawszych piór (i klawiatur) współczesnego kina i streamingu przyjęliśmy kilka zasad. Po pierwsze, przyglądamy się osiągnięciom nie tylko głośnym, ważnym czy wyróżniającym się, ale też regularnie tworzonym i świeżym, z ostatnich kilku lat. Po drugie, bierzemy pod uwagę tylko scenarzystów zawodowych, nie znajdą się więc w zestawieniu reżyserzy i reżyserki piszący (nierzadko wybitne) scenariusze, ale wyłącznie lub prawie wyłącznie na własny użytek.

Zbieramy – w porządku alfabetycznym – i opisujemy tym sposobem tych, którzy stoją za najlepszymi serialowymi i filmowymi produkcjami z ostatnich lat. Można tę listę potraktować jako podpowiedź, które tytuły warto nadrobić w to kapryśne pogodowo lato.

Kasper Bajon

Autor dziewięciu książek (poezji, esejów, prozy), wraz z pierwszym sezonem trylogii „Rojst" (2018–24, Showmax, Netflix), pisanej z reżyserem Janem Holoubkiem, stał się jednym z najciekawszych rodzimych scenarzystów. „Rojst" jest przemyślanym, oryginalnym i wciągającym niczym tytułowe bagno portretem Polski, tworzonym z perspektywy tzw. Ziem Odzyskanych, z akcją obejmującą całą drugą połowę XX w. Scenariusz „Wielkiej wody" (2022 r., Netflix), napisany z Kingą Krzemińską, też obejmował olbrzymi research, a dotyczył powodzi stulecia na Dolnym Śląsku, która stała się w serialu Holoubka tłem i katalizatorem dla historii kilku rodzin. Na premierę (listopad, Netflix) czeka kolejna produkcja Bajona i Holoubka, monumentalny dramat katastroficzny w odcinkach, wracający do sprawy zatonięcia promu „Jan Heweliusz" na Bałtyku w styczniu 1993 r. A Bajon ma na koncie także autorskie projekty: zrealizowany wspólnie z żoną Klarą Kochańską-Bajon film „Via Carpatia" i miniserial „Projekt UFO" (2024 r., Netflix), odwołujący się do rzekomego lądowania obcych w Emilcinie, łączący zabawę popkulturą z konwencją political fiction.

Rocznik 1983, pisania scenariuszy uczył się w praktyce, na planach filmowych swojego ojca, reżysera i scenarzysty własnych filmów Filipa Bajona, ale jako najlepszą szkołę pisania poleca analizę filmu „Toy Story". Uważa, że punktem wyjścia dobrego scenariusza nie jest historia, tylko bohater, bo to on prowadzi widza. Spośród scenarzystów ceni Davida Mameta, Charliego Kaufmana i Davida Simona.

Marcin Ciastoń

Pochodzi z Podkarpacia. Absolwent lingwistyki stosowanej na UW oraz scenariopisarstwa w Warszawskiej Szkole Filmowej. Początkowo związany z rynkiem audiowizualnym jako tłumacz. Laureat i finalista najważniejszych polskich konkursów scenariuszowych: SCRIPT PRO oraz Script Wars. W 2021 r. zadebiutował dramatem sensacyjnym „Hiacynt" (reż. Piotr Domalewski) o zakrojonej na szeroką skalę obławie na homoseksualistów w latach 80., za który otrzymał nagrodę za scenariusz w Gdyni. Autor adaptacji powieści Wojciecha Chmielarza „Wyrwa" (reż. Bartosz Konopka), współautor komedii familijnej „Detektyw Bruno" (reż. Magdalena Nieć, Mariusz Palej), nagrodzonej Złotymi Lwiątkami im. Janusza Korczaka na festiwalu w Gdyni.

Jego twórczość jest wszechstronna i elastyczna, potrafi łączyć głęboką strukturę emocjonalną z komercyjną atrakcyjnością, podobnie jak komediowy styl z nutą tragizmu. Najnowszym osiągnięciem Ciastonia jest adaptacja słynnej powieści kryminalnej Marka Krajewskiego „Śmierć w Breslau", która będzie realizowana w przyszłym roku. Reżyserem ma być Michał Gazda, autor doskonale przyjętej nowej ekranizacji „Znachora".

Paweł Demirski

Rocznik 1979, przez pierwsze dwie dekady zawodowego życia był autorem sztuk, które – w reżyserii Moniki Strzępki – nie tylko przeszły do historii polskiego teatru, ale też współtworzyły

© PODLEWSKI/AKPA, NIEMIEC/AKPA, JERZY BOŃCZYK/FOTONOVA/EASTNEWS, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, LESZEK ZYCH

eprasa.pl f2ce6bb9a0

ludzi

W epoce platform streamingowych skrzydła rozwijają zawodowi scenarzyści. Oto dwunastka najlepszych dziś polskich opowiadaczy filmowych i serialowych historii.

debatę społeczno-polityczną. W nowym wcieleniu jest reżyserem i scenarzystą. Debiutował „Artystami" (2018 r., TVP), z akcją osadzoną w warszawskim teatrze, którego prywatyzacji próbuje zapobiec nowy dyrektor. Jego kolejny serial, na poły autobiograficzny „Udar" (2024 r., Viaplay), jest komediowym portretem wielkomiejskiej klasy kreatywnej w kryzysie, a zarazem opowieścią o sile rodziny z wyboru. W czerwcu w Netflixie zadebiutowała „Aniela", bajkowa komedia ze społecznym zacięciem i z Małgorzatą Kożuchowską w brawurowej roli byłej żony strąconej z konstancińskiego raju na praskie blokowisko.

Obecnie rozwija zarówno autorskie scenariusze, jak i pracuje nad adaptacjami – w zdjęciach jest już „Lalka" Netflixa, a nieoficjalnie mówi się m.in. o adaptacji głośnej biografii Jerzego Urbana. „Moje scenariusze i seriale zawsze będą miały w sobie polityczność, choć nie w taki oczywisty, mocny sposób, jak sztuki i spektakle. Tu nośnikiem fabuły jest postać, im bardziej skomplikowana i niejednoznaczna, tym większym jest wyzwaniem dla prostych podziałów. To jest to, co jako człowiek przychodzący z teatru, który przerobił już wiele tematów, konwencji, jest bardzo związany z rzeczywistością, z debatą społeczną, mam światu filmowemu do zaoferowania" – mówił POLITYCE.

Andrzej Gołda ■ □ □

Pochodzi z Kielc (rocznik 1958), jego wyuczonym zawodem jest dziennikarstwo. Ukończył WSP na wydziale pedagogicznym oraz zaoczne studium scenariuszowe w łódzkiej filmówce. Pracował w „Gazecie Kieleckiej" i „Słowie Ludu". Z kinematografią związany od 1999 r. Był nominowany do Polskiej Nagrody Filmowej za „Pana T.", niekonwencjonalną biografię Leopolda Tyrmanda (reż. Marcin Krzyształowicz, 2019 r.), „25 lat niewinności. Sprawę Tomka Komendy" (reż. Jan Holoubek, 2021 r.) oraz „Doppelgänger. Sobowtór", też oparty częściowo na faktach dramat sensacyjny (również Holoubek, 2023 r.). Interesuje się tematami z pogranicza psychologii, tożsamości i konstrukcji postaci, wiele z napisanych przez niego scenariuszy to kameralne thrillery złożone z wielowątkowych intryg i zaskakujących zwrotów fabularnych (np. „Figurant", reż. Robert Gliński, o esbeku inwigilującym Karola Wojtyłę). Trudno go nazwać innowatorem czy eksperymentatorem, lubi trzymające w napięciu kino gatunkowe z elementami nieoczywistej psychologii. Jego reporterski styl łączy się z wyrafinowaną pracą nad strukturą narracyjną i grą z oczekiwaniami widza. Ma także na koncie wiele odcinków seriali, m.in. „Paktu", „Instynktu", „Kryminalnych" czy „Hotelu 52".

Bartosz Janiszewski □ ■ □

Pisarz i scenarzysta, ukończył socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. Przez wiele lat był dziennikarzem tygodników „Newsweek" i „Wprost". Opublikował m.in. biografię Grzesiuka, barda warszawskiej ulicy, i książkę „Moja Trójka", historię Programu Trzeciego Polskiego Radia z perspektywy fenomenu jego słuchaczy. Jest też laureatem konkursu Script Fiesta. Ciągnie go do szerokich analiz społeczno-psychologiczno-moralnych. W kinematografii zaistniał w 2003 r., pisząc dialogi, a następnie kilka odcinków telenoweli „Na Wspólnej" (współpracę kontynuuje do dziś). Jako zawodowy scenarzysta pracuje najczęściej dla TVN, dla którego współtworzył m.in. ekranizację thrillera psychologicznego Remigiusza Mroza „Behawiorysta". Z TVP współpracował przy dwóch sezonach popularnej serii kryminalnej „Archiwista". Zapowiedzi filmowo-serialowe pokazują, że końcówka wakacji i jesień będą należały do niego – na premierę czekają aż trzy projekty z jego scenariuszami: kinowy blockbuster „Chopin, Chopin" w reż. Michała Kwiecińskiego (10 października) oraz dwa seriale. „Breslau" (12 września) to pierwsza polska produkcja zamówiona przez platformę Disney+, jej sensacyjna fabuła rozgrywa się w 1936 r. w czasie olimpiady w Berlinie. Z kolei „Scheda" (22 sierpnia, HBO Max) to historia bogatej rodziny z Helu, w której roi się od tajemnic, pokazana na tle porywających widoków Półwyspu Helskiego.

Nina Lewandowska □ □ ■

Swoje dwa pierwsze projekty, od razu pokazujące nietuzinkową wrażliwość, zainteresowania psychologiczne i oryginalny język, zrealizowała w duecie z reżyserką Kamilą Taraburą: krótkometrażową fabułę „Chodźmy w noc" (2020 r.) o pogrążonej w depresji dziewczynie uciekającej ze swojej imprezy urodzinowej i serial „Absolutni debiutanci" (2023 r., Netflix, nominacja ▶

eprasa.pl f2ce6bb9a0

▶ do Paszportu POLITYKI), zmysłowo i z wyczuciem opisujący moment dorastania, poszukiwania tożsamości i perspektywę dziewczyny w spektrum. Była konsultantką przy scenariuszu debiutanckiej fabuły Tarabury „Rzeczy zbędne" (2024 r.) i współscenarzystką nagradzanego serialu Klary Kochańskiej-Bajon „Matki pingwinów" (Netflix), komediodramatu o rodzicach dzieci neuroatypowych. Rozwija też swoją drugą pasję pisarską – tworzenie scenariuszy gier wideo.

Rocznik 1995, jest absolwentką scenariopisarstwa w łódzkiej Szkole Filmowej. Za doświadczenie formujące uznaje komediodramat „Fleabag" Phoebe Waller-Bridge. Portalowi Wirtualne Media mówiła: „Chciałabym oglądać więcej bohaterek kobiecych i pisać więcej bohaterek kobiecych, których jeszcze nie widziałam na ekranie. Ale uważam też, że jest jeszcze dużo do zrobienia na polu opowieści o mężczyznach. (...) mówienia o ich wrażliwości, o współczesnych wyzwaniach związanych z byciem mężczyzną".

Dana Łukasińska ■□□

Urodziła się w 1972 r., w zawodzie jest od ponad dwóch dekad. Zaczynała od telenoweli „Samo życie", a od lat główne pole jej działalności to scenariusze serialowe – oprócz tego, że tworzy autorskie adaptacje powieści, jest m.in. kierowniczką literacką w Canal+ – ale ma na koncie także sztuki teatralne oraz scenariusze komiksów. Ukończyła pedagogikę specjalną ze specjalizacją logopedia, pisania uczyła się w Laboratorium Dramatu (przy Teatrze Narodowym), Laboratorium Scenariuszowym (PISF), Konserwatorium Noweli Filmowej (PISF) i Forum Dramaturgicznym (Instytut Teatralny). Jest pasjonatką historii, medycyny, kryminalistyki, medycyny sądowej, antropologii sądowej, co wykorzystuje w serialach z wątkami kryminalnymi, m.in. dwóch sezonach „Nieobecnych" (2020–22, Player), dziejącym się na wschodniej granicy szpiegowskim „Przesmyku" (2024 r., HBO Max), adaptacji „Żmijowiska" Chmielarza i „Żywiołów Saszy. Ogień" Katarzyny Bondy (2019 i 2020 r., Canal+). Była w zespole scenariuszowym „Króla" Twardocha (2020 r., Canal+ i Player) i świetnej „Infamii" (2023 r., Netflix), historii o dojrzewaniu i odnajdywaniu swojej tożsamości, osadzonej w środowisku polskich Romów. Uważa, że scenariusz jest częścią literatury, kultury słowa, powinien więc uwodzić odbiorcę i jako historia, i jako literatura.

Łukasz M. Maciejewski □■□

Rocznik 1980, studiował judaistykę i amerykanistykę na UJ, debiutował jako scenarzysta, pisząc odcinki seriali „Rodzina zastępcza" i „Dwie strony medalu". W 2010 r. otrzymał główną nagrodę Polskiej Edycji Konkursu Scenariuszowego Hartey-Merrill za scenariusz „Waszyński" o legendarnym reżyserze okresu międzywojennego. Współpracuje stale z Marcinem Koszałką, za scenariusz „Białej odwagi" (2024 r.) otrzymał nagrodę na festiwalu w Gdyni. Fascynują go historia, zbrodnia, kwestie tożsamości, często buduje swoje teksty w konwencji kryminału. Jego narracje są wielowarstwowe, nawiązują przeważnie do prawdziwych wydarzeń. „Czerwony pająk" w reż. Koszałki był inspirowany działalnością Karola Kota, seryjnego mordercy z lat 60. XX w., „Najmro. Kocha, kradnie, szanuje" w reż. Mateusza Rakowicza to dowcipna biografia Zdzisława Najmrodzkiego, słynnego w latach 70. i 80. złodzieja ośmieszającego władze. Maciejewski jest też współautorem scenariuszy, m.in. filmu akcji „Dzień matki" (2023 r., Netflix), „Kolorów zła. Czerwień" (2024 r., Netflix) według kryminału Małgorzaty Oliwii Sobczak oraz thrillera „Ukryta sieć" (2023 r.) według prozy Jakuba Szamałka, a także serialu „Król" według powieści Twardocha (2022 r., Canal+). Z powodów finansowych do finału nie doszła niestety realizacja filmowej biografii Tadeusza Kantora w reż. Jana Hryniaka z jego scenariuszem.

Marek Modzelewski □□■

Rocznik 1972, z wykształcenia lekarz specjalista radiologii i diagnostyki, wciąż praktykujący. Karierę pisarską zaczynał od tworzenia skeczy dla kabaretów w rodzinnym Radomiu. Następny był teatr – jego gorzkie komedie „Koronacja" i „Imieniny" dwie dekady temu można było oglądać w Teatrze Narodowym – aż przyszedł czas na kino i telewizję. Największym jak dotąd sukcesem filmowym Modzelewskiego, nazywanego przez niektórych polskim Czechowem z powodu ciętego języka i bolesnych obserwacji społecznych, jest cykl „Teściowie" (2021, 2023 i 2025 r.), błyskotliwa satyra na podzieloną i skłóconą Polskę. We wrześniu wejdzie na ekrany trzecia część tej bijącej rekordy kasowe komedii. „Niebywale wyczulony na polskie absurdy i hipokryzję, sprawia, że w jego utworach stajemy nadzy jak przed lustrem" – pisali zachwyceni krytycy, doceniając również mistrzostwo

© PIOTR BERNAŚ/AGENCJA WYBORCZA.PL, MIESZKO PIĘTKA/AKPA, GAŁĄZKA/AKPA, LESZEK ZYCH, KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS, ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

eprasa.pl f2ce6bb9a0

dialogu i suspens. Jest także autorem scenariuszy kilkudziesięciu odcinków serialu „Barwy szczęścia" i m.in. kinowej fabuły „Warsaw by Night" w reż. Natalii Korynckiej-Gruz. A także seriali „Klara" (2024 r., Player) według powieści Izy Kuny oraz świetnego, zaskakującego, napisanego razem z Krzysztofem Czeczotem „Porządnego człowieka" (2025 r., HBO Max). Jego sztuki „Inteligenci", „Wstyd" i „Kto chce być Żydem?" są grane w kilku teatrach i wyszły w formie książkowej.

Jakub Rużyłło

Absolwent politologii na UW, pokerzysta, copywriter, zwycięzca freestyle'owych raperskich bitew i w wieku 38 lat najbardziej uznany polski scenarzysta komediowy, twórca największego hitu serialowego ostatnich lat. „1670" stał się kulturowym fenomenem, a kwestie typu „Nikt mi nie dał nic za darmo. Wszystko musiałem sam odziedziczyć" czy „Człowiek dochodzi do czegoś ciężką pracą własnych chłopów, to zabrać mu! Taka mentalność" (w reakcji na pomysł podwyższenia podatków) weszły do memów. Producent „1670" Ivo Krankowski jest też odkrywcą Rużyłły: widząc jego raperskie wyczyny, zaproponował mu współtworzenie programu typu late night dla Canal+. Program nie powstał, ale Rużyłło nabrał doświadczenia w pisaniu żartów i dał się poznać w branży, co zaowocowało kolejnymi zaproszeniami: do skeczowego „SNL Polska" (2018 r., Showmax), seriali „The Office PL" (od 2021 r., Canal+) i „Mamy to" (2021 r., Player), filmu „Kryptonim Polska" (2022 r.), drugiego sezonu „Sexify" (2023 r., Netflix) i „Gąski" (2024 r., Prime Video). Rużyłło jest mistrzem humoru typu cringe, bazującego na obciachu, ale też podszytego współczuciem dla zmagających się ze sobą i z rzeczywistością bohaterów. „Bardziej kręci mnie komedia, która wynika z nastroju, z organicznej sytuacji, a niekoniecznie z błyskotliwości bohaterów" – deklaruje. Drugi sezon „1670" ma premierę 17 września, trzeci został już zamówiony.

Łukasz Sychowicz

Polska wersja sitcomu wszech czasów, „The Office", okazała się rzeczą z gatunku tych, o które nikt nie prosił, a każdy ich potrzebował. Sychowicz jako główny scenarzysta wraz ze swoją ekipą od pięciu sezonów tworzy produkcję inspirowaną oryginałem, ale osadzoną w naszych realiach, o czym najlepiej świadczy wykraczająca poza serial kariera jednego z bohaterów, Darka Wasiaka (Adam Woronowicz), fana tradycji, papieża Polaka, rekonstrukcji bitew i zasad bhp, wygłaszającego absurdalne pogadanki spod szyldu „kiedyś to były czasy, teraz to nie ma czasów". Sychowicz fachu uczył się, pisząc do programów rozrywkowych: od „Szymon Majewski Show" (2005–11, TVN), przez „SNL Polska". Dziś jest także producentem kreatywnym i wykonawczym. Ma na koncie m.in. filmowe komedie „Kryptonim Polska" w reż. Piotra Kumika i „Spadek" w reż. Sylwestra Jakimowa oraz nową wersję sitcomu „Camera Cafe. Nowe parzenie" (2023 r., Player). Przede wszystkim zaś „Algorytm miłości" (2024 r., Canal+), powalającą satyrę na programy typu bikini reality. „Zależało nam na stworzeniu realnego świata oraz realnych postaci, z krwi i kości. Dopiero wtedy głupoty, które bohaterowie mówią, i absurdalne sytuacje, które im się dzieją, mają szansę być naprawdę śmieszne. Nie zawsze dla uczestników programu, ale dla widza owszem" – tłumaczył swoje intencje.

Kacper Wysocki

Zasłynął mocnymi, gatunkowymi opowieściami z męskimi bohaterami w centrum, które sam określa jako „mroczne historie o delikatnych ludziach", ale ostatnio daje sygnały, że chciałby pójść w jaśniejszą stronę – czarnej komedii. Głośno o nim zrobiło się w 2021 r. po premierze „Klangoru" (Canal+) – osadzonej w Świnoujściu udanej odpowiedzi na popularność gatunku nordic noir, z Arkadiuszem Jakubikiem w roli ojca desperacko poszukującego zaginionej córki (w przyszłym roku obejrzymy drugi sezon). Następnie współtworzył „Królową" Netflixa, z Andrzejem Sewerynem w roli drag queen z Paryża, ratującej rodzinne, pokopalniane polskie miasteczko, „Belfra III" (Canal+) oraz „Informację zwrotną" według powieści Jakuba Żulczyka, pozbawiony upiększeń czy usprawiedliwień obraz alkoholizmu (Netflix). Hitem międzynarodowym okazał się ubiegłoroczny serial „Idź przodem, bracie" w reż. Macieja Pieprzycy (Netflix) według jego scenariusza, opowiadający historię byłego antyterrorysty z atakami paniki (Piotr Witkowski), który pracuje jako ochroniarz w podłódzkim centrum handlowym i tam wymyśla plan pozbycia się długów oraz lokalnej mafii. Rocznik 1988 r., pochodzi z Bełchatowa, studiował scenariopisarstwo w Szkole Filmowej w Łodzi i tam też jest wykładowcą.

ANETA KYZIOŁ, JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Grupa wysokiego ryzyka

Letnie festiwale znów są polityczne. Kulminację zjawiska zobaczymy w Katowicach na koncercie kontrowersyjnego tria Kneecap. Czy to powrót do brawury w głoszeniu poglądów, którą pamiętamy z historii muzyki rozrywkowej?

BARTEK CHACIŃSKI

© KI PRICE/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

W karierze Kneecap, hip-hopowej grupy z Irlandii Północnej, były dwa momenty krytyczne. Do pierwszego doszło na ich koncercie – wtedy jeszcze byli fenomenem czysto lokalnym – w 2019 r. Występowali w Empire Music Hall w Belfaście, a atmosfera była na tyle gorąca, że DJ Próvaí (naprawdę nazywa się JJ Ó Dochartaigh) – ten w charakterystycznej kominiarce w irlandzkich barwach – wystawił w stronę publiczności, ku powszechnej radości, swoje gołe pośladki. Na jednym miał napis „Brits", a na drugim „out", co razem daje „Brytole do domu". Pikanterii sprawie dodawał fakt, że ledwie dzień wcześniej w tym samym lokalu odbywała się oficjalna wizyta rodziny królewskiej. Książę William z księżną Kate nalewali i serwowali lokalne piwo, spotykając się z młodymi mieszkańcami – dla podkreślenia jedności w królestwie w obliczu brexitu.

Obnażenie się Próvaía (który pseudonim wziął od Provisional Irish Republican Army – frakcji IRA) miało dalsze konsekwencje. Ó Dochartaigh był na co dzień nauczycielem języka irlandzkiego w liceum, a wideo z fragmentem koncertu szybko dotarło do rady pedagogicznej. Przeciwko didżejowi Kneecap zostało więc wszczęte postępowanie dyscyplinarne – musiał się pożegnać z pracą i postawić na muzykę. Tę historię opowiada zresztą zeszłoroczna, popularna i nagradzana na festiwalach komedia „Kneecap. Hip-hopowa rewolucja", która i tak barwne losy zespołu prezentuje z dodatkową domieszką fikcji, robiąc z jego członków bohaterów w walce o przetrwanie narodowego języka, w myśl zasady, że „każde słowo wypowiedziane po irlandzku to pocisk w walce o wolną Irlandię". Kreśli wizerunek grupy niebezpiecznej – sama nazwa Kneecap odnosi się do procederu strzałów w kolano, którymi karano lub zastraszano wrogów w najgorszym okresie starć lojalistów z republikanami w Irlandii Północnej. A zarazem dowcipnej – przypominając, że jedna z ciężkich inwektyw po irlandzku oznaczała coś w stylu „oby najcięższy kamień w morzu spoczął ci na głowie".

Uwolnić Mo Charę

Drugi przełom związany jest z wydarzeniem znacznie głośniejszym. W listopadzie ubiegłego roku zespół w ramach promocji swojej pierwszej płyty „Fine Art" grał w dużej sali O2 Forum Kentish Town w Londynie. Mo Chara (właśc. Liam Óg Ó hAnnaidh), jeden z dwóch raperów Kneecap (drugi to Móglaí Bap, prywatnie Naoise Ó Caireallaín), wymachiwał, po czym założył na siebie flagę Hezbollahu. Towarzyszyły temu okrzyki wsparcia dla organizacji terrorystycznych („Up Hamas! Up Hezbollah!") oraz skandowanie: „Wolność dla Palestyny!". W maju br. postawiono mu za to zarzut wspierania terroryzmu. W czerwcu stanął przed sądem, który uznał, że może odpowiadać z wolnej stopy, i wyznaczył kolejną rozprawę na sierpień.

Tymczasem rósł mit Kneecap jako grupy politycznej. Sami wprawdzie tłumaczyli incydent nie jako wyraz wsparcia dla Hezbollahu, tylko gest prowokacji, odcięli się od ataków na ludność cywilną, ale na amerykańskiej Coachelli w kwietniu wyświetlali na ekranach komunikaty o ludobójstwie, jakiego dopuszcza się Izrael na Palestyńczykach, oraz – już bardziej hasłowo – „pieprzyć Izrael, uwolnić Palestynę". Tym z kolei wywołali burzę w USA: festiwal przerwał transmisję koncertu, reprezentująca zespół agencja koncertowa zerwała z nim kontrakt, muzycy stracili więc wizy i możliwość rychłego powrotu. A imprezy w kolejnych krajach – szczególnie te niemieckie – zaczęły odwoływać planowane występy Irlandczyków.

Sprawa osiągnęła apogeum pod koniec czerwca, w przededniu gigantycznego Glastonbury Festival w Anglii. Najpierw posłanka torysów Kemi Badenoch opisała jako skandal, że publiczny nadawca (BBC) miałby transmitować koncert ekstremistów. A wkrótce premier Keir Starmer zaapelował o wyrzucenie grupy z programu imprezy. Organizatorzy się na to nie zgodzili, ale BBC się ugięła i porzuciła pomysł transmisji, uznając, że to występ „wysokiego ryzyka".

Ostatecznie festiwalowa publiczność 28 czerwca przyniosła pod scenę mnóstwo palestyńskich flag. Ze sceny padały podobne hasła co poprzednio, a z nowości: „Pieprzyć Keira Starmera" i „Uwolnić Mo Charę". Bo choć raper nie został nawet aresztowany, to w sklepiku zespołu można już nabyć odpowiednie koszulki. A transmisja, owszem, i tak się odbyła – tyle że fanowska i w mediach społecznościowych. Wiemy z niej, że do zespołu dołączył Grian Chatten, lider popularnej grupy Fontaines D.C. z Dublina (podobnie jak Kneecap wystąpią na początku sierpnia na katowickim Off Festivalu). A kwestie irlandzka i palestyńska, związane

eprasa.pl f2ce6bb9a0

od dawnych czasów współpracy IRA z Organizacją Wyzwolenia Palestyny, były oczywiście tematem dnia, zgodnie z tym, co Móglaí Bap mówił w wywiadzie dla polskiego „Mint Magazine": „Dla nas jako Irlandczyków to naturalna sprawa, by mówić o Palestynie".

Beatlesi za Irlandią

To nie pierwszy raz, kiedy na Glastonbury pojawiają się podobne tematy. 20 lat wcześniej Christy Moore, weteran irlandzkiej sceny, zaśpiewał tu nową piosenkę „Burning Times". Poświęcona była amerykańskiej aktywistce Rachel Corrie, zabitej podczas protestu przeciwko wyburzaniu przez Izraelczyków palestyńskich domów w Strefie Gazy. Jego utwory trafiały zresztą na czarną listę BBC – nie grano tam „Back Home in Derry", oryginalnie napisanego przez legendarnego bojownika IRA Bobby'ego Sandsa, zmarłego w więzieniu w wyniku strajku głodowego.

Próby wyciszania gwiazd estrady są bowiem stare jak sama muzyka rozrywkowa. Lewicowego barda Pete'a Seegera postawiono przed Komisją ds. Badania Działalności Antyamerykańskiej, a jego karierę radiową i estradową na pewien czas zduszono. Protest song Niny Simone „Mississippi Goddam" był zakazany w stanach amerykańskiego Południa. Bobowi Dylanowi zabroniono wykonania w telewizji CBS utworu „Talkin' John Birch Paranoid Blues" – satyry na antykomunistyczne obsesje amerykańskiej prawicy – a płytę z tą piosenką wydawca usunął z tłoczni i zastąpił utwór innym.

Brytyjskie media też mają długą historię zakazów emisji politycznych songów. Bodaj najgłośniejszym przypadkiem była piosenka Wings, grupy założonej przez Paula i Lindę McCartneyów. Zatytułowana „Give Ireland Back to the Irish" (Oddajcie Irlandczykom Irlandię), została napisana i nagrana w porywie emocji tuż po wydarzeniach Krwawej Niedzieli w Derry, kiedy brytyjscy żołnierze zabili 14 uczestników pokojowej, choć nielegalnej manifestacji przeciwko ostrym restrykcjom ułatwiającym internowanie podejrzanych o terroryzm Irlandczyków i właśnie ograniczeniom wolności zgromadzeń. Jedynym otwartym przeciwnikiem zakazu emisji utworu w BBC był słynny prezenter muzyczny John Peel, który uznał zarządzenie mediów za akt bardziej polityczny niż sama piosenka.

Kilka miesięcy później do McCartneya dołączył John Lennon wspólnie z Yoko Ono, publikując piosenkę „Sunday Bloody Sunday" (z dość podobnym przesłaniem: „Keep Ireland for the Irish/Put the English back to sea"). Wiele lat później, już w bardziej rozjemczym duchu, śpiewała o tym grupa U2. W sierpniu 1971 r., w szczycie swojego politycznego zaangażowania, John Lennon maszerował zresztą przez ulice Londynu w demonstracji domagającej się wycofania brytyjskich wojsk z Irlandii Północnej. Były Beatles szedł ramię w ramię z Yoko Ono, trzymając plakat z hasłem „For the IRA against British imperialism" (Na rzecz IRA, przeciw brytyjskiemu imperializmowi). Wszystko działo się jeszcze przed erą najbardziej krwawych zamachów irlandzkiej organizacji.

Pod koniec lat 80. ofiarą cenzury zostali muzycy The Pogues. Ich „Streets of Sorrow/Birmingham Six" bezpośrednio odnosiło się do starć między lojalistami a republikanami oraz do konkretnych więźniów, niesłusznie skazanych za terroryzm. Występ grupy na żywo w Channel 4 został na tym utworze przecięty reklamami, a na anteny radiowe piosenka wróciła dopiero po kilku latach – wraz z powrotem na wolność jej bohaterów.

Front muzyków

Na polskie sceny wielką politykę sprowadziła w tym roku grupa Massive Attack, przygotowując na początku lipca na Ope n'erze spektakl pełen zaangażowania – z chłodnymi, ale wstrząsającymi liczbami opisującymi ofiary w Strefie Gazy, w tym dzieci, lekarzy i dziennikarzy. Zespół pokazywał też – wyrażane w miliardach dolarów – wsparcie militarne USA dla Izraela. A przy okazji opisywał sposoby, na jakie urabiana jest w epoce mediów społecznościowych opinia publiczna. I to członkowie Massive Attack zareagowali na odwołanie imprez z udziałem Kneecap, ogłaszając utworzenie wspólnego frontu przeciwko próbom zastraszenia wewnątrz branży muzycznej. Koalicja żąda m.in. pełnego dostępu do Gazy dla organizacji pomocowych, zakończenia sprzedaży brytyjskiej broni do Izraela oraz natychmiastowego i trwałego zawieszenia broni. W jej skład weszli na razie Kneecap, Fontaines D.C., Brian Eno i Garbage.

Do niedawna dość blado na tle gorącego politycznego lata wypadali polscy artyści. Może to dlatego, że duże marki sponsorujące letnie festiwale nie lubią politycznego kontekstu, ten związany z wojną prowadzoną przez Izrael w Strefie Gazy jest wyjątkowo niewygodny. A w tekstach polskich piosenek tym bardziej mało jest odniesień do polaryzujących opinię publiczną spraw związanych z krajową polityką. Może dlatego tak głośno wybrzmiał przykład z zakończonego niedawno festiwalu w Jarocinie, gdzie podczas występu grupy Myslovitz na widowni pojawił się baner wyborczy Grzegorza Brauna. Zespół przerwał koncert, a Przemysław Myszor zawołał: „Bardzo nam miło, mieliśmy grać dalej, ale pojawiła się twarz, której absolutnie nie wspieramy. Mam nadzieję, że to jest żart, że go tutaj przynieśliście". I za chwilę dodał: „Ale możemy zagrać jeszcze refren z wami, jeśli mi powiecie, że też tego pana, k..., nie wspieracie". Pod rejestracją tego incydentu głosy poparcia mieszają się z komentarzami oburzonych zwolenników Brauna.

W Polsce manifestuje się dziś raczej solidarność z Ukrainą i sprzeciw wobec rosyjskiej agresji. Na Off Festivalu, gdzie obok Kneecap i Fontaines D.C. wystąpi jeszcze zaangażowany politycznie Seun Kuti, syn Feli Kutiego, sytuacja się jednak zmieni. W tej dziedzinie jesteśmy zresztą nie najgorszym polem do dyskusji – za publiczne wykorzystywanie symboliki takich organizacji jak Hezbollah nie grozi u nas kara sześciu miesięcy więzienia, jak w Wielkiej Brytanii, gdzie obowiązuje Terrorism Act 2000. Choć ryzyka związanego z zaangażowaniem w konflikty narodowościowe na imprezach masowych nie należy już u nas pomijać. A na rapera z Kneecap, którego w Katowicach publiczność będzie nosić na rękach, czeka po powrocie sąd. Na szczęście nie polowy. ■

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Rasizm, fanatyzm, uprzedzenia nigdy w Ameryce nie zniknęły. A dziś wręcz stały się modne – mówi **Percival Everett**, autor uhonorowanej Nagrodą Pulitzera powieści „James".

Wyjątkowo złośliwy pisarz

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Kończył pan pisać powieść „James" – historię Jima, zbiegłego niewolnika, który towarzyszy w podróżach Huckowi Finnowi – w 2023 r., w nieco odmiennej rzeczywistości politycznej. Czy dziś postrzega ją pan inaczej?**

PERCIVAL EVERETT: – Wiele zmieniło się na gorsze. To, co robi administracja Donalda Trumpa, to odwrót od wielu osiągnięć ruchu praw obywatelskich, o które walczyliśmy całe dekady. Wydaje mi się, że kluczem do zrozumienia zmian zachodzących w Stanach Zjednoczonych jest to, że kiedyś, w latach 50., 60., 70., nawet rasiści rozumieli, że rasizm jest czymś złym. I poza ekstremalnymi przypadkami przynajmniej udawali, że nie są rasistami. Teraz już jest inaczej. Skrajna prawica odzyskała pewność siebie, dlatego że nieustannie czuje rosnące poparcie. To smutne, ale tak wygląda dzisiaj Ameryka. Rasizm, fanatyzm, uprzedzenia – to nigdy nie zniknęło, a teraz takie poglądy stały się modne. Jeszcze smutniejsze jest to, że stanowią filozofię życiową ludzi, którzy – delikatnie mówiąc – nie są zbyt bystrzy. Wolałbym, żeby złoczyńcy, z którymi przyszło nam się mierzyć, byli inteligentni. A są niezwykle głupi.

Percival Everett (ur. 1956 r.) – jeden z czołowych pisarzy afroamerykańskich, autor kilkunastu powieści i kilku zbiorów poezji, eseista, malarz, wykładowca uniwersytecki. Jego najnowsza książka „James" zdobyła m.in. Nagrodę Pulitzera i National Book Award, była też nominowana do Bookera. Prawa do ekranizacji kupił Steven Spielberg. W Polsce ukazała się nakładem wydawnictwa Marginesy w przekładzie Kai Gucio.

Kiedy postanowił pan oddać głos Jimowi?

Ten pomysł przyszedł do mnie nagle. Jasne, że od dawna gdzieś z tyłu głowy miałem wszystkie te problemy, o których mówi „James". Część pojawiała się w moich poprzednich książkach. Jednak nigdy wcześniej nie rozważałem jako bohatera Jima, który byłby nośnikiem jakichś idei. Jednocześnie zawsze czułem dyskomfort związany z tym, jak w kulturze popularnej, zarówno w literaturze, jak i w filmie, przedstawiani byli niewolnicy. I zawsze byłem fanem Marka Twaina. W którymś momencie te wszystkie elementy połączyły się w całość.

Twain używał rasistowskiego języka, lecz rasistą nie był…

Tu akurat sprawa jest bardziej skomplikowana. Wiadomo, że był zwolennikiem równouprawnienia Afroamerykanów, zdecydowanie sprzeciwiał się niewolnictwu. Przyjaźnił się z czarnymi Amerykanami, bardzo ich wspierał. Pamiętam, że czytałem jego pisma i czułem łączącą mnie z nim więź. Jednak po latach przeczytałem jego teksty poświęcone rdzennym Amerykanom i nagle przestał być taki sympatyczny. Mimo uwielbienia, jakim darzę jego dzieła, nie potrafię go już tak bezwarunkowo podziwiać.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Jak się pan czuje, czytając oryginalne „Przygody Hucka Finna", gdzie rasowe obelgi i stereotypy są wszechobecne? A zanim usiadł pan do pisania „Jamesa", przeczytał pan tę książkę, jak słyszałem, 15 razy.

Przede wszystkim mam świadomość, że Twain nie mógł nic poradzić na poglądy ludzi, wśród których dorastał i był wychowywany. Język jego powieści odzwierciedla ówczesną rzeczywistość, a „Przygody Hucka Finna" po raz pierwszy ukazały się drukiem w 1884 r. Ja pisałem swoją książkę 140 lat później, z całym bagażem postępu społecznego, ewolucji poglądów – czy trwałej, to się dopiero okaże – więc nawet nie chciałbym porównywać „Jamesa" do powieści Twaina, bo obu nas ukształtowały zupełnie inne światy. Nie chciałem korygować języka ani poglądów Twaina i jego współczesnych. Traktuję „Jamesa" raczej jako studium „Przygód..." pisane z innej perspektywy.

Czy jest jakaś cecha pisarstwa Twaina, którą szczególnie pan docenia?

Był piekielnie inteligentnym człowiekiem i wyjątkowo – mówię to jako komplement – złośliwym pisarzem. Miał cudowny zmysł krytyczny i nie przebierał w słowach, nawet gdy komentował prace wybitnych autorów. O Henrym Jamesie kiedyś napisał, że gdy na chwilę odłoży jego książkę, to nie może się zmusić, żeby do niej wrócić.

To ważne, żeby zachować ten zmysł krytyczny wobec innych twórców?

To zależy od charakteru człowieka. Myślę, że Twain nie mógł się powstrzymać. A ja mam w sobie coś takiego, co nie pozwala mi dyskredytować słów napisanych przez inną osobę. Mogę uznać, że taka czy inna książka nie jest dla mnie, i to jest w porządku. Ale jednocześnie uświadamiam sobie, że to, co mi się nie podoba, ma swoich odbiorców. Niektórzy czytelnicy uwielbiają romanse, ja ich nie znoszę. Jednak to nie jest z mojej strony ocena gatunku, lecz kwestia subiektywnego podejścia. To mój wybór – nie czytam romansów, bo do mnie nie przemawiają. Co nie sprawia, że myślę o nich jako o literaturze gorszego rodzaju. Jeśli ludzie chcą czytać jakieś książki, to fantastycznie. I w ogóle nie lubię pisarskiej konkurencji, dlatego nie jestem zwolennikiem nagród literackich.

Za „Jamesa" dostał ich pan już całkiem sporo.

Oczywiście je doceniam, cieszę się, ale nie uważam swojego pisania za powód do szczególnej dumy. Książka nie staje się lepsza od tego, że dostanie jakąś nagrodę, choć dzięki temu z pewnością ma szansę dotrzeć do większej liczby czytelników, więc ja też czerpię z tego korzyści. Ale czułbym się równie dobrze, gdyby „James" nie cieszył się taką popularnością jak teraz. To książka, która jest już za mną. Ważniejsze są te, które dopiero napiszę.

Szczególnie ważna jest w „Jamesie" warstwa językowa: Jim i inni niewolnicy w obecności białych używają infantylnego slangu, żeby ukryć swoją inteligencję i wiedzę. Czy inspirował się pan jakimś niewolniczym żargonem?

Inspiracją dla mnie była ogólna właściwość ludzkiej natury, czyli potrzeba wytworzenia własnego języka. Ludzie zniewoleni muszą znaleźć taki sposób porozumiewania się, który nie dopuści do nich osób z zewnątrz, oprawców, wrogów. Kto wie, jak taki język mógłby brzmieć? Lecz jednocześnie niewolnicy muszą w codziennych sytuacjach posługiwać się językiem, jakiego oczekują od nich ich właściciele, by zapewnić sobie bezpieczeństwo choćby w taki sposób. Uznałem, że ten infantylny, bardzo uproszczony język w uszach białych ludzi brzmiałby bardzo niegroźnie. A jednocześnie odwoływał się do stereotypów, jakie w kulturze popularnej istniały od XIX w.

Nie mamy pewności, jak rozmawiali ze sobą niewolnicy w różnych miejscach. Z pewnością ich sposoby komunikacji się różniły. Czy posługiwali się standardowym angielskim? Jedni z pewnością tak, inni nie. Ale przecież mieli tę samą zdolność do głębokich, abstrakcyjnych przemyśleń. I w jakiś sposób rozmawiali między sobą o złożonych sprawach. Pozbawieni dostępu do wykształcenia, musieli tworzyć język specyficzny dla tej czy innej grupy. To fascynujące, bardzo złożone zjawisko.

W pana powieści niewolnicy nie tylko ukrywają prawdziwe charaktery, są też o wiele bystrzejsi i inteligentniejsi niż większość białych, nawet jeśli nie mają dostępu do ich wiedzy.

Tak, i dlatego James, czytając potajemnie książki w domu sędziego, robi z nich znacznie lepszy użytek niż ich właściciel. Konieczność walki o przetrwanie daje moim bohaterom życiową mądrość i inteligencję. Muszą być czujniejsi od swoich oprawców. Biali, których opisuję w „Jamesie", zawsze występują z pozycji władzy. Nie stoją przed nimi żadne wyzwania, to ich rozleniwia i sprawia, że nie muszą zbyt dużo myśleć.

„James" to także powieść o sile słowa pisanego. Sam fakt spisywania przez Jima wspomnień jest emancypacyjnym gestem. Czy inspirował się pan prawdziwymi pamiętnikami niewolników?

Zachowało się ich zaskakująco dużo, więc nie mogę powiedzieć, że dokładnie studiowałem temat, ale z pewnością nie jest mi obcy i do wielu z nich się mniej lub bardziej bezpośrednio odnosiłem. Niektóre, jak wspomnienia Solomona Northupa „Zniewolony", zapisały się na stałe w kulturze, inne są znane przede wszystkim historykom. Ciekawe, że wielu z tych wspomnień nie spisywali sami niewolnicy, lecz były dyktowane. W takiej sytuacji język, w jakim spisana jest książka, nie jest językiem jej bohatera. Czasami dochodziło do zupełnych przekłamań. Przy pisaniu „Jamesa" studiowałem np. zeznania Denmarka Vesseya, wolnego czarnego człowieka, który był przywódcą nieudanego buntu niewolników w Karolinie Południowej w 1822 r. Został złapany i skazany na śmierć, ale zachowały się jego zeznania złożone przed sądem. Tyle że w całości spisał je jeden z jego oprawców, więc z historycznego punktu widzenia można je uznać za fikcję. Dlatego tak ważne było dla mnie to, że James sam jest w stanie zapisywać swoje doświadczenia i myśli.

W swoich powieściach często korzysta pan z elementów literatury gatunkowej. Do czego panu służą?

Nie myślę o gatunku jako o narzędziu, lecz raczej interesuje mnie to, jakie kultura ma oczekiwania wobec takiego czy innego rodzaju tekstu. Po elementy powieści gatunkowej sięgam po to, żeby pobawić się trochę z odbiorcami. Zresztą dziś pewne gatunki są tak popularne i tak przetworzone przez popkulturę, że stają się rozpoznawalne na pierwszy rzut oka. Mogę nie czytywać, powiedzmy, powieści detektywistycznych, ale wiem, z jakich składają się elementów, co jest w nich ważne. Odwołuję się zatem do konkretnych gatunków, jednocześnie nie pisząc literatury gatunkowej.

Jest pan pisarzem, poetą, malarzem, wykładowcą akademickim. Które z tych zajęć jest dla pana najważniejsze?

Ja tylko robię to, co umiem. Więc odpowiedziałbym, że najważniejsza jest dla mnie rola ojca. I tę chcę wykonywać jak najlepiej. ■

© DAVID LEVENSON/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

OZZY OSBOURNE (1948–2025)

Czarny książę Oz

Śmierć **Ozzy'ego Osbourne'a** to koniec epoki nie tylko w dziejach heavy metalu, lecz także w historii muzyki rozrywkowej w ogóle.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Osłabiony chorobą Parkinsona, z organizmem wyniszczonym dekadami spożywania wszelkich nielegalnych i legalnych substancji odurzających, Ozzy Osbourne już kilka lat temu zakończył karierę koncertową. Ale wciąż nagrywał – jego ostatnia solowa płyta „Patient Number 9" ukazała się trzy lata temu – i zapowiadał, że jeszcze wróci do studia. Pożegnalny koncert Black Sabbath, zagrany 5 lipca w Birmingham, czyli tam, gdzie 57 lat temu zaczęła się kariera zespołu, dawał nadzieję, że to jeszcze nie ta chwila.

Ozzy tego wieczoru nie był już Księciem Ciemności, jak go przez lata określano, lecz królem. Siedział na czarnym tronie, bo nie mógł już stać za mikrofonem, ale udźwignął wokalnie ciężar tego pożegnania z publicznością i przyjaciółmi. To nie był i nie mógł być ten sam głos, który niegdyś stał się synonimem hardrockowej potęgi. Ale to bez znaczenia. Ostatni w dziejach koncert Black Sabbath, grany dla 40 tys. osób na miejscu i ponad 5 mln w streamingu, oglądało się ze ściśniętym ze wzruszenia gardłem. Artysta zmarł 17 dni później, a metal stał się jeszcze czarniejszy niż zazwyczaj, tyle że czernią żałoby.

Pożegnanie Black Sabbath, spuentowane śmiercią Ozzy'ego, to symboliczny koniec epoki. Zespół dawno już wzniósł sobie pomnik trwalszy niż ze spiżu, bo odlany z metalu. Nie ma zespołu grającego ciężką muzykę w jej niezliczonych odmianach, dla którego nie byliby punktem odniesienia. „Moim zdaniem Sabbath są z tej samej ligi, co Beatlesi czy Mozart" – mówił Rob Halford, lider zespołu Judas Priest.

Black Sabbath dokonali rzeczy niezwykłej: niemal z dnia na dzień zmienili historię muzyki rozrywkowej. Z tego, co już było – bluesa, jazzu, rock and rolla i hard rocka – stworzyli nowy gatunek, i to taki, który po ponad półwieczu wciąż ewoluuje i zyskuje nowych fanów. Z podziemi wszedł do mainstreamu, znalazł swoje miejsce w popularnych stacjach radiowych i telewizyjnych, a to w jakiejś mierze również było zasługą Osbourne'a.

Grobowa płyta

Należał do wybitnego pokolenia dorastającego w powojennej Anglii zmagającej się z problemami finansowymi i politycznymi. Dzieci z robotniczych rodzin i klasy średniej przekuwały swoje frustracje w zbuntowaną sztukę. W kinie przyniosło to filmy młodych gniewnych, a nieco później społeczne arcydzieła Kena Loacha i Mike'a Leigh. W muzyce najpierw eksplozję rocka: nawet niewinnie dziś brzmiące piosenki Beatlesów były dla starszych

© MICK HUTSON/REDFERNS/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

pokoleń wywrotowe. The Rolling Stones, The Who, David Bowie, Joe Strummer... – ludzie urodzeni w latach 40. i na początku lat 50. zamienili angielski rock w najlepszą muzykę świata. A w 1968 r. zadebiutowały trzy brytyjskie zespoły, które miały na zawsze odmienić oblicze hard rocka i dać początek metalowi: Led Zeppelin, Deep Purple i właśnie Black Sabbath.

Ozzy, birminghamczyk z wielodzietnej rodziny robotniczej, miał trudne dzieciństwo, znaczone przerwaną edukacją, kłopotami z prawem, próbami samobójczymi. W drugiej połowie lat 60. stawiał już pierwsze kroki na muzycznej scenie, do współpracy zaprosił go gitarzysta Tony Iommi i po paru projektach wreszcie ustabilizował się pierwszy, najważniejszy skład zespołu, który wtedy nazywał się Earth. Do Iommiego i Osbourne'a dołączyli basista Geezer Butler i perkusista Bill Ward. Tak zaczęła się rewolucja.

Na haju i na wylocie

Nazwa Black Sabbath była przypadkiem. W Anglii działała już grupa Earth, więc muzycy szukali innej nazwy, a w kinie nieopodal ich sali prób leciał film grozy z Borisem Karloffem „Black Sabbath" (w Polsce znany też jako „Czarne święto"). Pasowało. Nazwa była mroczna, niepokojąca, prowokacyjna – tak jak muzyka, którą chcieli grać młodzi zbuntowani artyści.

Już pierwszy album, zatytułowany po prostu „Black Sabbath" (1970 r.), okazał się ikoniczny. Z intro, w którym na dźwięki burzy i bijącego dzwonu nakłada się posępny riff gitary Iommiego, z posępnymi tekstami, inspirowanymi okultyzmem i książkami Tolkiena, wreszcie z niepokojącą, mroczną ikonografią. Słychać tu przygnębienie, jakie musiało otaczać czwórkę 22-latków w Anglii lat 60. Słychać też jeszcze bluesowe inspiracje, w „The Wizard" pojawia się harmonijka, nie wszystkie utwory mają ciężar grobowej płyty z wiktoriańskiego cmentarza. Ale na fundamencie tej płyty stanął wkrótce cały metalowy nurt w muzyce, z jego nieobliczalnością, agresją, szaleństwem, ciemnością, lecz także prowokacyjnym humorem. Arcydziełami były też kolejne płyty: „Paranoid", „Master of Reality", „Vol. 4" i „Sabbath Bloody Sabbath" – wszystkie nagrane ledwie w cztery lata. Nie zwalniali tempa, niestety nie tylko w kwestiach muzycznych.

„Codziennie paliłem trawkę, piłem wódę, brałem kilka ścieżek koki, dopie...lałem się speedem, barbituranami, syropem na kaszel, kwasem, czym popadło" – wspominał Osbourne w autobiografii „Ja, Ozzy". Cały zespół funkcjonował na dopalaczach – podobnie jak większość sceny rockowej lat 70. – ale on, o czym opowiadał z rozbrajającą szczerością, uzależniał się natychmiast od wszystkiego, czego spróbował. Narkotyki i alkohol miały mu towarzyszyć niemal do końca życia, mimo licznych odwyków i jeszcze liczniejszych deklaracji, że teraz to już koniec z używkami.

Na haju pisali najlepsze numery, mogli koncertować bez ustanku, a ceną, jaką za to płacili, był przede wszystkim lęk przed nalotem policji. „Chociaż uwielbialiśmy robić za odkurzacze, wiedzieliśmy, że wybuchłaby afera, gdybyśmy zostali nakryci z jedną taką nielegalną dostawą, zwłaszcza w Stanach. Nie bardzo uśmiechało mi się kiblować w amerykańskim pierdlu" – wspominał.

Nałóg sprawił wreszcie, że koledzy z Black Sabbath się zbuntowali. Coraz częściej dochodziło między nimi do kłótni, a nawet bójek. Wreszcie Ozzy wyleciał z zespołu za nieobliczalne zachowanie. Używki miały sprawiać, że nie traktował swoich obowiązków poważnie, on sam uważał, że nie ćpał więcej niż inni muzycy.

Po latach Bill Ward potwierdzał, że alkohol był główną siłą, która niszczyła Black Sabbath. Ozzy'ego zastępowali przez lata inni wokaliści, w tym wybitni, jak Ronnie James Dio czy Ian Gillan. Ale żaden nie wpisał się tak doskonale w charakter zespołu (choć Dio był blisko), trzeba jednak przyznać, że trafiło im się zadanie wyjątkowo niewdzięczne.

Osbourne wspominał natomiast, że po rozstaniu z zespołem ćpał i pił przez kilka tygodni, przekonany, że teraz czeka go powrót do Birmingham i życie na zasiłku. Miał już jednak wtedy rozgrzebany solowy projekt i jego pierwsza płyta nagrana bez Sabbathów „Blizzard of Ozz" ukazała się już w 1980 r. Co więcej, okazała się gigantycznym komercyjnym sukcesem, a Ozzy zaczął nowe sceniczne życie. Także, jak miało się okazać, jeszcze bardziej dziwaczne, szalone i nieobliczalne.

Do legendy przeszły wywoływane przez Ozzy'ego skandale. Na konferencji prasowej w 1981 r. odgryzł głowę żywemu gołębiowi, którego wcześniej trzymał za pazuchą (miał też drugiego, ale – jak twierdzi – wypuścił go wolno). Rok później podczas koncertu odgryzł głowę nietoperza rzuconego na scenę przez jednego z fanów. Osbourne podobno myślał, że zwierzę to gumowa zabawka, a nietoperz miał tyle szczęścia, że był martwy już wcześniej.

Jeśli według wyśmiewanego w memach powiedzenia w każdym z nas są dwa wilki, to w Ozzym jeden z wilków tworzył wybitną muzykę, drugi ćpał coraz więcej. Gitarzysta Zakk Wylde, który przez wiele lat występował w zespole Osbourne'a, śmiał się, że Ozzy ma odporność King Konga albo Godzilli. Nie zawsze to wystarczało: w latach 80. artysta musiał odwoływać część zaplanowanych koncertów, bo nie był w stanie śpiewać. Odwyki czasami pomagały, ale na krótko, a przy życiu muzyka trzymała jego druga żona (a zarazem menedżerka) Sharon, choć i ona drogo za to płaciła, zdarzyło się bowiem, że na haju Ozzy próbował ją udusić.

Aż przyjdzie śmierć

Gdy był w formie, wciąż udowadniał, że jest wielki. Miał olbrzymie poczucie humoru, o czym świadczą liczne udzielane przez całą karierę wywiady. W latach 90. wrócił do Black Sabbath, nagrał z zespołem jeszcze jedną płytę. A jakby mało mu było nowych doświadczeń, już w XXI w. wraz z rodziną wziął udział w nadawanym przez MTV reality show „The Osbournes", jednym z pierwszych tego typu programów, które śledziły codzienne życie celebrytów.

Kłopoty ze zdrowiem sprawiły, że kilka lat temu wycofał się z koncertowania. Ostatnią trasę zagrał w 2018 r., wystąpił wtedy m.in. w Krakowie. Później zdarzały się mu już tylko pojedyncze, krótkie występy, choć wciąż nagrywał płyty. „Do końca swoich dni chciałbym być rockmanem" – pisał. „Nawet gdybym jutro umarł, można byłoby powiedzieć, że dostałem więcej niż przeciętny człowiek (...). Doszedłem do wniosku, że w życiu wszystko jest z góry ustawione. No więc jeśli ma się wam przytrafić jakieś dziadostwo, nie możecie nic na to poradzić. Po prostu musicie wytrzymać do końca. Aż przyjdzie śmierć, jak przychodzi do wszystkich". W autobiografii przewidywał, że umrze w niecodziennych okolicznościach: „Potknę się na schodach i skręcę sobie kark. Albo zadławię się pastylką na gardło. Albo ptak nasra mi na głowę i zarażę się jakimś dziwnym wirusem z innej planety". Odszedł spokojnie, w otoczeniu rodziny. Spełniony, cieszący się sławą jednej z najważniejszych postaci sceny rockowej w dziejach. Nieobliczalny, ekscentryczny, genialny.

Umarł król, następcy nie będzie. ■

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Mistrzostwa Europy potwierdziły, że kobiecy futbol nie jest ciekawostką ani zjawiskiem niszowym. Rosnąca widownia przed telewizorami i na stadionach dostaje to, czego pragnie najbardziej: atrakcyjne widowiska. Polki wreszcie miały w tym swój udział.

Zwycięska drużyna Angielek

Panie robią show

MARCIN PIĄTEK

Elita kobiecego futbolu trzyma się mocno. Finał mistrzostw Europy Hiszpania-Anglia był powtórką spotkania sprzed dwóch lat, o złoto mundialu. Wówczas wygrały Hiszpanki, teraz, choć były faworytkami, uległy Angielkom w serii rzutów karnych. Finał był taki, jak cała faza pucharowa turnieju: wyrównany, obfitujący w sytuacje bramkowe i zwroty akcji, przyniósł dogrywkę, a potem serię rzutów karnych, których zamienianie na gole sprawia paniom duże problemy.

Damskie mistrzostwa Europy są rozgrywane z udziałem 16 zespołów, a więc w gronie dość wąskim i elitarnym; w formule, którą z rozrzewnieniem wspominają co bardziej wybredni kibice męskiego futbolu. Im mniej uczestników, tym trudniej się zakwalifikować i tym większe prawdopodobieństwo trafienia na mocne rywalki. I tak właśnie stało się w przypadku Polek – Szwedki i Niemki to etatowe faworytki mistrzowskich imprez, Dunki są notowane nieco niżej, ale zarówno jeśli chodzi o futbolowe tradycje, jak i ogólny poziom usportowienia społeczeństwa, biją Polskę na głowę.

Zgodnie z przewidywaniami z grupy nie udało się awansować. Polki najpierw przegrały z Niemkami 0:2, choć mecz mógł się potoczyć inaczej, gdyby podopieczne selekcjonerki Niny Patalon w pierwszej połowie wykorzystały szanse na gole. Ze Szwedkami było już dużo gorzej: bezdyskusyjne 0:3 i gołym okiem widoczna różnica klas. Wygrana z Danią 3:2 po znakomitej pierwszej połowie i odrobinie szczęścia w końcówce została przyjęta w reprezentacji z euforią nieco przesadną – biorąc pod uwagę, że awans już wcześniej przepadł – ale i do pewnego stopnia uzasadnioną, bo to w końcu był dla kobiecej kadry pierwszy duży turniej, pierwsza wygrana i pierwsze gole.

Scenariusz ułożył się identycznie jak w przypadku męskiej reprezentacji piłkarskiej, która na mistrzowskich imprezach rozgrywa z reguły trzy mecze: otwarcia, o wszystko oraz o honor, i to właśnie w tym ostatnim, już nie mając żadnych szans na awans z grupy, pokazuje się z najlepszej strony. Później następuje w narodowej męskiej drużynie rytualny okres rozliczeń, często finalizowany zmianą selekcjonera oraz ogłoszeniem nowego otwarcia. Panie takiej ucieczki do przodu nie potrzebowały: mniej więcej rok temu przegrywały w Lidze Narodów i udział w mistrzowskim turnieju wydawał się marzeniem ściętej głowy. Ale przełom przyszedł w samą porę: w barażach o Euro dwukrotnie pokonały Austriaczki, z którymi w Lidze Narodów przegrywały.

Progres sportowy jest więc widoczny, ale panie mają również inny powód do satysfakcji: ich udział w turnieju przykuł uwagę, mecze transmitowała publiczna Jedynka, oglądalność (1,4 mln spotkania z Danią, 1,7 mln ze Szwecją i nieco ponad 2 mln z Niemcami) przeszła najśmielsze oczekiwania, a średnia telewizyjna publiczność fazy grupowej (230 tys. osób) była ponad dwa razy wyższa niż w czasie poprzedniego Euro, w Anglii. – *I tak*

eprasa.pl f2ce6bb9a0

nieśmiała nadzieja futbolistek, by zagrać w mistrzowskiej imprezie i by dało to bodziec do rozwoju kobiecej piłki w Polsce, właśnie stała się faktem – mówi Karolina Wasielewska, autorka książki „Polska gola. O kobietach w futbolu".

Jeśli przed turniejem przeciętny kibic kojarzył tylko supergwiazdę kobiecego futbolu Ewę Pajor, od roku grającą w Barcelonie i znajdującą się w dziesiątce najdrożej wycenianych piłkarek świata (400 tys. euro; rekord transferowy przed startem obecnego sezonu wśród mężczyzn to 125 mln euro – tyle na sprzedaży Floriana Wirtza do Liverpoolu zarobił Bayer Leverkusen), to teraz już wie, że damska kadra to nie jest tylko Pajor i reszta. W mocnych zachodnich klubach (Paris-Saint Germain, Bayern Monachium, Sevilla, Eintracht Frankfurt, West Ham United) grają też inne reprezentantki. I to na nich opiera się drużyna narodowa. – *W Polsce mamy obecnie zarejestrowanych nieco ponad 30 tys. piłkarek* (w Niemczech, dla porównania, 1,1 mln – przyp. red.), *a selekcjonerka Nina Patalon uważa, że dopiero przy co najmniej 100 tys. regularnie grających można mówić o systemie dającym dopływ zawodniczek do klubów i do reprezentacji* – dodaje Wasielewska.

Gdy cztery lata temu zbierała materiały do książki, nasłuchała się opowieści o tym, że bycie piłkarką w Polsce to odważny sposób na życie. – *W Ekstralidze zarabiały góra 5 tys. zł, co rodziło fundamentalne dylematy: kupić nowe korki czy odżywki białkowe* – dodaje. Mimo postulatów środowiska w dalszym ciągu nie udało się wprowadzić przepisu obligującego zawodowe kluby występujące w najwyższej klasie rozgrywek do stworzenia drużyn kobiecych. Poprzestano na obowiązku wydzielenia w klubowych akademiach sekcji dziewczęcych. Otwarcie na potrzeby i oczekiwania kobiecej reprezentacji nastąpiło już za prezesury w PZPN Zbigniewa Bońka, który patrzył na kobiecy futbol z przymrużeniem oka, dopóki nie uświadomił sobie, że we Włoszech, które są jego drugą ojczyzną, piłka w damskim wydaniu jest traktowana jak najbardziej serio, inwestuje się w nią i stawia oczekiwania. W polskim wydaniu równouprawnienie kobiecej reprezentacji oznaczało stworzenie jej warunków do optymalnych przygotowań (dostęp do fachowców, bazy treningowej, zapięta na ostatni guzik logistyka podróży oraz zgrupowań).

Wywalczył to poprzedni trener kadry Miłosz Stępiński. – *Zbiegło się to z eksplozją ruchu MeToo, który u swego zarania był wprawdzie reakcją na przypadki molestowania seksualnego kobiet, ale też sprowokował dyskusję o systemowej dyskryminacji na zasadzie: dlaczego kobiety muszą walczyć o to, co mężczyźni mają podane na tacy* – uważa Wasielewska. Jej rozmówczynie nie spotkały się z dyskryminacją, ale w męskim do bólu światku piłki łatwo nie miały. – *Słyszały: chcecie grać, grajcie, zobaczymy, czy sobie poradzicie. Nastolatkowie patrzyli na koleżanki nieco krzywo, ale tylko do czasu, aż przekonali się, że grać potrafią. Cechą każdego zawodowego sportowca jest ambicja i determinacja, ale wydaje mi się, że w przypadku tych dziewczyn, dzisiejszych reprezentantek kraju, ta szkoła zahartowała je jeszcze mocniej. A futbol stał się ich obsesją: grają i trenują na wysokich obrotach, a w czasie wolnym najbardziej lubią oglądać mecze i grać w FIFĘ* – śmieje się Wasielewska.

Przed mistrzostwami Europy media obiegła sensacyjna wiadomość, że przygotowująca się do turnieju kadra Szwajcarek przegrała w sparingu z wychowankami akademii FC Lucerna, 15-latkami, aż 1:7. Tamtejsza federacja próbowała ponoć zatuszować wynik, ale w mediach społecznościowych pochwalił się nim jeden z chłopców, uczestników spotkania. 15 lat to zresztą graniczny wiek dla drużyn mieszanych, uznaje się, że później przewaga „męskiego pierwiastka", jeśli chodzi o siłę, szybkość, skoczność i masę mięśniową, rośnie na tyle, że wspólna gra nie ma sensu. Innego zdania są Holendrzy – tam dopuszcza się koedukacyjne drużyny aż do 19. roku życia.

Na Euro taka szkoła Holenderkom nie zaprocentowała – odpadły już w fazie grupowej. Ale eksperci zauważają, że kobiece mecze są coraz bardziej dynamiczne, tempo gry rośnie, a uczestniczki nie stronią od kontaktowej gry. Jedni odczytują to jako efekt angażowania do kobiecych drużyn męskich trenerów wyznających zasadę, że nóg się nie odstawia, inni jako chęć pań do udowodnienia, że nie grają „miękko".

Paweł Osterreicher, szef firmy ReSpo Vision, zajmującej się komputerową analizą meczów, współpracującej z klubami, federacjami, jak również obsługującej mistrzowskie turnieje: – *Obecnie pracujemy przy spotkaniach kobiecych mistrzostw Ameryki Południowej. Z analizy wynika, że zespoły tworzą linię obrony na podobnej wysokości co mężczyźni, czyli nie murują bramki i stosują tzw. wysoki pressing, czyli skracają pole gry, co umożliwia szybkie przejście z obrony do ataku. Świadczy to o technicznym i taktycznym zaawansowaniu* – mówi.

Generalne kibicowskie wrażenie, że kobiece mecze są atrakcyjniejsze i obfitują w sytuacje bramkowe, znajduje odzwierciedlenie w komputerowej analizie spotkań. – *Stereotyp, że w damskich meczach padają przypadkowe gole, a grą rządzi chaos, jest nieprawdziwy. Z naszych danych wynika, że podczas spotkań kobiet jest wyższy współczynnik xG* (tzw. *expected goals*, gole oczekiwane; bada się je, biorąc pod uwagę pozycję do strzału piłkarza lub piłkarki drużyny atakującej w stosunku m.in. do „ludzkich przeszkód" po drodze i odległości od bramki – przyp. red.) – mówi Osterreicher. – *Oznacza to, że uderzenia są przemyślane, nieprzypadkowe, zwieńczone składnymi akcjami. Poza tym kobiety tworzą tzw. wyższą dostępność do podań w obszarze ataku, czyli są ruchliwe, aktywne, pokazują się partnerkom rozgrywającym piłkę. No i wreszcie chętniej wykonują tzw. progresywne podania, czyli grają do przodu. Porównanie damskiego i męskiego zespołu jednego z czołowych klubów angielskiej Premier League pokazało nam, że w drużynie kobiecej tych progresywnych podań było aż o 30 proc. więcej* – dodaje.

Dla porządku trzeba oddać, że pokazywanie się do gry i skłonność do ataku jest funkcją efektywności obrony, a mężczyźni, z uwagi na lepsze warunki i predyspozycje fizyczne, bronią bardziej skutecznie. – *Dane z pięciu najlepszych europejskich lig pokazują, że panowie są też lepsi, jeśli chodzi o precyzję podań. Ale różnica nie jest duża: 80 do 74 proc.* – mówi Paweł Osterreicher.

Nie zmienia to faktu, że kobiety odkryły już patent na najważniejszy z punktu widzenia kibiców czynnik, czyli widowiskowość gry. Również Polki pokazały, że mają do tego smykałkę. I są na najlepszej drodze, by zawojować serca widzów. Zwłaszcza że zblazowana i od zawsze grająca z kontrataku męska reprezentacja poprzeczki atrakcyjności nie ustawia zbyt wysoko. ■

© ANDREA AMATO/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Filip Chajzer w adoracji Pierwszej Rodziny. Tym razem oddał hołd najstarszemu synowi Karola Nawrockiego, okraszając go kebabem. Dobry kierunek. U Makuszyńskiego dzięki znajomościom Koziołek Matołek został małpim królem.

●

Dociekliwi dziennikarze śledczy ustalili, że za weselny występ Rafała Brzozowskiego, pupila Jacka Kurskiego, trzeba zapłacić 20 tys. zł. Za sześć piosenek. Za 30 tys. Rafał skłonny jest w ogóle nie przyjechać.

●

„Mąż Siwiec ma dorosłego syna. Mateusz pokazał piękną partnerkę". To informacja z pierwszej strony Wirtualnej Polski. Po jej przeczytaniu nie mogę się zdecydować, czy jestem wdzięczny, czy szczęśliwy.

●

Firma SFD i Krzysztof Stanowski wprowadzili na rynek cukierki Krzyśki o smaku czekolady z chili. Doskonały pomysł. Dziwię się, że Karol Nawrocki nie zafundował mu cukierków. O krótkiej nazwie Merci.

●

Zespół Myslovitz przerwał swój występ w Jarocinie, gdy ktoś na widowni rozwinął plakat wyborczy Grzegorza Brauna. Komuś piosenka „Peggy Brown" pomyliła się z piosenką „Mniej niż zero".

●

Program „To jest grane" Marka Sierockiego w TVP2 ogląda średnio 208 tys. widzów. Koronkę do miłosierdzia Bożego w TVP3 średnio 314 tys. Wniosek: stare przeboje ciągle mocniej wchodzą niż nowe hity.

●

Ponad osiem na dziesięć osób w Polsce deklaruje brak zaufania do Szymona Hołowni. W 2015 r. Szymon napisał książkę „Jak robić dobrze". Wszystko wskazuje, że nie był to poradnik.

●

Maciej Friedrich z Jastrząb Post pracuje na tytuł dzbana roku: „Edyta Zając ma za sobą wielką tragedię, jaką była śmierć synka Oliwiera w 2022 r.". Panu pomyliły się kobiety, żony, partnerki i dramaty Jakuba Rzeźniczaka. Własny dramat reżyseruje sprawnie.

●

Jak wynika z raportu Reporterów bez Granic, większej presji władz niż w Polsce doświadczają w UE tylko media publiczne na Malcie i Węgrzech. Malta ma dwa języki urzędowe. My też.

●

Influencerka, matka i skandalistka na emeryturze Lil Masti założyła fundację do promocji wizerunku dzieci w internecie. Brawo. Pani Masti przypominam: w 1864 r. zniesiono w Polsce pańszczyznę.

●

Kolejna porcja przemyśleń Krzysztofa Mirucia: „Trzymanie kosza na śmieci pod zlewem to obciach". Jestem pod wrażeniem. Zdawkowe, krzepkie, rzutkie, finezyjne i niemiałkie.

●

Dziennikarze Wirtualnej Polski zostaną objęci specjalnym programem, który ma ich chronić przed atakami personalnymi, groźbami oraz nękaniem. Pamiętam taki cytat z „Ziemi Obiecanej": „Ty jesteś dobry chłop, Moryc. Ale czuć cię na milę szachrajem".

●

Dramat Sandry Kubickiej. Otworzyła w stolicy miejsce z matchą i się zaczęło. Część wypluwa, część chwali, jedni czują bagno, inni domestosa. Gdyby w serce tej dyskusji uderzyła bomba, świat straciłby bombę.

●

„Program znanego aktora zniknął z Kanału Zero" – informują media. Okazuje się, że chodzi o Michała Koterskiego. Michał jest tak znany, że pomijanie jego nazwiska w tytule wpływa na atrakcyjność newsa.

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jakub Rutnicki został ministrem sportu. Pamiętam, jak poprosiłem go w „Idolu", żeby zaśpiewał utwór Dżemu ubrany w gumową głowę Godzilli. I sukces. Od tamtej pory powstało o niej 13 nowych filmów.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

FELIETON

Passent

Opowieści niesamowite

Telepraca nie uwzględnia rozmów korytarzowych, dlatego jest do pupy. W łącznikach, bufetach, przed zepsutymi drukarkami, automatami z wyrobami kawopodobnymi lub w poczekalniach przedgabinetowych rodzą się pomysły. Wymieniamy się namiarami z kimś ciekawym, poznanym w przelocie, a nawet domykamy czasem nietrafione, ale za to szybkie transakcje. Progresywnym feministkom w kuluarach zdarzają się zaskakująco miłe wpadki i niezręczności – z ich ust wydostają się na wolność komplementy dotyczące urody i wyglądu.

Praca zdalna wyprowadziła wielu z nas jednak z biur. W korytarzu radiowym, po powrocie do nadawania ze studia, a nie z domu, zdarzyło mi się kiedyś odbyć pogawędkę z emerytowanym pracownikiem służb specjalnych. Przybył jako gość audycji. Rozmowa zeszła na zmieniające się technologie w pracy. „Kiedyś w ciągu kilkunastu minut, no, czasem do godziny, mogłem określić, czy ktoś mnie obserwuje, śledzi. Dziś technologie są tak precyzyjne, że jeśli usiądę z gazetą na ławce, to satelita jest w stanie sprawdzić, co czytam, a ja nie mam pojęcia, kto mnie widzi".

Kto ma czas wyjaśniać decyzje i zmiany, gdy te autentyczne i te preparowane kryzysy kipią jak mleko na dużym gazie?

Trzeba by całej książki, żeby wymienić wszystkie sytuacje, które kiedyś wydawały nam się niemożliwe lub niesamowite, a dziś dzieją się tak prędko, że kładziemy się spać w strefie Schengen, a budzimy podczas rewizji auta. Studniówki na Zoomie? Recepty w smartfonie? Hotele bez recepcji z otwieranymi kodem pokojami wielkości trumny? Salony spa dla psów, deportacja studentów z kampusowych trawników, klepanie kobiet po pupie w trakcie dyplomatycznych spotkań, wizyty u psychoterapeuty, który jest apką...

Dla polityków nadużywających władzy to bardzo wygodne – takie sprinterskie tempo rewolucyjnych zmian. Można działać bez jakiejkolwiek komunikacji. Kto ma czas na debatę, na wyjaśnianie decyzji i zmian, na podsumowania, gdy te autentyczne i te preparowane kryzysy kipią jak mleko na zbyt dużym gazie? Nie ma miejsca dla osób takich jak minister Adam Bodnar: dokładnych, solidnych, unikających chaosu. Swoją drogą mamy skłonność do naiwnego myślenia, że jakaś konkretna grupa zawodowa, np. sędziowie i adwokaci, jest lepiej predysponowana do ratowania kraju niż inne. Serio, w historii nie znamy prawników, którzy etycznie zbłądzili lub uciekli w emigrację wewnętrzną? Nie zawsze osoby wykształcone, zdolne i umiejące zawiązać muszkę są etycznie asertywne.

W Berlinie trafiłam na wykład o Erichu Kästnerze, autorze książek dla dzieci. Starsi czytelnicy pewnie pamiętają „Emila i detektywów". Niemcy z dużym opóźnieniem rozliczają ukochanego pisarza z trudnych spraw: nieślubne dziecko, zdradzane żony, alkoholizm, narcyzm, a w czasach nazizmu, zamiast wyjechać do jakiegoś Princeton niczym Tomasz Mann, Kästner został i głosił pacyfizm.

Czy w obecnych warunkach, gdy jedni Polacy wygrażają innym od faszystów, a drudzy od postkomunistów, każda strona ma swoich prawników, ginekologów, historyków, jest jeszcze miejsce na merytoryczną dyskusję o strefie Schengen? Technologia umożliwia nam śledzenie każdego pontonu i każdego pasażera wypływającego w kierunku Europy, skanowanie każdej walizki, a tymczasem my, „potęga militarna" wschodniej Europy, nie potrafimy uspokoić emocji na granicy? Na co nam te nowoczesne mobilne media, jeśli nie mamy nic obywatelom do przekazania?

Rekonstrukcje są fajne. Rzesze rekonstruktorów szyją średniowieczne ciżemki, uczą się walki kataną. Jednak rekonstrukcja rządu to nie nawalanka, lecz – między innymi – okazja do podsumowań. Nie płaczę nad „ministerstwem równości", bo są inne, skuteczne metody zwalczania np. przemocy. Ale czy się je wdraża? Włoski senat przegłosował bezwzględne dożywocie dla zabójców kobiet! Jaki plan teraz na ochronę słabszych?

Wróciłam z weekendu w Łebie. W hotelu pokojowa nie znała więcej niż trzech słów po polsku. Za to angielski – nienaganny. Przyjechała z Zimbabwe. „Jesteś w Polsce, musisz się uczyć chociaż podstaw polskiego. Jest taki trudny, nie mamy tu lekcji, nie ma kursów w Łebie. Może lepiej nie wychodź z mojego pokoju, tu jesteś bezpieczna...". Nauczanie może być zdalne, ale łomot, jaki grozi czarnoskórej dziewczynie wracającej samotnie z pracy w miasteczku pełnym podpitych obrońców polskiego wybrzeża, może nastąpić w realu. Taki tradycyjny.

Jeśli łapię się na takich myślach, to znak, że przesuwanie figurek ministrów na szachownicy mnie nie przekonało. Dalej nie wiem, dlaczego kiedyś w Ministerstwie Kultury obsadzano osoby z imponującym CV (Małgorzatę Omilanowską, Bogdana Zdrojewskiego czy Waldemara Dąbrowskiego), a teraz – w czasach wojny hybrydowej, ciągłego zagrożenia agenturą rosyjską, mediów w likwidacji i obietnic ustawy medialnej – typujemy ministrę Martę Cienkowską? Jestem za dawaniem szans ludziom młodym, ale robota legislacyjna wymaga nie tylko „przebojowości". W kulturze od przebojów mamy sporo fachowców – a to Ryszard Rynkowski, a to Beata Kozidrak.

AGATA PASSENT

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Patrioci chowu klatkowego

Żyję dość długo i niejedno już w Polsce widziałam, a jednak zaskoczyła mnie skala hejtu, jaki wylał się na wystawę „Nasi chłopcy". Wiadomo było, że istnieje wiele rzeczy, na które „Polacy nie są jeszcze gotowi", jak równość małżeńska, aborcja do 12. tygodnia czy usługi publiczne na dobrym poziomie. Teraz się okazało, że należy do nich dodać każdy obraz narodowej przeszłości, który stopniem komplikacji przewyższa kolorowankę dla czterolatków. A przecież dorośli ludzie powinni udźwignąć historyczne niuanse. Tym bardziej że – jak zaświadcza publicysta Jakub Majmurek – bezstronnemu zwiedzającemu musi się rzucić w oczy, że gdańska wystawa „nie powstała po to, by prowokować, stawiać mocne, słabo ugruntowane publicystyczne tezy, ale by maksymalnie rzetelnie pokazać historię mieszkańców Pomorza Gdańskiego, którzy, choć najczęściej nie czuli się Niemcami ani nazistami, w trakcie II wojny światowej poza nielicznymi wyjątkami wbrew własnej woli trafili do Wehrmachtu i na różne fronty toczonej przez Hitlera wojny". Widać wyraźnie, że twórcy wystawy dołożyli wszelkich starań, by „przedstawić historię, o której mówią, w całej jej złożoności i w możliwie szerokim kontekście – tak by odróżnić pojedyncze, niereprezentatywne przypadki od ogólnych tendencji".

> Ktokolwiek dzisiaj mówi, że wie, co by wybrał na miejscu „naszych chłopców", kłamie. Tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono.

Tytuł wystawy – bodaj największy kamień obrazy – jest idealnie adekwatny, zwłaszcza w Gdańsku, gdzie ekspozycja adresowana jest do publiczności znającej temat z rodzinnych opowieści. Słowo „nasi" jest wzruszającym w swojej prostocie środkiem, który włącza te prywatne, spychane na margines wspomnienia do większej, wspólnej narracji. Robi w niej miejsce również dla terenów niejednolitych kulturowo, dla patchworkowych tożsamości i pokręconych losów ich mieszkańców.

Nie brakowało takich historii także na Śląsku, o czym przypomniał ostatnio dziennikarz Dariusz Zalega. Ba, nawet na Mazowszu zdarzały się sytuacje, o których milczą podręczniki. Przykład? Pochodzący z małej miejscowości pod Warszawą brat mojego polskiego dziadka, w 1944 r. schwytany przez Rosjan, uwięziony na Majdanku i postawiony przed wyborem: kula w potylicę albo marsz na Berlin w mundurze Armii Czerwonej. Wybrał życie. Przetrwał. Wrócił jako wrak człowieka. Mam książeczki od jego polskich i radzieckich medali: „Za Warszawę 1939–1945"; „Za Odrę, Nysę, Bałtyk" i „Za Pobiedu nad Giermanijej w Wielikoj Otieczestwiennoj Wojnie 1941–1945".

Dawniej nie wiedzieliśmy o tych sprawach nic, ponieważ peerelowski model nauczania historii opierał się na uniwersalizacji doświadczeń elit z Kongresówki i zaniedbaniu pamięci ludowej i lokalnej, przy jednoczesnym pompowaniu czarno-białej martyrologii (z pominięciem „białych plam"). Dzisiaj w niewiedzy chcą nas utrzymać patrioci chowu klatkowego – zamknięci w ciasnocie swoich umysłów, karmieni fikcją produkowaną przemysłowo przez fabrykantów polityki historycznej. A podobno, jak twierdził czczony przez prawicę pisarz Józef Mackiewicz, „tylko prawda jest ciekawa"!

Ci, którzy chcą wyrugować „naszych chłopców" ze wspólnej pamięci, posługują się argumentem wywiedzionym wprost z polskiego kultu śmierci, który lubi przebierać się za kult „bohaterstwa". Ludzie ci mówią, że chłopcy z Kociewia, Kaszub czy Gdańska, których wcielano do Wehrmachtu, powinni byli wybrać śmierć. W ten sposób uniknęliby hańby niemieckiego munduru i zasłużyli na miejsce w polskiej opowieści. Jest to argument tak wstrząsająco – *pardon my French* – gówniarski, że aż odbiera mi mowę. Posługujące się nim osoby najwyraźniej nie rozumieją, że ofiara z życia jest takim rodzajem poświęcenia, którego można wymagać wyłącznie od siebie. Nigdy, w żadnych okolicznościach, nikt nie ma prawa żądać od drugiej osoby, żeby dała się zabić. Chcesz umrzeć za polskość? Proszę bardzo, umieraj. Ale nie tobie decydować o tym, co inni robią z własnym życiem.

Zresztą dlaczego tamci prości chłopcy z Kaszub i Pomorza mieliby umierać za polskość, skoro we wrześniu 1939 r. Polaków porzucił nawet ich rząd razem z marszałkiem Rydzem-Śmigłym? Wiadomo, że w warstwach ludowych utożsamienie z polskością zawsze było słabsze niż u ziemiańsko-inteligenckich elit i że elity pracowały na to przez pokolenia, broniąc gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej jak niepodległości. Elity powinny wiedzieć, że przyczyny pociągają za sobą skutki. Zamiast wierności Polsce aż po grób „nasi chłopcy" wybrali życie. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, mieli do tego moralne prawo i nie przestają być „nasi". Polskie nazwiska znajdziemy na wszystkich wojskowych cmentarzach niemieckich z drugiej wojny, choćby pod Monte Cassino.

Ktokolwiek dzisiaj mówi, że wie, co by wybrał na miejscu „naszych chłopców", kłamie. Jak pisała Wisława Szymborska: „Tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono". Gdańska wystawa stawia nas przed innym wyborem: możemy się opowiedzieć po stronie polityki historycznej albo po stronie pamięci. Polityka historyczna jest łatwiejsza, jak zwykle bywa kłamstwo. Bohaterstwem jest wybór pamięci.

RENATA LIS

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Hartman

Sen Witkacego

Historycznie rzecz biorąc, nic, co lalczane, nie jest nam obce. Poczciwe „wenuski", pieski i kotki z gliny albo z terakoty doczekały się sążnistych opracowań. Ludyczne, wotywne, magiczne, straszliwe i pogodne, święte i wszeteczne – figurynki, lalki, maskotki, pacynki, marionetki, manekiny nie mają przed nami tajemnic. Pedagodzy i inni strażnicy wartości od dekad żyją spokojnie ze swoich doktoratów poświęconych straszliwości lalki Barbie. Myszki Miki i Prosiaczki sprzedają się dobrze.

Aż przyszedł potworek Labubu i nas zjadł. Wywrócił stolik, zaorał, zakasował i zmasakrował. Zostaliśmy z naszymi teoriami o lalkach reprezentujących, odwzorowujących, pośredniczących, zastępujących, bawiących, uczących i ożywających nocą niczym dorożkarze w bezkonnym świecie. Zagubieni, zgorszeni, rozczarowani. Bo żeby uprawiać antropologię, trzeba człowieka i kultury, a te zaraz zginą pod lawiną internetowego śmiecia i pod naporem humanoidalnych robotów.

Żeby uprawiać antropologię, trzeba człowieka i kultury. A te zaraz zginą pod lawiną internetowego śmiecia.

Labubu to absolutnie postmodernistyczny, postrynkowy, metamarketingowy produkt, zredukowany do czystej formy produktowości. Istny sen Witkacego. Żadnej, nawet pozorowanej wartości użytkowej, symbolicznej, statusowej, nie mówiąc już o estetycznej. Każdy z napędów tej skrajnie jałowej, aczkolwiek skrajnie wybujałej w tym wypadku konsumpcji, jest atrapą i podróbką prawdziwej motywacji zakupów, której tutaj po prostu nie ma. Labubu nie tylko pozbawiona jest wszelkiej wartości wsobnej, lecz wartości w ogóle. Jest pożądany, kolekcjonowany, groteskowo przepłacany niby to na niby, dla żartu, ale żartu tu tak naprawdę nie ma. Ironia się nie wykształca, bo nie ma żadnego odniesienia. Nie chodzi o to, że ktoś udaje kolekcjonowanie rzadkich wersji „zabawki". Nie chodzi o to, że ktoś udaje, że jest dzieckiem. Nie chodzi o to, że komuś podoba się laleczka, która jest słodko-straszna. Nie chodzi o to, żeby się bawić, grać, tworzyć, społeczność. Nikt nie jest ekscentryczny ani nawet nie jest idiotą, gdy płaci tysiące za koszmarnego pluszaka. Tu nie toczy się gra, nie narasta bunt, nie pręży się groźnie *pure nonsens* ani *dada*, by wysadzić nasz świat.

To wszystko się nie dzieje. W świecie, w którym nikogo nie można nazwać debilem, nie ma już debili! Nie ma też mądrości. I nie ma niczego. Ani sztuczności, ani spontaniczności. Ani powagi, ani niepowagi. Dlatego kupowanie Labubu to nie tylko nie jest żadna zabawa, lecz nawet nie jest to jakaś epidemia masowego i beznadziejnego zidiocenia. Nie oceniamy, nie rozumiemy. Płacimy, nie wymagamy. Kręcimy rolki, piszemy felietony. A ty nie myśl, że jesteś gorszy. Albo lepszy. W ogóle za dużo nie myśl.

Labubu nie ma żadnej filozofii i nie „wymyka się kategoriom", albowiem jest puste. Mówiąc uczenie, jest czystym symulakrum, podróbką, która niczego nie podrabia, zabawką, która nie bawi, reprezentacją, która nie reprezentuje, symbolem, który nie symbolizuje. I tak dalej. Prawdziwy jest co najwyżej tylko biznes i zyski producentów Labubu i Lafufu – pseudopodróbek Labubu. „Pseudo", bo o żadnym podrabianiu nie ma tu tak naprawdę mowy. Relacje oryginału i naśladownictwa są tu w zaniku, podobnie jak wszelkie inne.

Labubu nie jest klasycznym towarem i nie ma wartości rynkowej definiującej się w grze popytu i podaży, podkręcanej przez marketing. Labubu jest absurdem, a nie symbolem. Nie jest wirtualnym towarem, tak jak tysiące sztucznych marketingowych kreacji. Jest tak samo umowne, efemeryczne i ułudne jak fikcyjny (a raczej: fikcjonalny) jest przepływ cyferek z kont nabywców na konta sprzedawców. Chiński właściciel Labubu kolekcjonuje cyferki na koncie, bijąc na rynku pianę, tak samo, jak my kolekcjonujemy Labubu, które nie ma żadnej wartości ani sensu.

Wszystko tu jest czymś innym niż z nazwy. Nie ma kolekcjonowania, nie ma upodobania, użytkowania, gry, inwestowania itd. Wszystko to dzieje się tu jedynie tytułem naśladownictwa bez oryginału. I gdybyż Labubu było po prostu metaironiczne! Gdybyż było atrapą atrapy, grało na nosie marketingowym wydmuszkom, miało misję albo odrzucało wszelką misję w imię spontaniczności, dobrej zabawy czy innego przebrania wolności.

Ale nie. Tu idiotyzm, bezsens i skretynienie występują w postaci nagiej i oślizłej. Nie tylko brakuje sensu, ale też nie ma jak go narzucić. Nie dorobimy ideologii do Labubu. To nie Barbie! Pożądanie Barbie i pożądanie Labubu to dwie najbardziej obce sobie prowincje w krainie Erosa.

Nie ma dla Labubu miejsca w pandemonium ani w strukturze społecznej. Labubu jest wszędzie i nigdzie. Niepojęte, bo pozbawione sensu. Zupełnie jak absolut. Filozofia zna takie gagatki! Różnica, która wszystko różnicuje, wielkie X, które może być wszystkim, choć jest niczym. Nic, które musi „być", jeśli byt ma się od niebytu oddzielić i zaistnieć. Nawet fizycy mają swoje Labubu: czarne dziury. Od teraz „czarną dziurą" nauk społecznych będzie właśnie Labubu. Gratulacje!

JAN HARTMAN

Więcej o fenomenie Labubu s. 94

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Dokąd doleciał Sławosz

Niektórzy internauci mający się za szczególnie bystrych podejrzewają, że są robieni w balona przez naukowców i media głównego nurtu, które zamiast informacji o tym, co jest (pozaziemskie cywilizacje, tajny rząd światowy, zdrowotne walory muchomorów), uparcie wciskają im opowieści o tym, czego z całą pewnością nie ma (katastrofa klimatyczna, płeć społeczna, korzyści z członkostwa w UE czy zbawienna rola szczepionek w walce z chorobami).

W tych dniach miała miejsce próba wmówienia im, że polski astronauta poleciał w kosmos. Szczęśliwie wnikliwi obserwatorzy bez trudu ustalili, że lot w ogóle się nie odbył, czego dowodem było to, że używane przez załogę przedmioty (musztarda, sos wasabi), zamiast unosić się w stanie nieważkości, pozostawały nieruchome. „Popatrzcie na transmisje Sławosza w tej rakiecie, czy gdzie on tam jest. Nic tam się nie rusza" ocenił na chłodno swoim analitycznym umysłem pisowski celebryta Jarosław Jakimowicz.

Toporne tłumaczenia ekspertów, że przedmioty na orbicie są przyklejane na rzepy, wzbudziły jedynie pusty śmiech. Wprawdzie zaprezentowany przez Sławosza polski pieróg unosił się w przestrzeni, ale być może po prostu był lżejszy od powietrza albo przyciągały go jakieś magnesy, albo miał w środku malutki elektryczny silniczek. Zgadzam się z ekspertami w rodzaju Jakimowicza, że istnienie latającego pieroga, w przeciwieństwie do lotów w kosmos, nie jest czymś niemożliwym.

Dziwi, że do sprawy rzekomego lotu Sławosza nie odniósł się jeszcze tropiciel fejków europoseł Braun. Może jest na urlopie i odniesie się, jak wróci. Trochę szkoda, że przegapił wizytę Uznańskiego w kraju; mógłby narobić mu straszliwego wstydu, wdzierając się z gaśnicą na wykład i niszcząc w katolicko-narodowym uniesieniu eksponaty służące prezentacji jego fałszywych dokonań. A następnie przystąpić do obywatelskiego zatrzymania pseudoastronauty i serią podchwytliwych pytań zmusić go do przyznania się, że cała ta niby-kosmiczna hucpa, w której bierze udział, to kolejny żydowski wymysł służący przejęciu władzy nad światem.

Trzeba powiedzieć, że gdy Uznański udawał astronautę, Polacy tacy jak Braun czy Bąkiewicz cały czas pozostawali sobą, dlatego trudno się dziwić, że w środowisku polskich patriotów są dziś od niego bardziej popularni. Mówi się, że obaj (niewykluczone, że tak jak Sławosz) odlecieli w kosmos, nie opuszczając Ziemi, z tym że bez używania drogich skafandrów i supernowoczesnej zachodniej technologii. Udowodnili, że wystarczy zwykła gaśnica i różaniec w zaciśniętej pięści.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00
CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki *(Wiceprezes)*,
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński
DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY
Katarzyna Białek
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Mariusz Janicki *(Pierwszy Zastępca)*,
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,
Julian Sobiech *(reklama cyfrowa)*
PROJEKTY SPECJALNE *tel. 22 451-61-93*
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl
PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Kontakt w sprawie bezpieczeństwa produktu: gpsr@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Bogactwo Bałkanów

Dżanna na ziemi

W Bośni i Hercegowinie wciąż można poodżydzać, pokatolicyzować i zmuslimizować. Trzeba tylko się w Sarajewie.

ZIEMOWIT SZCZERKA

Do arcyciekawego artykułu Ziemowita Szczerka „Dżanna na ziemi" (POLITYKA 28), poświęconego różnorodności kulturowej Bośni i Sarajewa, warto dodać kilka faktów historycznych, które ukształtowały ten niezwykły teren w okresie osmańskim.

Bogactwo tamtejszej kultury zaprzecza jednostronnej często i tendencyjnej historiografii zachodnioeuropejskiej i w dużej mierze polskiej, traktującej Bałkany okresu tzw. turkokracji jako teren zapaści cywilizacyjnej wynikającej z islamskiej wrogości wobec chrześcijaństwa. Ale choć w imperium tureckim kariery polityczne i wojskowe warunkowano przejściem na islam, to poza tym panowała tam rzadko uświadamiana wolność religijna, z której korzystali masowo heretycy, protestanci i Żydzi, wyrokami inkwizycji paleni na stosach jak Europa długa i szeroka, z wyjątkiem Rzeczpospolitej Polsko-Litewskiej i właśnie Imperium Osmańskiego.

Tuż po upadku Konstantynopola Mehmed II wydał sławny edykt (firman), respektowany potem przez stulecia, w którym czytamy: „Ja, Sułtan i Chan Zdobywca, niniejszym oświadczam całemu światu, że franciszkanie bośniaccy (…) są pod moją opieką. I rozkazuję, by nikt nie przeszkadzał ani nie szkodził, ani im ani ich kościołom! W moim państwie będą żyć w pokoju".

Do dziś działa w Bośni prowincja zakonu franciszkańskiego znana jako Bosnia Srebriena (łac. Bosna Argentina). Żydzi sefardyjscy wyganiani z Hiszpanii utworzyli w Sarajewie społeczność, w której powstawała literatura w języku ladino, czyli hiszpańskim zmieszanym z hebrajskim. Literatura w języku hiszpańsko-hebrajskim, uprawiana przez Żydów w mieście słowiańskim pod panowaniem tureckim!

Ta literacka tradycja przetrwała tu do drugiej wojny światowej, gdy społeczność żydowską wymordowali okupujący Bałkany naziści i ich chorwaccy kolaboranci. Poza piśmiennictwem ladino literatura bośniacka okresu turkokracji zaskakuje liczbą pisarzy ocenianą na prawie 200 autorów! Pisali w językach lub tylko w alfabetach tureckim, perskim i arabskim, cyrylicą starocerkiewno-słowiańską, w aliamiado, wykazującym wpływy arabskie. Mimo to żyjący na przełomie XVI i XVII w. historyk chorwacki Mauro Orbini twierdził w dziele, napisanym po włosku „Il regno de gli Slavi" (Królestwo Słowian, 1601 r.), że Bośniacy „ze wszystkich narodów mówiących po słowiańsku mają język najjaśniejszy i najbardziej elegancki". Urodzeni tu uczeni, kształceni we franciszkańskich klasztorach i kolegiach wykładali filozofię i teologię na uniwersytetach włoskich.

Przekleństwem tego terenu były niestety zapoczątkowane już w dawnych wiekach konflikty etniczne między Bośniakami, Chorwatami i Serbami trwające aż po wiek XX. Chorwacki franciszkanin działający w Bośni, znany jako brat Lovro, w swych „Listach z piekła" („Pisma od pakla") przestrzegał mieszkańców tego terenu przed rozmaitymi grzechami, a wśród nich przed nienawiścią do sąsiadów: „Moi bracia, chrześcijanie, proszę was, (…) posłuchajcie tych listów (…). Módlmy się do Boga, by uchronił nas (…) od tego grzechu śmiertelnego, za który idzie się do piekła". Szkoda, że tej przestrogi nie posłuchali różni polityczni ambicjonerzy, zwłaszcza z okresu wojny bałkańskiej lat 1991–99. W jej toku zaprzepaszczono wiele z dorobku kultury bośniackiej. Artykuł Ziemowita Szczerka dowodzi, że ta piękna tradycja szybko się odradza.

PROF. WOJCIECH LIPOŃSKI

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

35 lat temu, a dokładnie w nr. 31 z 1990 r., Witold Pawłowski opisywał na łamach POLITYKI „Prawdziwy koniec zimnej wojny".

„Halina Łukowska, brygadzistka, kiedy pierwszy raz zobaczyła tę kurtkę dla Bundeswehry, przywiezioną na wzór, pomyślała: to się da uszyć. (...)
Zrządził przypadek. – *Przez lata szyliśmy odzież również dla naszej armii* – mówi dyrektor Andrzej Staszczyk. – *Kiedy* (...) *pośrednik, który pracuje dla RFN, zaproponował zamówienie dla Bundeswehry, nie mieliśmy nic przeciwko temu. Byle klientowi odpowiadało jakościowo.*
Jeśli chodzi o odzież dla naszej armii, to jej szycie objęte jest ścisłą tajemnicą i nie pokazuje się tego ciekawskim spoza zakładu. Tyle się już w świecie zmieniło, supermocarstwa pokazują sobie najtajniejsze helikoptery i rakiety, ale z dyrektora Staszczyka »nikt nie zdjął obowiązku dochowania tajemnicy«, jak to określa. Dlatego trwa na posterunku.
Bundeswehra jest mniej ostrożna: przysłała pierwowzór i szablony; a w ogóle przysyła wszystko: materiał, dodatki, nici. Dyrektorowi przypadła do gustu tkanina: sztywniejsza, lepsza w konfekcjonowaniu: elanobawełna, praktyczna. Kolor: ciemny granat. Dla lotników i marynarzy (...). Te kurtki przyjęło się nazywać w języku zakładowym krótko: *bundeswehra*. Mówi się: szyć *bundeswehrę*. Nie ma co ukrywać: *bundeswehra* jakby spadła z nieba. Stanowi jedną czwartą produkcji, pewnej, ze zbytem, a to w tych chudych czasach bardzo dużo.
(...)
Trzeba też powiedzieć, że jeśli chodzi o *bundeswehrę*, nie było żadnych nacisków politycznych. Dawniej taką sprawą zajęłoby się pewnie KW, może studiowałoby ją Ministerstwo Obrony Narodowej. Być może też odezwaliby się czujni obywatele, którzy daliby odpór tej produkcji dla NATO. Teraz – nic. Cisza. Żadnych reakcji.
A załoga? – *My się nie pytamy, komu szyjemy* – mówi Stanisława Stefanowska, brygadzistka. – *Byle była praca, bo praca to zarobek.* (...) Na produkcji nie ma czasu na politykę międzynarodową (...). Dlatego kwestia, czy – odpukać – ów zachodni Niemiec, ubrany w kurtkę z Suwałk, nie przyleci tu, czy nie przypłynie w złych zamiarach, właściwie nie zaprzątała myśli. Ani pokrewny temat – że to w końcu mundury dla obcego sojuszu wojskowego.
(...)
Tylko same kurtki – bohaterki nie idą na polskim rynku. A na rynek trafiła pierwsza partia, kiedy zakład dopiero się przyuczał, (...) wzór oryginalny, materiał krajowy. I nic. Nie stały się przebojem. – *Może ten kolor?* – zastanawia się pani Łukowska. – *Może pagony odstraszają?* Nie ma dziś mody na styl wojskowy".

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Potworna moda

Zamiast breloków czy apaszek teraz do torebek przypinamy laleczkę Labubu. Można kwestionować jej urodę, ale nie popularność. Poza tym to także inwestycja.

TREND

Kochane, kolekcjonowane, sprzedawane z przebitką, ale też nienawidzone. Laleczki Labubu, bohaterki tej wiosny i lata, są niczym postaci z brazylijskiej telenoweli: wywołują skrajne emocje. Chociaż nie są wytworem nowym – pierwsze brzydactwo zeszło z linii fabrycznej dekadę temu – to dopiero teraz zrobił się wokół nich szum. Wszystkiemu są winni oczywiście celebryci i platforma TikTok.

Pierwsza była bodaj raperka Lisa z tajskiego zespołu Blackpink, która nie dość, że w wywiadach opowiadała o swojej miłości do Labubu, to jeszcze obwiesiła nimi choinkę. Ale prawdziwy szał wybuchł, gdy Rihanna przyczepiła laleczkę do swojej torebki Louis Vuitton, a Kim Kardashian pokazała kolekcję złożoną z dziesięciu sztuk. Moda nie ominęła też męskich sław – z potworkiem lansował się m.in. David Beckham, który dostał go od córki. Zwykle to rodzice kupują zabawki dzieciom, ale kto by zwracał uwagę w dzisiejszych czasach na konwenanse, szczególnie gdy w grę wchodzą emocje i pieniądze.

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

O tym zaraz, teraz wypadałoby przedstawić bohaterkę (chociaż płeć Labubu jest domniemana, a nie ustalona). Jest to włochata, przypominająca trolla istotka z wielkimi oczami i nieco króliczymi uszami. Wygląda niewinnie, dopóki nie dojrzymy na jej twarzyczce ostrych zębów. Zestawienie tych cech jest tyleż dezorientujące, co niepokojące. Labubu pojawiły się (używamy liczby mnogiej, bo lalka występuje obecnie już w 300 różnych postaciach) najpierw w książce z obrazkami „The Monsters" (ang. potwory) Kasinga Lunga. Urodzony w Hongkongu, wychowany w Holandii, mieszkający w Belgii artysta, mówiąc o inspiracjach, powołuje się na nordyckie mity, chociaż niewykluczone, że natchnieniem były też po prostu koszmarne sny.

Początkowo Labubu żyły „swoim najlepszym życiem" na papierze, aż w 2015 r. do plastikowego istnienia powołała je firma How2Work. Obrotem zabaweczkami zajmuje się korporacja Pop Mart, a jej właściciel tak się wzbogacił, że trafił do dziesiątki najbardziej majętnych Chińczyków. I to jako najmłodszy w historii. Laleczkę można nabyć w wielu różnych punktach i kosztuje – w zależności od wielkości i tego, czy jest ze zwykłej linii, czy specjalnej – między 15 a 960 dol. W Polsce też są dostępne. Gdy do sklepów przyjeżdża nowa dostawa, bywa, że kolejki ustawiają się już wcześnie rano. Najrzadsze modele Labubu trafiają na aukcje, gdzie ich cena może osiągnąć nawet 170 tys. dol. Zabawki, jak wszystko co modne, doczekały się też swoich podróbek, nazwanych wdzięcznie Lafufu. Nieźle, jak na włochate brzydactwo, o którym jeszcze niedawno nikt nie słyszał...

Skąd ten szał i przebitka na cenie? Otóż większość Labubu jest sprzedawanych w systemie „blind box", czyli kupujemy pudełko, nie wiedząc, jaką zabawkę znajdziemy w środku. To trochę jak kinder niespodzianka – najczęściej można było wylosować jakieś składane badziewie, a śliczne figurki, które producent reklamował na opakowaniu, trafiały się rzadko. Kto wylosował unikatowy model Labubu, jak Chestnut Cocoa z i tak limitowanej serii Exciting Macaron, mógł z dumą się z nim obnosić i pokazywać na TikToku.

Z laleczkami można się wozić po mieście: przypięte do torebek lub szlufek spodni stanowią komunikat, że oto jesteśmy na bieżąco z trendami. Jednak to też generuje ryzyko. Przede wszystkim kradzieży, ale np. w irackim Kurdystanie potworki zostały oficjalnie zakazane z powodu rzekomego złego wpływu na zachowanie dzieci. Władze miasta Erbil z tego paragrafu „aresztowały" jakieś 400 lalek.

A o co w ogóle w tej nowej lalkomanii chodzi? Z jednej strony to po prostu kolejna fala popularności dziwnej zabawki, przerabialiśmy już wszak Tamagotchi, trolle, nadal wszędzie widać Pusheeny i Hello Kitty. Z drugiej Labubu ma jeszcze ten odświeżający urok, że nie zawsze jest dostępna i trochę jak w grze – trzeba się o nią postarać. Bo wtedy zwycięstwo, czyli zakup, smakuje dużo słodziej. ■

© ALAMY STOCK PHOTO/B&W, NICKELODEON, DUTCH/BAUER-GRIFFIN/GC IMAGES

eprasa.pl f2ce6bb9a0

WIRAL

Łzy Małego Chefa

Mały Chef jeszcze niedawno był przede wszystkim ulubieńcem dziecięcych widzów kanału Nickelodeon. Dziś popularnością dorównuje innym telewizyjnym szefom kuchni. A wszystko dlatego, że niespodziewanie po trzech latach stracił swój program. **Mały Chef** to zielony antropomorficzny stworek, który wraz ze swoimi kukiełkowymi przyjaciółmi – robotką Olly, ślimakiem Henrym i gąsienicą Ruby – prowadzi program kulinarny „Mały Chef Show". Skierowaną do przedszkolaków produkcję chętnie oglądali także dorośli skuszeni bezpretensjonalnym, absurdalnym humorem oraz gościnnymi występami gwiazd (m.in. Kristen Bell, RuPaul, raper RZA, skater Tony Hawk oraz prawdziwi szefowie kuchni znani z programów telewizyjnych).

Mały Chef prowadził swoje spokojne małe życie, w marcu cieszył się z kolejnej nagrody Emmy, aż stacja Nickelodeon oznajmiła, że kasuje serial. W genialnej marketingowo odpowiedzi twórcy programu przygotowali króciutki film, w którym Chef odbiera telefon ze złą wiadomością, po czym siada załamany na łóżku i płacze. I to był przełomowy moment, w którym z animowanej poklatkowo kukiełki stał się w oczach widzów – także tych, którzy wcześniej w ogóle o nim nie słyszeli – prawdziwą postacią. W obronie serialu i jego pokrzywdzonych bohaterów stanęli m.in. RuPaul, Melissa McCarthy i Florence Pugh. Diva muzyki soul Dionne Warwick napisała w serwisie X: „Nickelodeon, jesteście dumni, że zmusiliście go do płaczu? Kto za to odpowiada? Żądam nazwisk".

Twórcy serialu postanowili wykorzystać sytuację. Uruchomili (płatny) fanklub Chefa i założyli zbiórkę na Kickstarterze, która pozwoliła im wrzucić kilka kolejnych łamiących serca filmów, m.in. z Chefem grającym na banjo bardzo smutną wersję „Paint It Black" Rolling Stonesów. Podobno z jakąś, nieujawnioną do tej pory, propozycją zgłosiło się do nich studio A24, odpowiedzialne m.in. za oscarowe filmy „Brutalista" i „Wszystko wszędzie naraz", lecz również za błyskotliwą animację „Marcel Muszelka w różowych bucikach". To wszystko nie wystarczyło jeszcze, żeby zapewnić Małemu Chefowi spokojną przyszłość, ale dało mu odrobinę nadziei. Sam Chef na razie nie gotuje, załamany zamawia pizzę na wynos i scrolluje media społecznościowe. Jednak jeśli nawet nie odzyska swojego show, to tak szybko z przestrzeni medialnej pewnie nie zniknie.

JAKUB DEMIAŃCZUK

SŁOWO

Prorok na bazie

Nowa płyta **Justina Biebera** nosi tytuł „SWAG" – jak lans lub szpan. To słowo opisywaliśmy osobno przed laty (POLITYKA 1/14), przypominając jego historię: od akronimu *secretly we are gay* („jesteśmy gejami, ale o tym sza") aż po przypieczętowany obecnością na koszulkach i czapeczkach status symbolu ekstrawaganckiego stylu bycia w środowisku rapowym. Ale ten skrótowiec to tylko wierzchołek góry lodowej. Prawdziwym zaskoczeniem dla fanów Biebera przy okazji premiery jego płyty może być częstotliwość, z jaką pojawia się w komentarzach inny skrótowiec: TYBG albo jego rozwinięcie: *thank you based god*. Dosłownie oznacza to „dzięki ci, zbazowany Panie". Fraza ta bywa używana – i to na całym świecie – jako wyraz wdzięczności lub uznania dla osób, które wniosły w nasze życie coś pozytywnego, albo dla ich działań, które przyniosły pozytywny rezultat. Ale w tym wypadku nie odnosi się do samego wokalisty.

Tu trzeba wrócić do jeszcze jednego opisywanego w niniejszej rubryce słowa, czyli bazy. A raczej terminu „zbazowany" (to właśnie owo angielskie *based*), który opisuje człowieka mającego własne poglądy i odwagę ich wyrażania. Zdarzało się, że hasłem „zbazowany" określali się nawzajem wyznawcy teorii spiskowych albo zwolennicy skrajnych poglądów różnej maści. Ale przypadek Biebera prowadzi nas na jasną stronę języka. Internauci hasłem TYBG pozdrawiają bowiem gościnnie występującego na płycie rapera Lil B. W utworze „Dadz Love" Kalifornijczyk pojawia się z przesłaniem: „Mniej nienawiści, więcej wspólnoty i miłości". A TYBG to właśnie wynalazek tego rapera, przy okazji także autora książki „Takin' Over by Imposing the Positive!", napisanej kilkanaście lat temu jako ciąg krótkich wiadomości do słuchaczy. „Jesteśmy nową generacją dorastającą w świecie wielkich możliwości" – pisze Lil B. „Tu całe miasta pełne są ludzi ciężko pracujących, by zachować spokój ducha i dobre relacje z rodziną. To właśnie BAZA". Trochę esemesowy Paulo Coelho, a trochę – biorąc pod uwagę obrazki z hasłem TYBG i podobizną rapera – ewangelia opowiadana memami. I bardzo pozytywny swag.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Chce mi pokazać stringi,
No bo matchują jej pod tipsy
White 2115, Mamacita, 2025 r.
Matchować – pasować do czegoś

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Zabytki z popkultury

UNESCO jeszcze niedawno broniło autentyczności jak niepodległości. Ale dziś – jeśli ruiny są ładne, fotogeniczne i generują miliony – nawet zamek z marzeń albo pałac z betonu mogą dostać pieczątkę światowego dziedzictwa.

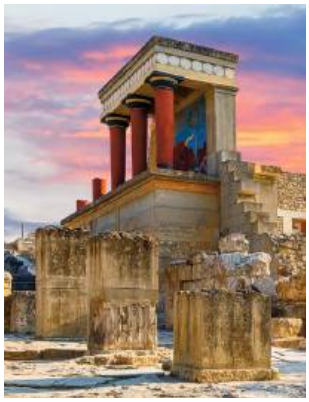

Tegoroczny wybór UNESCO będzie dla wielu zaskoczeniem. Z jednej strony zdziwienie może budzić fakt, że dotąd ochroną nie były objęte bretońskie megality w **Carnac**. Tymczasem nareszcie właściciele ziem, na których stoją te starsze o ponad 1 tys. lat od Stonehenge kamienne aleje, grobowce, menhiry i dolmeny, dogadali się w kwestii sposobu opieki nad nimi, dzięki czemu na listę trafił cały krajobraz kulturowy obejmujący ponad 500 zabytków. Z drugiej jednak strony uśmiech niedowierzania może wywoływać wybór dwóch miejsc, które są czymś pomiędzy zabytkiem a kiczem, prawdą a bajką: **Knossos** na Krecie i **Neuschwanstein** w Bawarii.

Na pierwszy rzut oka dzieli te dwa miejsca wszystko: Knossos to stolica minojskiej Krety z wężowymi kapłankami, labiryntem Minotaura i freskami przedstawiającymi akrobatów skaczących przez byka. Neuschwanstein to XIX-wieczna fantazja Ludwika II Wittelsbacha, zamek z betonu i marzeń, który nigdy nie służył do obrony, za to świetnie wygląda na pocztówkach. A jednak coś je łączy – są rekonstrukcjami przeszłości. Nie tyle mówią, jak było, ile pokazują, jak chcielibyśmy wierzyć, że było. A w zasadzie – jak chcieli wymarzoną przeszłość widzieć dwaj potężni mężczyźni.

Sir Arthur Evans, prowadząc wykopaliska w Knossos od 1900 do 1931 r., nie tylko odkrywał świat Minojczyków, on opowiadał ich historię, używając betonu, gipsu i własnej wyobraźni. Przemalował ściany, odbudował kolumny, dodał freski, czasem mając za punkt wyjścia jedynie fragment wzoru. Zbudował wizję matriarchalnej, pokojowej cywilizacji, europejskiego Edenu sprzed czasu wojen i nierówności. W przeciwieństwie do innych pałaców minojskich, jak Mali czy Fajstos, archeolodzy przez dekady kręcili nosem na nieodwracalne zniszczenia w Knossos, które odbierają autentyczność pałacowi legendarnego króla Minosa. UNESCO długo z ich powodu odmawiało wpisania go na listę. W tym roku Knossos trafiło na nią wraz z innymi pałacami minojskimi, uznano bowiem, że sama siła evansowskiej narracji jest już dziś elementem dziedzictwa.

Z Neuschwanstein sprawa wydaje się jeszcze bardziej symboliczna. Ludwik II nie miał ambicji stworzenia realnego zamku – chciał zbudować scenografię dla własnych snów. Opery Wagnera, echa średniowiecza, tęsknota za czystością i heroizmem – wszystko to zaklęte w wieżyczkach i salach, do których nigdy nie zaproszono żadnego rycerza. To zamek bez historii, który stworzył własną o sobie opowieść, stając się wzorcem „średniowiecznego" zamku w kulturze popularnej – od bajek Disneya po gry komputerowe.

I tu pojawia się coś, co można nazwać turystycznym efektem prawdy. Gdy wystarczająco długo pokazujesz rekonstrukcję jako oryginał, a miliony turystów robią sobie na jej tle zdjęcia i słuchają przewodników, którzy mówią: „tu był labirynt zbudowany przez Dedala, by ukryć Minotaura", „tędy przechadzała się królowa", granica między mitem a faktem zaczyna się rozmywać. Tak Knossos Evansa stało się „prawdziwe" – nie dlatego, że wiemy, jak wyglądało, ale dlatego, że uwierzyliśmy w jego obraz. UNESCO przypieczętowało ten zbiorowy akt wiary.

To przesunięcie granicy autentyczności – od tego, co było, do tego, co działa, jakby było – dotyczy zresztą całej współczesnej turystyki. Dziedzictwo zaczyna być nie tyle rekonstrukcją przeszłości, ile projekcją teraźniejszych potrzeb: nostalgii, dumy, pragnienia ciągłości. Knossos i Neuschwanstein to dwa rodzaje mitu – jeden opowiada o początkach cywilizacji kobiecych, pokojowych, pełnych koloru, drugi to tęsknota za heroizmem i światem z baśni. Oba są nieco kiczowate, ale i głęboko ludzkie.

Na szczęście w tym roku doceniono także miejsca mniej znane, jak anatolijskie Sardes (opisywaliśmy je w POLITYCE 43/24), które nie leży na żadnym szlaku selfie, a to właśnie tam rządził legendarny Krezus i bito najstarsze monety w dziejach. Można więc powiedzieć, że to miasto dało początek zarówno pieniądzowi, jak i... dziedzictwu. A może raczej: dziedzictwu, które dziś coraz częściej trzeba liczyć w twardej walucie. ■

PODRÓŻE

Agnieszka Krzemińska
– archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI, autorka trzech książek popularnonaukowych, w tym o higienie i dbaniu o urodę w przeszłości „Dawniej ludzie żyli w brudzie".

© TIMOFEEV VLADIMIR/SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK (2), ALICJA ROKICKA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

Iga Świątek rozsławiła makaron z truskawkami, ale zanim te sezonowe owoce znikną z pól i straganów, warto sprawdzić, jak smakują z kluskami leniwymi.

Leniwe na lato

To ostatni dzwonek na truskawki. Osobiście uważam, że najlepsze są te prosto z Kaszub. Kaszëbskô Malëna to produkt regionalny, od 2009 r. zarejestrowany przez Unię Europejską jako Chronione Oznaczenie Geograficzne. Te owoce są jędrne, czerwone, bardzo aromatyczne i słodkie, co jest zasługą bogatej w minerały gleby i klimatu panującego na Pomorzu, gdzie uprawia się je przynajmniej od stu lat. Ale truskawka – w każdej odmianie – to symbol rozwijającego się polskiego lata. Nie może jej zabraknąć w deserach i napojach. W menu hipsterskich kawiarni można jej skosztować nie tylko w postaci bardziej lub mniej tradycyjnie wykonanego koktajlu, ale też owocowego dodatku do zielonej matchy. Leniwe z truskawkami to z kolei synonim domowego wakacyjnego jedzenia.

Kluski leniwe, zwane też leniwymi pierogami, tradycyjnie przygotowuje się na bazie twarogu, czasem z dodatkiem ugotowanych ziemniaków. Nazwa leniwe pierogi nawiązuje do farszu na pierogi ruskie, który także ma w składzie twaróg i ziemniaki. Największą różnicą pomiędzy tymi dwiema potrawami jest, po pierwsze, brak ciasta okrywającego farsz, a po drugie to, że leniwe podaje się na słodko. Najczęściej z cukrem i z owocowym sosem. Wersja klusek na bazie tofu to świetna alternatywa dla tych, którzy nie jedzą nabiału, a tęsknią za rodzinnymi smakami i przepisami. Bo pierogi leniwe w bułce tartej z sosem truskawkowym to danie istnie babcine, przenoszące wspomnieniami do czasów dzieciństwa i beztroskiego lata. Kluseczki wychodzą aksamitne, miękkie i delikatne.

Otulone przyrumienioną i słodką bułką tartą dostają charakteru. Wbrew pozorom bułka tarta jest ważnym elementem! Najwspanialszą cechą posypki jest jej delikatne chrupnięcie pod zębami, które pobudza kolejne zmysły podczas jedzenia. W tym przepisie to ona też jest największym nośnikiem słodkości, ponieważ dodaję do niej cukier.

Sos to prosta kwintesencja truskawki. Sezonowe owoce nie potrzebują dodatków, tym bardziej cukru. Cynamon w sosie jest miłym zaskoczeniem, nie sprawia, że truskawki będą bardziej orientalne w smaku, raczej zostanie podkreślony ich naturalny aromat i smak. Sos truskawkowy uczy cierpliwości, bo najlepiej go wolno redukować. Niech samoistnie zgęstnieje. Nie polecam iść na skróty i dodawać mąki. Ona wszystko zepsuje. Do zblendowanego tofu dodaję ocet jabłkowy. Ma na celu lekko je zakwasić, sprawić, żeby nabrało smaku i było mniej „sojowe" w odbiorze. Ocet można z powodzeniem zamienić na sok z cytryny. A bułkę tartą wymienić na panko lub dowolne mielone orzechy. To samo dotyczy owoców, takie kluchy będą wspaniale smakować także ze smażonymi śliwkami lub jagodami! ■

KUCHNIA

Alicja Rokicka
– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Kluski leniwe (na bazie tofu) z truskawkami

Składniki:

- ok. 400 g tofu naturalnego (dwie kostki)
- 4 kopiaste łyżki mąki ziemniaczanej
- 2 łyżki octu jabłkowego
- 160 g mąki pszennej lub orkiszowej
- sól
- 1 kg truskawek
- szczypta cynamonu
- 20 g masła/margaryny
- 2 łyżki cukru
- 7 łyżek bułki tartej

Przygotowanie:

- Tofu przełóż do miski, dodaj ocet. Zakwasi je i nada mu bardziej twarogowy smak. Zblenduj na gładką jednolitą masę. Dodaj mąkę ziemniaczaną, a następnie stopniowo łyżką dodawaj mąkę pszenną (lub orkiszową). Dorzuć szczyptę soli. Ciasto powinno być jednolite i zwarte.
- Ciasto podziel na dwa kawałki. Roluj na wałek grubości ok. 2 cm. Krój na kluski.
- Gotuj w osolonej wodzie ok. 1–2 min od wypłynięcia.
- Przygotuj truskawki, umyj, usuń szypułki. Pokrój w nierówną kostkę. Przełóż do rondla, smaż, a następnie redukuj sok przez ok. 40 minut. Dopraw cynamonem i ewentualnie cukrem.
- Na patelni rozpuść masło. W miseczce połącz bułkę tartą z cukrem. Wysyp mieszankę na patelnię i mieszaj. Niech bułka się zarumieni i połączy z masłem i cukrem.
- Przełóż do miseczki. Ugotowane kluski porcjami przenieś do bułki tartej i wymieszaj tak, by całe pokryły się posypką.
- Na talerzu rozprowadź sos i ułóż kluseczki.

eprasa.pl f2ce6bb9a0

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

W ostatni weekend rozpoczął się Tour de France Femmes. Chuchamy w koła Katarzyny Niewiadomej (na fot.), a w studiu POLITYKI gościmy Anetę Lamik, uczestniczkę Race Across America (RAAM), innego prestiżowego wyścigu. Ukończyła go niedawno jako pierwsza Polka w historii. Tu do pokonania jest aż 5 tys. km przez całe USA. W podkaście „Rowery, nie bajki" kolarka opowiada, jak spełniła to marzenie i dlaczego musiała się w tym celu zapożyczyć.

Przebój Juliusza Machulskiego sprzed 20 lat doczekał się dalszego ciągu. Warto było? O „Vinci 2" pisze obszernie na polityka.pl Janusz Wróblewski. Jak zauważa: „publiczność lubi czuć się jednocześnie grzeszna i niewinna. A Machulski pozwala Polakom odgrywać rolę wspólnoty indywidualistów powiązanych sprytem, wygodnictwem i osobliwie rozumianą lojalnością". I przy okazji dobrze się bawić. Tekst ukazał się w ramach cyklu „Kulturalnie polecamy i ostrzegamy". Premiera co piątek.

Jeśli ktoś liczył na poprawę pogody, z pewnością będzie rozczarowany. Przez Polskę znów przechodzą deszczowe niże genueńskie: w lipcu nawiedził nas Gabriel, teraz dotarł Karlheinz (nazwy nadają meteorolodzy). Jest i będzie ulewnie i burzowo. Raczej nie grożą nam powodzie, ale należy zachować ostrożność, a namioty prewencyjnie złożyć. **Lato w Polsce na półmetku jest kapryśne. Skąd wieje wiatr i dlaczego pogoda jest teraz tak zmienna, wyjaśnia na polityka.pl Michał Rolecki.**

Taki mamy klimat: Grzegorz Braun złapał wiatr w żagle, ekscesy mu nie szkodzą. Jeszcze dziesięć lat temu mówił: „Na szczęście nie muszę na gwałt niczego wymyślać. Nie muszę gorączkowo kreować własnego wizerunku na użytek kampanii wyborczej". **Karolina Lewicka przypomina, że Braun się nie zmienił, ale jego przekaz „kliknął" właśnie teraz. W podkastowej rozmowie z Michałem Piedziukiem (Polityka Insight) docieka, jak do tego doszło.**

Ameryka już nie chce nieść światu pomocy. W chaosie biurokracji i cięć zmarnuje się nawet 500 ton żywności dla mieszkańców Pakistanu, Jemenu i Afganistanu. Urzędnicy Donalda Trumpa tłumaczą, że batony i ciastka – bo to głównie przekąski „pomostowe", spożywane dla przetrwania – i tak trafiały do terrorystów. **Poza żywnością na przemiał mają też trafić środki antykoncepcyjne i szczepionki. Dlaczego mają spłonąć i nikt nie może ich przejąć, objaśnia w naszym serwisie Mateusz Mazzini.**

© SZYMON GRUCHALSKI/GETTY IMAGES, ADAM GOLEC, PATRYK KOŚMIDER/SHUTTERSTOCK, BEATA ZAWRZEL/REPORTER, J. COUNTESS/GETTY IMAGES

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl f2ce6bb9a0

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f2ce6bb9a0

PERGOLA
na miarę Twojego domu i ogrodu

selt by ALUPROF

- **Najkrótszy czas realizacji na rynku**
- **30 kolorów w standardzie**
- **Gwarantowana jakość** – ponad 10 lat doświadczenia w produkcji
- Dodatkowe akcesoria: oświetlenie LED, osłony boczne, czujniki pogodowe, smart home
- **Sieć wyspecjalizowanych partnerów na terenie całej Polski**

eprasa.pl f2ce6bb9a0